

P. 917/86 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 15

1949



R. ARON — Wielka schizma * J. KARDOSZ — Naród w wędrownie * J. CZAPSKI — „Ja” ♦ T. NOWAKOWSKI — P. R. C. * H. NAGLEROWA — Czerwona linia (dok.) ♦ **ARCHIWUM POLITYCZNE: GAMMA** — Sytuacja międzynarodowa z perspektywy paryskiej * W. A. ZBYSZEWSKI — Anglia po 3-ch latach socjalizmu ♦ **NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI** ♦ **KRONIKA KULTURALNA** ♦ **KSIĄŻKI** ♦ **BIBLIOGRAFIA: H. LERSKA** — Polskie druki podziemne ♦ **LISTY DO REDAKCJI** ♦ **INDEKS AUTORÓW I TEMATÓW ROCZNIKA „KULTURY” ZA ROK 1948.**

SPIS RZECZY

Raymond Aron:	<i>Wielka schizma</i>	3
Julian Kardosz:	<i>Naród w wędrówce</i>	18
Józef Ursyn:	<i>O myśleniu schematami</i>	27
Witold Nowosad:	<i>Na marginesie „Lalki” Prusa</i> ..	36
Józef Czapski:	<i>« Ja »</i>	42
Cecil Day Lewis:	<i>Obraz poetycki (dokończenie)</i> ..	51

Tadeusz Nowakowski:	<i>P. R. C.</i>	63
Herminia Naglerowa:	<i>Czerwona linia (dokończenie)</i> ..	67

ARCHIWUM POLITYCZNE

Gamma:	<i>Sytuacja międzynarodowa z perspektywy paryskiej</i>	91
W. A. Zbyszewski:	<i>Anglia po 3-ach latach socjalizmu</i> ..	100

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Aleksander Bregman:	<i>Gdyby w 1933 r. usłuchano Józefa Piłsudskiego</i>	109
Janusz Kowalewski:	<i>Boy i Bartel we Lwowie w 1939 roku</i>	118

KRONIKA KULTURALNA

Stanisław Zadrozny:	<i>Bukiniści</i>	124
---------------------	------------------------	-----

KSIĄŻKI

Józef Potocki:	<i>Nowe wydawnictwa o historii stosunków polsko-hiszpańskich</i> ..	130
Mr.:	<i>Recenzja wbrew sobie</i>	132
Wiktor Weintraub:	<i>Książki angielskie</i>	137
Aleksander Korczyński:	<i>Niemcy podziemne</i>	139

BIBLIOGRAFIA

Hanna Lerska:	<i>Zaczątek bibliografii druków-Polski Podziemnej pod okupacją 1939—1944</i>	143
---------------	--	-----

LISTY DO REDAKCJI

Melchior Wańkowicz:	151
	<i>Indeks autorów i tematów rocznika « Kultury » za rok 1948</i> ..	152

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ ^{Szyperna} Nr 15 1949

INSTYTUT  LITERACKI

Na skutek ogólnej zwwyżki kosztów wydawniczych zmuszeni byliśmy podnieść z dniem 1 stycznia 1949 cenę zarówno prenumeraty jak i pojedynczego numeru „Kultury”.

Pojedynczy numer kosztuje obecnie 120 frs.
Prenumerata roczna 1200 frs.
Prenumerata półroczna 650 frs.

Dochodzą do tego koszta przesyłki: pojed. nr 20 frs., przy prenumeracie rocznej 240 frs. i półrocznej 120 frs.



P. 9786 Chł. Arch.

PRINTED IN FRANCE

Imprimerie de la S. N. I. E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20^e)

Wielka schizma

Pierwszy to może raz w swej historii Europa świadoma jest w pełni grożącego jej niebezpieczeństwa; zdaje sobie ona sprawę, że proch pustyń i wieków kryje w sobie dzieje licznych cywilizacji, które wymarły, a równocześnie odczuwa głuchy lęk przed losem, czując, jak mimo rozpaczliwych a nieskutecznych wysiłków siły nieznanne i bliskie ciągną ją nieuchronnie do grobu. Istota ludzka posiadała zawsze i posiada świadomość czekającego ją końca; świadomości takiej nie miały dotąd społeczeństwa.

Od stu pięćdziesięciu lat nagromadziło się tyle pamiątek przeszłości, że można by nimi wypełnić nie tylko muzea malarstwa, czy sztuki, ale jakieś muzeum kultur i cywilizacji. Badanie przeszłości bogaciło naszą terażniejszość, nie budząc obaw przed przyszłością tak długo, jak długo czuliśmy, że nie grożą nam burze, które zamieniły w kupę gruzów Egipt, czy Babilon, Ateny czy Rzym. Historycy ubiegłego stulecia mogli byli — abstrakcyjnie rzecz biorąc — dojść do przekonania, że cała nasza twórczość nie jest w żadnym stopniu trwalsza, niż twórczość cywilizacji starożytnych, których szczątki oglądamy dziś w muzealnych gablotkach; jeżeli się tak nie stało, to dlatego, że brakło im konkretnego poczucia bezpośredniego niebezpieczeństwa. Historyk epoki liberalnej nie odczuwał najmniejszego dreszczu obawy, podziwiając Iwana Groźnego, czy Piotra Wielkiego, bo, rozparty wygodnie w fotelu na widowni teatru dziejów, mógł ograniczać się do beznamiętnej analizy dzieła, o którego wielkości świadczyły wieki. Nie przyszło mu do głowy, jak by sądził jakiegoś Iwana, czy Stalina Wielkiego, gdyby się taki pojawił współcześnie.

Utraciliśmy w ten sposób na rzecz pozornego obiektywizmu zdolność bezpośredniego odczuwania historii. A przecież najazdy barbarzyńców, okrucieństwa tyranów, rozkład społeczeństw, wszystkie kataklizmy, jakimi usiana jest droga ludzkości, to dziś już nie tylko kolorowe obrazki z „Wieczorów pod Lipą”, nad którymi duma działwa szkolna, ale zdarzenia z naszej rzeczywistości, z tej historii, której my jesteśmy niewolnikami i której tajemnicę z trwogą staramy się odgadnąć.

Marks i Spengler stanowią dwa krańce filozofii historii, między którymi kołaczą się umysły. Albo całość przebiegu his-

torii posiada jakiś sens, jest procesem wynikłym z jakiejś konieczności racjonalnej. Dialektyka walk i sprzeczności prowadzi wówczas ku komunizmowi, który tłumaczy sens poprzednich cykli. Albo też historia jest procesem natury organicznej, czy biologicznej. Kultury rodzą się i umierają, jak rośliny; ograniczamy się wówczas do badania ich form i podobieństw rozwojowych. Człowiek natomiast pozostaje sam sobą; nie spełnia się ani poprzez wieki historii, ani poprzez państwa, które tworzy. Spełnia się natomiast i zachowuje swą godność tylko jeśli umie odważnie spojrzeć śmierci w oczy.

Dwie powyższe filozofie nie wyczerpują oczywiście całości systemów poznawania historii w naszej epoce. Określenie **wielości systemów interpretacji**, jakiego użyłem dziesięć lat temu we **Wstępie do filozofii historii**, uchodziło wówczas za czysto teoretyczne; dziś wyraża ono polityczną rzeczywistość. Spory partii przenoszą się obecnie w dziedzinę metafizyki. Wielość interpretacji podważa ocenę zjawisk całej historii. Weźmy na przykład wszechwładną biurokrację sowiecką. Czy jest ona następczynią biurokracji carskiej, a zatem wynikiem potrzeb administracyjnych olbrzymiego imperium kontynentalnego, czy też nieuniknionym następstwem doktryny Marksa i gospodarki kierowanej? A obecny upadek Europy? Czy to ostatni etap końca Zachodu, czy też tylko ciężki kryzys, właściwy okresowi przejściowemu, między jednym a drugim systemem społecznym? Nie znaczy to bynajmniej, by należało wybierać w sposób zdecydowany albo jedną albo drugą interpretację, nieraz bowiem nie wykluczają się one wzajemnie. Można na przykład w obecnym kryzysie Starego Kontynentu widzieć wynik historycznych sprzeczności, nie wykluczając przez to dążenia do jedności, które ogarnia całą ludzkość. Filozofia szczerą, która ma odwagę wyznać, że jej możliwości poznania są ograniczone, nie popada ani w grzech pychy racjonalizmu, ani w otchłań biologicznego fatalizmu, a wnioski jej nie są ani pieśnią zapewnionego triumfu ani krzykiem rozpacz.

Filozofia materialistyczna jest optymistyczna, bo opiera się na dialektyce totalnej, zmierzającej do całkowitego spełnienia się ludzkości, ale optymizm ten jest na bardzo daleką metę. Cel swój osiąga ona nie drogą pokojowego postępu, ale poprzez serię konfliktów, a optymizm opiera na przewidywaniu płodnych katastrof. Katastrof nie brakowało, ale nie były one płodne w sensie doktryny marksistowskiej, bo wbrew jej przewidywaniom, nie były bynajmniej nieuchronnym skutkiem sprzeczności, których miały być rozwiązaniem.

Marks widział w własności prywatnej źródło podziału na klasy i przyczynę wyzysku społecznego. Wynikało z tego, że walka klas jest niejako sprężyną historii i że zniesienie własności prywatnej i zniwelowanie klas stanie się ostatnim, decydującym etapem wyzwolenia. Marks stawiał na sły złe, na sły produkcji kierujące się wyłącznie żądzą zysku, — aby

wzruszyć z posad i zniszczyć cały system. Wedle niego, własność prywatna w formie kapitalistycznej miała przez swój nadmierny rozrost doprowadzić do zbawczego wybuchu. Łatwo stwierdzić, że fakty zadawały kłam temu katastroficznemu optymizmowi, a obserwacja postępu ekonomicznego dowodzi fałszywości teorii proletaryzacji i pauperyzacji. Rozwój kapitalizmu nie prowadził bynajmniej do rozrostu warstwy takich proletariuszy, jakich oglądał Marks na paryskich przedmieściach, czy w londyńskich slums'ach. Powiększa on natomiast liczbę urzędników, czyli właśnie tę kategorię drobnej burżuazji, do której Marks czuł największą odrazę. Rozwój kapitalizmu nie doprowadził wcale do utworzenia jednego, światowego systemu gospodarczego, który byłby dał światowej klasie robotniczej możliwość wywołania światowej rewolucji; wprost przeciwnie, zamknął on proletariaty i gospodarki w przestarzałych, zdawało się, ramach narodowych.

Oczywiście, kryzysy nadprodukcji nie przestały się mnożyć, a kryzys z r. 1929 przeszedł w rozmiarach wszystkie poprzednie. Ale żaden z nich nie miał skutków decydujących, żaden nie zniweczył samego systemu. Po każdym następował nowy okres dobrobytu, w którym produkcja osiągała poziom wyższy, aniżeli w poprzednim okresie pomysłnym. Poprzez te wahania koniunktury wzrastała stale produkcja, produktywność i poziom życia mas. Kryzysy wynikają z samej istoty gospodarki liberalnej, wolnej, z jej niedociągnięć, ale nie są bynajmniej etapami jej samozniszczenia.

Postęp techniczny stwarza potrzebę nieustannych obrotów. Znaczenie poszczególnych gałęzi przemysłu, popyt i podaż na rynku pracy i rozdział surowców ulegają stałym zmianom. Jedne przedsiębiorstwa upadają, inne się rozwijają, zmieniają się gusty nabywców, po zaspokojeniu pierwszych, elementarnych potrzeb powstają i narastają potrzeby wtórne, wyższego rzędu. Teoretycznie biorąc, zmiany tego rodzaju, które można by nazwać komórkowymi, nie powinny pociągać za sobą w sposób nieuchronny ogólnej zwyczajki, czy ogólnej zniżki cen. Wzajemny stosunek cen mógłby ulegać zmianom czysto wewnętrznym, nie wywołując ruchu całości. Faktycznie jednak rytm wzrostu zapasów złota aż do roku 1914 powodował długofalowe okresy zwyczajki i zniżki.

Na tych ruchach długofalowych zarysowały się ruchy krótkofalowe, które, choć tłumaczy się je rozmaicie, wynikają z „prospekcyjnego” charakteru nowoczesnej ekonomiki, z rozdymania konsumpcji drogą kredytu, ze stosunku przemysłu produkcyjnego do przemysłu konsumcyjnego i obrotu towarowego do obrotu pieniężnego. Zjawiska pieniężne były zbyt mało znane w zeszłym stuleciu, by można było wpływać na ich kształtowanie się. Kto więc, czy nie ulegają one i dziś zbyt wielu nieznanym a zmiennym impulsom, aby można było, pomimo znacznego dokładniejszego ich znajomości, kierować nimi wedle naszej woli. Istnieje teoria tzw. „neutralizacji” pieniądza w

stosunku do pewnej ilości cen uważanych za podstawowe (stabilizacja wartości nabywczej pieniądza — przyp. tłum.), nie jest jednak całkiem pewne, czy teorię tę udało się zastosować w praktyce. Tak czy owak, dalsze powtarzanie się kryzysów nie spowoduje katastrofy; może natomiast pociągnąć za sobą wzrost tendencji ku gospodarce pół-kierowanej, konserwatywnej i narodowej, doprowadzić do dalszego rozbitcia systemu międzynarodowego i rozszerzyć jego pęknięcia, nie stwarzając warunków potrzebnych dla zbawczej reformy.

Mógłby ktoś zauważyć, że chociaż sam kapitalizm w swej typowej ewolucji nie zdążył poprzez kryzysy przejściowe ku kryzysowi ostatecznemu, to jednak poszczególne kraje kapitalistyczne Starego Kontynentu uwikłały się od początku naszego stulecia w kolejno po sobie następujące wojny i pędzą nieuchronnie ku zbiorowemu samobójstwu. Jeżeli przyjąć, że wojny XX wieku wynikły tylko z niedających się pogodzić sprzeczności ekonomicznych czy społecznych, to można by istotnie twierdzić, że przepowiednie Marksa się sprawdziły. Ale przesłanki podobnego rozumowania byłyby z gruntu fałszywe. Nigdy kapitalizm nie znajdował się w takim rozkwicie, jak w ciągu dwudziestu lat, które poprzedziły zamach w Sarajewie. Ani Rosja, mająca jeszcze do zagospodarowania olbrzymie obszary, ani Niemcy, które rozszerzały sieć swych placówek handlowych na cały świat, ani Francja, lokująca zagranicą wielkie nadwyżki swych oszczędności ani wreszcie Wielka Brytania, która, choć nie miała już pierwotnego rozpędu, to jednak nie przestawała mnożyć swego bogactwa i miała stale korzystny bilans płatniczy — nie potrzebowały bić się, aby żyć lub otwierać sobie nowe rynki zbytu. Wielki kapitał niemiecki mało się interesował Marokiem czy koleją Berlin-Bagdad. To tradycyjna dyplomacja gabinetów kryła pod płaszczykiem celów ekonomicznych swe ambicje prestiżowe i plany wzmoczenia wpływów politycznych. Nie w konkurencji nieokiełznaných ekspansji ekonomicznych należy szukać źródła wojny z r. 1914, ale w konfliktach natury **politycznej**.

Zagwią niecałą ogień wojny stały się rywalizacja Austriaków i Rosjan na Bałkanach, słabość monarchii austro-węgierskiej w dobie rozkwitów ruchów narodowych, a wreszcie odwieczna walka Germanów ze Słowianami. Kto wie nawet, czy wojny tej nie byłiby historycy nazwali „autriacką wojną sukcesyjną”, gdyby rozszerzenie się jej na cały świat nie usunęło w mrok zapomnienia jej pierwotnych przyczyn. System równowagi europejskiej nie pozwalał na zlokalizowanie konfliktu, a obowiązkowa służba wojskowa, ogrom potencjału wojennego nagromadzonego w okresie pokoju i przygotowanego do starcia przeszkodziły próbom ograniczenia metod gwałtu i przemocy. Chaos gospodarczy, czy powojenne rewolucje mają swe źródło nie w istotnych przyczynach wojny, ale w charakterze, jaki nadały jej strony wojujące, używając do walki nowoczesnych broni. Postęp techniczny, który poprzednio tak wspinał się przy-

czynił się do poprawy warunków życia, w czasie wojny wzmógł w straszliwy sposób rozmiary zniszczenia.

Ale mógłby ktoś twierdzić, że przynajmniej wojna r. 1939 spowodowana została przez kryzys kapitalizmu, boć przecież Hitler wśród bezrobotnych, którzy utworwali mu drogę do władzy, rekrutował swych robotników i żołnierzy. Nie ulega wątpliwości, że kryzys z roku 1929, którego wyjątkowe rozmiary wynikały z przedłużenia się poprzedniej wojny, jest jedną z przyczyn powstania III Rzeszy, a więc pośrednio i drugiej wojny światowej. Tym niemniej na przyspieszenie konfliktu wpłynął nie sam system własności prywatnej czy wymiany, ale rozkład gospodarki międzynarodowej i wyniki stąd trudności z jakimi borykały się te gospodarki narodowe, które, jak np. niemiecka, zależały od wielkich obrotów z zagranicą. Sytuacja nie byłaby uległa zmianie ani przez upaństwowienie ciężkiego przemysłu, ani przez wprowadzenie gospodarki kierowanej wewnątrz poszczególnych krajów. Celem ostatniej wojny, do którego w myśl szalonych programów ideologicznych dążyli zdobywcy, było stworzenie wielkiej przestrzeni gospodarczej, mającej zastąpić utraconą wolność obrotów.

Gdybyśmy więc chcieli tragedię Europy zdefiniować uproszczoną formułą, to nie powiedzielibyśmy, że państwa kapitalistyczne w poszukiwaniu rynków zbytu starły się w zbrojnym spotkaniu, ale stwierdzilibyśmy, że połączenia nowoczesnych metod produkcji z nacjonalizmem politycznym, możliwego w ubiegłym stuleciu, nie można osiągnąć obecnie. Technika nadała charakter okrucieństwa i dzikości wojnie, którą dyplomaci wywołali po prostu przez roztargnienie, ot tak jak poprzednie wojny. Kiedy na skutek podziału Europy na dwadzieścia pięć narodów powstały ramy różnych gospodarek kierowanych, sprzeczności doszły do absurdu. Niemcy, które odczuwały je silniej niż jakikolwiek inny kraj i dysponowały przeważającymi siłami, chciały sprzeczności te wyrównać i zjednoczyć Europę. W rezultacie legły, zagrzebane pod jej ruinami.

Czynnikami decydującym w historii lat ostatnich stały się więc nie własność prywatna, czy walka klas, ale postęp techniczny i konflikty narodów. Zbliżamy się w ten sposób do głównej tezy filozofii marksistowskiej: do związku między walką człowieka z naturą, a walką ludzi między sobą. Koniec cyklu ma nastąpić wtedy, kiedy człowiek stanie się panem natury. Lecz czekając nadejścia tego tak odległego dnia, warto się zastanowić, czy zniesienie pracy najemnej jest istotnie głównym warunkiem wyzwolenia człowieka.

Wedle racjonalnej dialektyki historycznej, rewolucja miała mieć znaczenie zupełnie specjalne, miała rozsądzać istniejące normy, oznaczać raptowne zerwanie z przeszłością. Czy rewolucja sowiecka jest naprawdę czymś takim? Natchnieniem marksizmu było pierwotnie dążenie do wolności. Tymczasem dziś wojujemy z komunizmem właśnie w imię wolności.

Zajmijmy się najpierw najsłabszym argumentem. Komunizm niszczy wolność formalną, objawiającą się w wyborach tajnych i prawie do opozycji. Trudno wymagać od komunizmu, by tego nie robił, bo ani kartki wyborcze ani mowy w parlamentach nie są dziś orężem rewolucji (jeżeli nawet kiedyś nim były). Ongiś, wprowadzenie ustroju parlamentarnego mogło być rewolucją, bo torowało burżuazji drogę do władzy. Z chwilą jednak kiedy ten ustrój został przyjęty, dalsze, zgodne z nim przekazywanie władzy może się odbywać tylko drogą legalną, stopniową. Jest rzeczą oczywistą, że partia czy klasa, które dążą do władzy drogą gwałtownego przewrotu, nie mogą się pogodzić z takimi pokojowymi formami. A jeżeli chodzi o opozycję, to żadna rewolucja nie tolerowała jej tak długo, jak długo sama czuła się zagrożona. Żadna też rewolucja nie dokonuje się przez wolność, nawet taka, która dąży do wolności; żadna nie jest demokratyczna, choćby nawet postawiła sobie za cel zaprowadzenie demokracji.

Nie w banalnych sformułowaniach tego rodzaju należy szukać istoty zagadnienia. Mieści się ona natomiast w pytaniu, czy polityczna i społeczna struktura, stworzona drogą komunistycznej rewolucji przewiduje odbudowę wolności w jakimś dającym się określić czasie. Przyjmijmy, że ustrój parlamentarny jest ściśle związany z kapitalizmem liberalnym i że musi razem z nim zniknąć. Pozostawmy nawet na uboczu prawo do opozycji, wyrażające się w wielości partii dążących do objęcia władzy. Państwo, jakieby nie było, opiera się zawsze na pewnym podporządkowaniu się mu obywateli, wymaga pewnej sumy jednomyślności narodowej. Jeżeli jednomyślność taka istnieje w sprawach zasadniczych, jeżeli nie ma obaw co do lojalności obywateli, to można każdemu dać prawo myślenia jak chce, przyjmując, że w chwili niebezpieczeństwa każdy podporządkuje się nakazom zbiorowości. Tymczasem społeczeństwo komunistyczne w podporządkowaniu jednostki wybiega daleko poza granice tego minimum kontroli, właściwego każdemu organizmowi państwowemu. Wszechwładza „inżynierów społecznych” nie zna granic ani przeszkód. Przeszają istnieć nawet wolności zasadnicze, które można by określić mianem podstawowych praw jednostki. Masowe przesiedlenia robotników nie są dla nich tylko koniecznością stanu wojennego, ale stają się systemem stosowanym w czasach pokojowych. Sprawiedliwość, zorganizowana tak, by wykonaniu wyroków zapewnić jak największą skuteczność, nie daje oskarżonemu żadnego gwarancji bezstronności (a przecież w systemie totalitarnym każdy może któregoś dnia stać się oskarżonym). Równocześnie technokraci o władzę prasą i siecią radiową i tworzą rodzaj religii, która, prócz posiadanej już władzy nad ciałem, daje im kontrolę ducha. Nie wystarczy im, że każą tłumom uwielbiać „mistrza” — zmuszają je jeszcze, by bez zastrzeżeń przyjmowały „linię” partii, jakie by nie były jej łamańce. Marksizm uproszczony, zredukowany do kilku zasadniczych „sloganów”,

przetwarzają na doktrynę totalną. „Politbiuro” feruje wyroki w sprawach muzyki, czy malarstwa, tak jak w sprawie planu pięcioletniego.

Oczywiście w każdym porządku społecznym potrzebny jest pewien przymus. Przesiedlaniu robotników w drodze administracyjnej przeciwstawić można podobną migrację, wywołaną bezrobociem w krajach kapitalistycznych. Państwo sowieckie zastrzegło sobie monopol wpływu na masy, ale przecież żadne inne państwo nie rezygnuje z możliwości urabiania opinii, wprost lub pośrednio, drogą prasy i radia. W Stanach Zjednoczonych organy kierujące opinią należą do rozmaitych sił politycznych i społecznych i nie zawsze uczą mądrości i roztropności. Co więcej współistnienie rozmaitych typów propagandy możliwe jest tylko o ile nie prowadzi do całkowitej kakofonii. Właściciele dzienników lub sieci radiofonicznych, choć nie mają interesów identycznych, zgadzają się co do spraw istotnych; gdyby tak nie było, oznaczałoby to koniec demokracji. Gdyby propaganda komunistyczna w Stanach Zjednoczonych osiągnęła dziś taki sam stopień gwałtowności jak propaganda antykomunistyczna, to Ameryka musiałaby wybierać między despotyzmem a końcem państwa. Nawet w umiarkowanym ustroju demokratycznym, w którym władze nie zastrzegają sobie monopolu wychowania młodzieży i pozwalają na powstawanie samodzielnych, niezależnych instytucji wychowawczych, wpaja się poszanowanie dla zasad, bez których społeczeństwo uległoby rozkładowi. Nawet w ustroju, w którym zróżnicowany wpływ społeczeństwa zastępuje jednolitą akcją państwa, jednostkę wychowuje się pod kątem jej użyteczności społecznej, a nie tylko aby dać jej możliwość samodzielnego dociekania prawdy.

Argumenty, które przytoczyłem, są niewątpliwie słuszne, tym niemniej jednak mijają się z samą istotą zagadnienia. Każda zbiorowość nagina obywateli do podporządkowania się koniecznościom pewnego typu i wpaja im zasady niezbędne dla jej istnienia. Istnieją jednak różnice w wartościowaniu tych konieczności i zasad, a różnice te są bardzo duże. Przymus i wpajanie przekonań są konieczne, stosować je jednak można w bardzo różnych dawkach. Istnieją „techniki” subtelne i barbarzyńskie, a porzucenie subtelnych na rzecz barbarzyńskich jest symptomem przejścia z ustroju demokratycznego do totalistycznego.

Pewna elastyczność rynku pracy jest w naszych obecnych warunkach niezbędna. Wahania cen, zwalnianie z pracy, jej przymus wydawały się okrutne ludziom minionego stulecia. Dla nas one są mniej rażące. System obozów pracy i przesiedleń jest niewątpliwie okrutniejszy niż metody kapitalistyczne zeszłego wieku, a tym bardziej aniżeli metody złagodzonego kapitalizmu współczesnego. Oczywiście wyznawcy pewnych ideologii wołają przymusowe regulowanie rynku pracy drogą administracyjną, aniżeli swobodne działanie prawa popytu i podaży. Tym nie

mniej pewne jest, że w Europie, a przynajmniej w Europie Zachodniej, po krótkim okresie olbrzymia większość zniechęciłaby niewolę biurokratyczną bardziej, aniżeli niewolę kapitalistyczną.

Propaganda kwitnie i w jednym ustroju i w drugim. Gdyż nikt nie chce rezygnować z tego niezrównanego środka dozowania nastrojów i gwałcenia mas. Każdy, ożywiony wolą władzy, stara się w pierwszym rzędzie zawiadnąć drukarniami i siecią radiofoniczną. Społeczeństwa indywidualistyczne jednak, choć nie mogą się obejść bez jednomyślności w sprawach zasadniczych, tolerują dyskusję nad problemami wewnętrznymi jakie mogą powstać, nad taktyką, jaką w danej chwili należy obrać, czy nad światopoglądem. Społeczeństwa tego typu nie wymagają ani jednomyślnej aprobaty każdej zmiany w polityce zagranicznej, ani oklasków czy ubóstwiania kierowników państwa, ani systematycznego zacierania granicy między faktami a ich interpretacją. Herezji nie uważa się za zbrodnię, a pomyłki w konstrukcji samolotu za sabotaż.

Wszędzie, we wszelkich epokach, zakazy wywoływały bunt u młodzieży. Wewnętrzne poczucie wolności zależy nietyle od pewnego porządku politycznego czy gospodarczego, ile od słusznej proporcji między pragnieniami jednostki a możliwością ich spełnienia. Ciężar nakazów religijnych czy moralnych nie zawsze sprzyja wewnętrznej harmonii człowieka, podobnie zresztą jak przymus nauczania jakiejś świeckiej religii. Nie ma formuły społecznej, która by dawała każdemu pewność, że będzie w zgodzie z sobą samym. Doktryna liberalna poddaje ludziom pewne idee, ale ich nie narzuca, wpływa na wybór, ale go nie dyktuje, szanuje natchnienie twórcy i dopuszcza samodzielną twórczość intelektualną i artystyczną. Doktryna Trumana nie wywiera żadnego wpływu na kompozycje Strawińskiego, podczas gdy doktryna Stalina zagraża twórczości Prokofiewa.

Ściśle biorąc, nie ma sprzeczności między wolnością i niewolą, bo i jedna i druga są nierealne, gdyż żadne społeczeństwo nie jest w stanie przyznać faktycznie wszystkim wszystkich wolności jakie zagwarantowało. Istnieje natomiast sprzeczność między dwoma „stylami” cywilizacji. Jeden z nich, przyznając wszelkie uprawnienia państwu i opierając się na ogromnej biurokracji poddanej elicie rządzącej — która z kolei słucha rozkazów jednego wodza — wprowadza jednolite i wszechwładne kierownictwo życia zbiorowego. Drugi, mając zaufanie do inicjatywy jednostki i przyznając państwu jedynie rolę arbitra koordynującego działalność poszczególnych grup społecznych, zmierza do zapewnienia jednostce pełni jej praw, bezpieczeństwa i niezależności. Jeden wymaga od wszystkich całkowitej, zarówno politycznej jak i duchowej uległości wobec władzy, doktryny, którą reprezentuje, i wodza, który ją interpretuje; drugi, choć żąda od wszystkich obywateli podporządkowania się prawu, nie wznieca dla swej korzyści uniesień wiary i nie ujmuje w ramy obowiązkowej doktryny dociekań człowieka nad jego

losem. Pod tym względem ewolucja państwa sowieckiego kończy się na ustroju świeckiej teokracji, podczas gdy państwo demokratyczne zmierza do neutralności.

Czy można stąd wnioskować, że jesteśmy znowu w obliczu walki dwu cywilizacji i że Europa Zachodnia przeciwstawia się dziś Wschodniej, podobnie jak ongiś stała naprzeciw Islamu? W pewnej mierze, tak. Biurokratyczne i teokratyczne imperium jest niewątpliwie zaprzeczeniem tego, czym jest Europa z całą swoją tradycją. Niebezpieczeństwo nie byłoby jednak groźne, gdyby nie istniało i wewnątrz naszej cywilizacji. Nie mam tu na myśli tylko tych milionów ludzi, którzy, mieszkając wśród nas, uważają się za obywateli „ojczyzny socjalizmu” (można by im zresztą przeciwstawić o wiele większe masy tych, którzy po drugiej stronie żelaznej kurtyny dążą do demokracji zachodniej). Mówiąc o niebezpieczeństwie wewnętrznym, mam na myśli fakt, że społeczeństwa nasze staczają się po pochyłej, która wiedzie do totalitaryzmu. System monopartii kładzie kres niekonczącym się walkom różnych partii, z których każda, jak to było na przykład w Niemczech weimarskich, stanowi własną totalną całość. Wprowadzenie planu totalnego rozwiązuje w sposób logiczny sprzeczności gospodarki częściowo kierowanej, która powstała znowuż jako logiczne następstwo zatrzymania się mechanizmów gospodarczych samodzielnnych. Idąc dalej, państwo rozszerza swą władzę proporcjonalnie do niekończącego się rozrostu jego funkcji i wchłania stopniowo wszelkie pośrednie organizmy społeczne. Ludziom, którzy utracili wiarę w Boga, których gnębi zwątpienie i którzy chcieliby poświęcić się i działać, totalitaryzm daje ukojenie surogatu wiary i pewności, okazję dojścia przez pracę do wewnętrznej harmonii. Komunizm jest punktem szczytowym dążenia do technokracji i przewyciężeniem anarchii grup społecznych i wierzeń: jest równocześnie spełnieniem się i zaprzeczeniem społeczeństw zróżniczkowanych, które pociąga do siebie, a jednocześnie nappełnia grozą.

Marks, głosząc walkę proletariatusz z kapitalistami, wyprzedził niewątpliwie historię, proletariat bowiem stanowił w jego epoce tylko nieznaczna mniejszość społeczeństw, a rewolucje europejskie XIX wieku nosiły charakter burżuazyjny, nie tyle ze względu na stan społeczny rewolucjonistów, ile z uwagi na cele, do których dążyli. (Wyjątek stanowią dni czerwcowe 1848 roku i Komuna paryska, ale też w obydwu tych wypadkach proletariat, odosobniony, przegrał sprawę). Dziś tezy marksizmu pozostały w tyle za postępem, stanowią anachronizm. Przy zwiększającym się stale rozdziale między samą własnością, a administracją przedsiębiorstwa — co ma miejsce i w krajach kapitalistycznych — zróżniczkowanych klas społecznych nie można dzisiaj zamknąć, nawet przy dużym uproszczeniu, w naiwnym, dualistycznym schemacie. Dziś nie sam system własności, ani stosunek między klasami, ale postęp techniczny jest czynnikiem decydującym o stopie życiowej, a nawet, po części, o rozdziale dochodu.

Ludzie jednak rzadko dopasowują się do współczesnej im historii; pozostają wierni przebrzmiałym ideologiom, choć fakty dawno zadały im kłam i nie zdają sobie sprawy, że zwycięstwo sprawy, o którą walczą, przyniosłoby skutki krańcowo różne od spodziewanych.

Aby uniknąć wyzysku pracy ludzkiej przez własność prywatną, marksiści gotowi są poddać człowieka w niewolę tyranii biurokratycznej i ideologicznej. Nie położyłyby to oczywiście kresu wyzyskowi, a tylko zmieniło jego charakter i wprowadziło zasadnicze zmiany jeżeli chodzi o ofiary wyzysku i wyzyskujących. Komunizm nie leży u kresu drogi wiodącej ku wolności, ale u kresu tej drogi, która nie wierzące w siebie, zubożałe i rozdarte społeczeństwa prowadzi ku jedności przez przymus i ku ciszy niewoli.

Marksizm, obiecujący pogodzić skłóconą ludzkość przez panowanie nad naturą i porządkiem społecznym, jest niewątpliwie częścią składową tradycji europejskiej, wyraża jej wiarę i racjonalistyczną pewność. Natomiast marksizm przybierający postać imperium teokratycznego i biurokratycznego stałby się zaprzeczeniem całej spuścizny europejskiej. Historia zadała kłam racjonalnej dialektyce, wymyślonej przez katastroficzny optymizm młodego Marksa i narzuciła Europie brzemień rozdarć wewnętrznych i zewnętrznych. I tu powstaje pytanie, czy cywilizacja, która nie umie sobie dać rady z rozbijającymi ją sprzecznościami, nie jest skazana na zagładę. I czy, przekonawszy się o niesłuszności przewidywań Marksa, nie należałoby przyjąć za prawdopodobną wizję przyszłości Spenglera.

Nie bez dużej dozy słuszności można by twierdzić, że upadku Europy nie mamy w perspektywie **przed sobą**, ale że jest już on **poza nami**. Wystarczy spojrzeć na ruiny rozsiane między **Atlantykiem a Wisłą**, aby się o tym przekonać. Wystarczy przeczytać ostatnie rozdziały **Upadku Zachodu**, aby zauważyć z jaką dokładnością sprawdziły się wyrażone w nich przewidywania. Wszędzie załamały się tradycyjne hierarchie i pozrywały się więzy łączące ludzi z ich ziemią i społeczeństwem. Masy miejskie, oderwane od tego środowiska, idą posłusznie, za głosem agitatorów. Partie stają się armiami i skupiają się wokół wodzów. Rozrost panowania pieniądza przyspiesza rozkład parlamentaryzmu, który się kończy na cesaryzmie. Kultura dobiega końca swego cyklu przemian. Krew i przemoc gromadzą po raz ostatni, u schyłku cywilizacji, rozproszone jednostki. Nie można zaprzeczyć że wiek Cezarów przepowiedziany przez Spenglera jest dziwnie podobny do epoki w której żyjemy. A jednak fatalizm śmierci nie wydaje się nam bardziej przekonujący, aniżeli fatalizm postępu.

Nie ulega wątpliwości, że Europa przeżywa w sposób patetyczny sprzeczności nowoczesnego świata. Nawet gdyby się jej udało odizolować od reszty świata, gdyby nie była rozdarta „Wielką Schizmą”, to jeszcze musiałyby doprowadzić do pewnego mini-

mum jedności wewnątrz poszczególnych narodów, i do pewnego minimum porządku w stosunkach między narodami. Gospodarcze cofnięcie się wstecz wzmaga napięcie między klasami społecznymi. Miliony robotników czy urzędników, żyjące w ogromnych skupiskach i które, zerwały związek z ziemią, z całą przeszłością życia zbiorowego straciły wiarę i cierpliwość, jakie cechowały ich przodków. Państwa narodowe stanowią anachronizm w czasie pokojowym, a stają się śmiertelnym niebezpieczeństwem dla samych siebie, kiedy prowadzą wojny w epoce, w której środki walki są nieporównanie potężniejsze, aniżeli w przeszłości. Europa będzie musiała, zdaje się, tak długo kołatać się między pozbawiającym ją siły rozproszkowaniem a barbarzyńskim despotyzmem, dopóki nie stanie się zdolna do odrodzenia jednej hierarchii, cieszącej się autorytetem moralnym i wszystkich, i jednego światopoglądu, przyjętego przez wszystkich. Droga do tej jedności jest niezwykle trudna.

By zaspokoić żądania mas, Europa potrzebuje dobrobytu, a więc gospodarczej ekspansji. Tymczasem straciła monopol techniki, którą stworzyła, a co więcej dała się wyprzedzić swym naśladowcom. Dogonić by ich mogła tylko drogą rewolucji, która by przemieniła ją w wielki obszar gospodarczy i otworzyła drogi do terenów nadających się do zagospodarowania w Azji, Afryce i Ameryce południowej, oraz zapewniła jej rynki zbytu i dała możliwość pokrycia nadwyżki zakupów poczynionych na półkuli zachodniej sposobem trójstronnych transakcji. Europejczykom potrzeba by więc niezwykle silnej woli zbiorowej, by odbudować ruiny, oduczyć się barbarzyństwa i odkryć na nowo sztukę życia. Tego olbrzymiego zadania trzeba nam się podjąć w chwili, kiedy musimy się bronić przed wrogiem, który czyha na każdy objaw słabości, by nas podbić lub wywieść w pole. Dlatego trudno patrzeć się ze zbytnim optymizmem na możliwości wykonania tego zadania.

A jednak wyrok zagłady na naszą cywilizację nie został z góry wpisany do księgi przeznaczenia. Europa jest zniszczona, ale nie wyczerpana. I czy chodzi o malarstwo, rzeźbę, muzykę, czy o wiedzę, jest nadal źródłem, z którego tryska myśl i natchnienie. Emigracja najwybitniejszych uczonych zmniejszyła, rzecz prosta, wydajność tego źródła i nie jest wykluczone, że niedługo Stany Zjednoczone do swej supremacji w zakresie wiedzy stosowanej dodadzą palmę wyższości w dziedzinie czystego badania. Dzięki nieograniczonym środkom i doskonałej organizacji mogłyby one przejąć rolę pioniera przedzierającego się przez gąszcz ukrytych dotąd zagadek, rolę, którą od dwu wieków piastuje Europa. I to jednak nie jest jeszcze pewne. Europa, choć leży w ruinach, jest nadal dla artystów mistrzynią śmiałych koncepcji i wyobraźni; choć jest ofiarą własnych rozterek i rozterek świata, pozostaje nadal źródłem natchnienia. Nędza, w jakiej znajduje się dzisiaj Europa, nie jest bynajmniej następstwem jakiejś nieuniknionej ewolucji. To społeczeństwa europejskie, demokratyczne i prze-

mysłowe, spowodowały same swoje zniszczenia, bo kochały się zbyt w wojnie.

Co więcej, przyjmując nawet, że katastrofy są równie niebezpieczne w skutkach, jak powolne konanie, to istnieje przecież zasadnicza różnica między upadkiem Europy a zanikiem minionych kultur. Odosobnienie kultur, o którym pisze mniej lub więcej jasno Spengler nie było nigdy rzeczywiste w sposób całkowity. Tym mniej można mówić o rzeczywistości tego zjawiska w epoce dzisiejszej.

Mógłby zagać styl kultury europejskiej, ale nie zginęłyby jej dzieła. Europa posiadała swe idee po całym globie. Obydwie Ameryki, a nawet Związek Sowiecki odziedziczyły je i potrafią przechować bez niej, podtrzymując w ten sposób jej chwałę. Co więcej, ta sama technika, która pomnożyła środki zniszczenia, zachowuje obrazy pomników, które obróciła w niwecz. Choć biblioteka w Lowanium spłonęła podobnie jak aleksandryjska, to jednak nie wiele zginęło przy tym książek, których nie można by odtworzyć. Można by łatwo przekazać część naszej cywilizacji, zwłaszcza to co dotyczy wiedzy i sposobów działania; nawet jednak druga jej część, nie dając się przekazać, nie zaginęłaby w całości dzięki pozostałym kopiom czy reprodukcjom.

Czynnikiem decydującym w naszej epoce nie jest ani kapitalizm, ani socjalizm, ani walka klas, ani stopień siły tych ostatnich w społecznościami opartej na hierarchii i nieograniczonym autorytecie władzy. Czynnikiem tym jest właśnie niesłyszany rozwój wiedzy i techniki, będący przyczyną i kryzysu społecznego narodów europejskich i widma zagłady, jakie im grozi. To co Spengler uważał za rozkład życia zbiorowego, wygląda w perspektywie postępu ekonomicznego na nieuniknione zaburzenia towarzyszące dojrzewaniu nowego porządku.

Kiedy jakiś kraj rozpoczyna proces uprzemysłowienia, to w pierwszym okresie fabryki ściągają do siebie całą nadwyżkę robotników rolnych i rzemieślników. Jest to okres masowych wędrówek ludności, okres ubóstwa bardziej skoncentrowanego i dotkliwego aniżeli w ubiegłych stuleciach. Marks ongiś piętnował okrucieństwa społeczne Anglii i Francji w pierwszej połowie XIX wieku, my dziś piętnujemy okrucieństwa, jakich się dopuszcza Rosja w analogicznym okresie gromadzenia kapitału. W miarę jak wzrasta i produkcja i wydajność pracy, podnosi się także ogólny poziom życia. Następuje nowa wędrówka, tym razem z fabryk do biur, z roli czy kopalń do transportu i urzędów. W tym stadium znajdują się Stany Zjednoczone, które zamieniają się w społeczeństwo nie proletariuszy, lecz urzędników.

Wędrówki tego rodzaju nie mogą obejść się bez wstrząsów, których skutki można złagodzić, ale których uniknąć nie sposób. Na próżno staralibyśmy się odtworzyć strukturę społeczną zblizoną do dziś już raczej legendarnego ideału społeczeństwa średniowiecznego. Zbyt wielu ludzi wykorzenia się co roku z ich tradycyjnego środowiska, wtłacza w obce formy i rozpłaszcza w bezdusznych tłumach. Społeczeństwa przemysłowe podlegają bezu-

stannym i nieokreślonym zmianom. Wszyscy, którzy świadomie lub półświadomie próbują je ustabilizować doprowadzają je do całkowitego wyjałowienia i w następstwie do jeszcze większego kryzysu. Wędrówka z jednego zawodu do drugiego nie powoduje oczywiście od razu zaniku starych wierzeń i tradycji. Pod tym względem najmniej dotknięte są właśnie te kraje, które, jak W. Brytania, czy nawet po części Stany Zjednoczone, chronią układ stosunków tkwiący korzeniami w odległych tradycjach oraz system przekonania i wierzeń, który dzięki podporządkowaniu mu się jednostek trzyma w karchach życie całego społeczeństwa. Najgorszy jest los tych krajów, które cementu dla powiązania jednostek tkwiących w bezdusznych środowiskach miejskich szukać muszą w mitologii rasy lub w ideologiach politycznych.

Postęp gospodarczy wzmógł w znacznie większym stopniu tarcia między państwami aniżeli tarcia wewnątrz nich. W ciągu wielu wieków potęgą wojskowa państwa wynikała z liczby ludności, która ulegała tylko bardzo nieznacznym i powolnym zmianom, z położenia strategicznego, które mogło zmienić się całkowicie wskutek odwrócenia się kierunku dróg handlowych, z jedności moralnej, stałości ustroju, zalet rządów kraju, a wreszcie z czynników politycznych, uchodzących za mające decydujący wpływ na wielkość i upadek narodów. Tymczasem od XIX wieku, w ciągu paru dziesiętności lat, ludność krajów wzrosła o połowę, a ich produkcja pięć lub dziesięciokrotnie. Nowoczesna cywilizacja uzależniła potęgę państw od czynników materialnych.

Żadna armia nie jest dziś w stanie zrównoważyć braków w zaopatrzeniu odwagą i męstwem, a żaden naród nie może zastąpić przemyślnością braku środków energetycznych czy surowców. Są, rzecz prosta, narody, którym się udało bez wielkich bogactw naturalnych osiągnąć bardzo wysoką stopę życiową. Norwegia zawdzięcza swą zamożność w bardzo dużej mierze flocie handlowej, której rozwój był przecież wyłącznie dziełem pracy ludzkiej, a nie natury. (Boć i inne kraje mają długie wybrzeża, ale nie mają równie zdolnych kapitanów dalekich rejsów). Holendrowie także wyposażyli bogowie tylko w pracowitość i rozum, odmawiając im innych darów. Tym niemniej, państwu, które dąży do potęgi, nic nie jest w stanie zastąpić bogactw naturalnych. Czynnikiem, który nieodwołalnie zadecydował o upadku Francji a rozroście Niemiec, stał się podział zagłębi Lotaryngii, Luksemburga, Belgii i Ruhry, dokonany przez Kongres Wiedeński, bo sąsiedztwo zasobnych złóż węglowych wpłynęło na rozwój ciężkiego przemysłu. Ani zręczność dyplomatów, ani odwaga narodów, ani śmiałość pomysły rządów kraju nie mogą zastąpić węgla, stali, czy — może niebawem — bomby atomowej. I dlatego imperium Mussoliniego zakończyło się operetką.

Dawniej, kiedy zmiany w układzie sił następowały powoli, mężowie stanu mieli o wiele więcej możliwości pokojowego załatwiania konfliktów. Dziś dysproporcja między rozmiarami niektó-

rych imperiów a zasobami metropolii, między ich znaczeniem politycznym a potencjałem wojennym wychodzi na jaw w sposób jaskrawy w ciągu paru lat. Zanik przyrostu ludności we Francji i słaby rozwój jej przemysłu stały się, łącznie z nadzwyczajnym rozrostem Niemiec, jedną z głównych przyczyn konfliktów europejskich.

Postęp techniczny uwypukla czasowo istniejące różnice. Między ludami Azji, mającymi średni roczny dochód na głowę mieszkańca w granicach od 50 do 100 dolarów, a białą ludnością Europy lub Ameryki, której roczny dochód wyraża się w setkach dolarów, istnieje różnica stworzona pracą szeregu pokoleń.

O wiele poważniejsze w skutkach są różnice istniejące pomiędzy rozmaitymi krajami strefy wysokiego rozwoju techniki. Kontrast między wiekowym ubóstwem chińskiego chłopca a bezprzekładnym bogactwem obywatela amerykańskiego nie spędza snu z powiek ludzkości, ale gospodarze cofnięcie się wstecz Europy na kilka dziesiątek lat stwarza stan stałego wrzenia u starych narodów, stojących poprzednio na czele technicznego postępu. Spóźnienie się Europy w stosunku do Stanów Zjednoczonych utrudnia utworzenie międzynarodowego systemu i wymiany „trójkątnej”. Jeżeli chodzi o Rosję, to weszła i ona na drogę technicznego postępu, a ustrój jej może zwolnić jego tempo, ale nie może go całkowicie zatrzymać*). Związek Sowiecki poświęca na razie większą część swej nadwyżki produkcyjnej na, wzmocnienie swej potęgi, a nie na podniesienie stopy życiowej.

W dalszej przyszłości zmierza Rosja także do dobrobytu, ale obecnie stawia na siłę i utrzymuje stan paniki. Idzie ślepo za ideologią, która w stosowanej przez nią formie jest absurdalna i kłamliwa, a która utwała w niej przeświadczenie, że kapitalizm skazany jest na śmierć i że do niej należy wykonanie wyroku.

„Wielka schizma” może doprowadzić do apokaliptycznej katastrofy, w której zginie nie tylko stara Europa, ale cała cywilizacja. Jeżeli jednak ludzkość ocaleje z katastrofy, to postęp techniczny pozwoli jej wyleczyć rany, nieuchronnie towarzyszące zwycięstwu. Dzięki monopolowi kilku rodzajów broni, posiadających znaczenie decydujące, będzie można doprowadzić do wojskowej jedności globu, nie uciekając się ani do imperializmu ani do totalitarnej biurokracji. Dzięki wydajności i ekonomice pracy na niższych szczeblach produkcji, będzie można większość ludności zatrudnić na szczeblu wyższym. Ludność ta będzie dość zamożna, by wykształcić wszystkie swe dzieci i będzie miała dość czasu wolnego, by uniknąć obsesji, wywołanej monotonią zajęcia. Postęp techniczny nie powoduje, rzecz prosta, sam przez się postępu moralnego czy duchowego. Istnieje jednak duże prawdopodobieństwo, że społeczeństwo, któremu uda się zrzucić ciężar wiekowego niedostatku, zbliży się do stanu wewnętrznej harmonii i poświęci zagadnieniom

* Fourastii (La civilisation de 1960) przypisuje Rosji na r. 1960 roczny dochód 336 dolarów na głowę mieszkańca.

wyższego rzędu, a w każdym razie pozwoli większej liczbie ludzi korzystać ze skarbów ducha, które w poprzednich wiekach dostępne były tylko jednostkom. Nawet w czasach, które z oddalenia uważamy za okres równowagi i dostatku, promieniowanie kultury, które dochodziło do mas, poddanych narzuconej dyscyplinie, było bardzo słabe. A tylko poprzez postęp techniczny możemy dojrzeć przyszłość odległej jeszcze cywilizacji, nie zbudowanej na niewolnictwie. I dlatego wszyscy przeciwnicy postępu technicznego, chcąc nie chcąc, są zwolennikami niewolnictwa.



Czy wychodzi się z założeń Marksa, czy z założeń Spenglera, dochodzi się nieuchronnie do postępu technicznego i do jedności świata. Postęp techniczny jest czynnikiem, który równocześnie pozwala nam uwierzyć w powołanie społeczeństwa ludzkiego i każe obawiać się apokaliptycznej katastrofy. Nie ma demokracji, jeżeli jedna partia odbiera innym wszelkie możliwości odegrania się i uważa swe zwycięstwo za ostateczne. System równowagi skazany jest na zagładę, kiedy wojna staje się bezwzględna a klęska równoznaczna jest z unicestwieniem.

Zbliżamy się do okresu jeżeli nie powszechnego imperium, to monopolu siły wojskowej. Rozmaite, zbliżone do siebie, ale nie zniwelowane kultury, poprowadzić mogą owocną rozmowę, o ile rozmowa ta nie potoczy się przy akompaniamencie bomb atomowych. Związek Sowiecki mógłby zrealizować jedność, ale cena jej byłaby zbyt wygórowana. Raz jeszcze ludzkość zapłaciłaby niewolą za pokój. I nawet gdyby potomkowie nasi, przyzwyczajwszy się do tyranii, albo uwolnwszy się od niej, mieli kiedyś błogosławić naszą klęskę, bo oznaczałaby ona koniec epoki wielkich wojen, to ten wyrok przyszłości nie mógł by wpłynąć na nasze stanowisko. Przy wyborze drogi patrzy się nie na wieki wprzód, ale na lata tylko, a potomność nie słyszy jęków pomordowanych ofiar.

Uwagi powyższe miały za jedyny cel zrzucić urok trwogi i rozpaczy, któremu się poddajemy. Żyjemy w jednej z najbardziej tragicznych, ale równocześnie najwspanialszych epok historii. Może, bawiąc się zabawką, którą jej geniusz stworzył i dał w jej dziecinne ręce, ludzkość unicestwi się sama. Ale choćby przewyciężyła schizmę, która ją rozdziera, podporządkowała się jednemu dla wszystkich prawu, to, wyzwolona z niewoli ale nie z niepokoju, nie przestanie szukać swej drogi, badając niebo i siebie. Historia nie potrafi rozwiązać zagadki naszego przeznaczenia...

Wystarczy nam wiedzieć, że wysiłki nasze mają jakiś sens. Przestańmy marzyć i powróćmy do powszedniej pracy.

Raymond ARON.

Autoryzowany przekład Daniela Świeżawskiego.

Naród w wędrówce

Jak to pięknie i ściśle opisał już P. Hostowiec w swym świetnym reportażu z roku 1945/46, emigracja ukraińska robi na tle innych wrażenie bardziej „rutynowanej”. Ma ona za sobą bądź co bądź doświadczenie niemal trzydziestoletnie — a ten okres czasu wystarczył dla opanowania swoistej „techniki” tego rodzaju egzystencji.

Życie społeczno-organizacyjne, opieka nad młodzieżą, szkolnictwo, teatr, instytucje kulturalne i charytatywne — wszystko to robi na pierwszy rzut oka wrażenie solidne a nawet imponujące. Dostyc przypomnieć, że np. Uniwersytet ukraiński (jedyny na kuli ziemskiej) będzie niedługo obchodził trzydziestolecie swego wędrownego żywota. Co prawda dłuższy okres tego żywota przypadał na stosunkowo ustabilizowany okres pobytu w Pradze czeskiej.

Regularnie wychodzi kilka dzienników, systematycznie ukazują się książki, istnieje nawet — i to na dosyć wysokim poziomie — pismo humorystyczne (znany czytelnikowi polskiemu z przedruków „Łys-Mykyta”). Gorzej przedstawia się sprawa z miesięcznikiem — dotychczas były tu tylko próby... A szkoda...

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że za tym wszystkim nie ma ani tradycji niedawnej państwowości (wspomnienia jej z lat 1917-20 z konieczności zbladły) ani żadnych źródeł finansowych i że to, co nazywamy społeczeństwem ukraińskim na emigracji jest materialnie na ogół biedne, a ponadto poważnie nadszarpnięte wydarzeniami lat ostatnich, to patrząc na ten obraz nie możemy się oprzeć uczuciu pewnego podziwu. Jednakże jeśli zważymy z drugiej strony, że wśród emigracji tej poważny odsetek stanowi element mniej lub więcej inteligentki i że obecna fala emigracji spotkała na obczyźnie emigrację poprzednią z jej gotowymi niejako formami organizacyjnymi, to zrozumiemy, że działała w tym wypadku już swoista tradycja emigracyjna.

Ten fakt spotkania się starszej i młodszej emigracji nie odbył się, z wielu rozmaitych przyczyn, tak idyllicznie, jakby to się mogło wydawać. A mamy tu raczej do czynienia z zakrojonym na dłuższą metę procesem, który można by nazwać rodzajem osmozy. I choć formalnie scalenie obu emigracji już nastąpiło (istnieje wspólne centrum reprezentacji politycznej), to jednak

scalenie pod względem psychicznym i kulturalnym trwa w dalszym ciągu. Ten fakt położył piętno na życiu kulturalnym emigracji ukraińskiej. Jest to zjawisko ciekawe, a może i obiektywnie pouczające.

Należy pamiętać, że tak zwana żelazna kurtyna, z którą narody Europy Zachodniej zaznajomiły się bliżej dopiero w roku 1945, stanowiła przez długie dziesięciolecia potężny czynnik w życiu narodu ukraińskiego, co nie mogło nie pociągnąć za sobą poważnych następstw. Dopiero ostatnie trzy lata emigracji pokazały całą wagę i doniosłość zmian, dokonanych na człowieku w laboratoriach ludzkich ZSSR — i to na przestrzeni całego pokolenia.

Powiemy to od razu: znalezienie wspólnego języka dla ludzi z tej i z tamtej strony żelaznej kurtyny nie było i nie jest — jeśli pominiemy poszczególne wyjątki — rzeczą prostą i łatwą. Żelazna kurtyna i znajdujące się za nią laboratoria sowieckiej wiwisekcji potrafiły zmienić przeciętnego mieszkańca Ukrainy nawet pod względem fizycznym: inny wzrost, inne oczy nawet...

Dużo znikło z zewnętrznej ukraińskości tak jaskrawej jeszcze przed dwudziestu laty. Ale dużo się zmieniło i wewnątrz. Nie znaczy to bynajmniej, że poziom intelektualny czy duchowy Ukraińca z tej lub z tamtej strony Zbruczka jest wyższy czy niższy. Chodzi tu o coś bardziej subtelne i nieuchwytnego. Byłoby grubą nieścistością powtarzać stereotypowe twierdzenia o „obniżeniu świadomości narodowej” itd. Zresztą temat ten wymagałby specjalnego studium, przerastającego rozmiary niniejszego artykułu.

Nie można jednak nie podkreślić takiego na przykład szczegółu: stosunkowo nieliczne pewniki, z których składa się katechizm tzw. świadomości narodowej każdego człowieka, jest dla „wschodniego” Ukraińca przeważnie szeregim tez, które trzeba by dopiero udowodnić. **Formalnie** — można by było zapisać to na rachunek sowieckich zdobyczy z dziedziny „niezrównanej leninowsko-stalinowskiej polityki narodowościowej”. Ale taki wniosek byłby co najmniej zbyt pośpieszny i w gruncie rzeczy błędny. W tym wypadku chodzi bodajże o rzeczy z dziedziny terminologii, a nie o samą istotę sprawy.

Bardziej niepokojące wrażenia robi swoisty kompleks niższości w stosunku do kultury sowieckiej (a więc, ostatecznie, rosyjskiej), która w pojęciu tych ludzi jest mimo wszystko kulturą „bardziej postępową”. Oczywiście wkorzenie tego kompleksu kosztowało sowiecki aparat państwowy dużo wysiłku. Wszczepiany za pomocą terroru przez długie dziesięciolecia kompleks ten nabrał charakteru „wyznania wiary” człowieka sowieckiego. Z drugiej strony — i to jest najboleśniej — człowiek ten, spragniony od lat Europy Zachodniej i przez pewien czas karmiony jej mitem, wpatrzony w jej wizję, — ujrzał nareszcie tę Europę... ze stanowiska Ostarbeitera, kacetowca i w ogóle „untermenscha”. Ujrzał zamiast opiewanych prozą i wierszem wspańiałości — rzeczywiste ruiny i zgliszcza. A odczuł straszliwą

próżnię moralną i ideową.

O ile z przesadą „wyższości” („postępowości”) kultury sowiecko-rosyjskiej można dyskutować, o tyle z realnym doświadczeniem „untergangu” europejskiego trudniej sobie dać radę, gdyż tu argumentów — po wyczynach hitlerizmu — pozostało dosyć, i to przeważnie ze sfery nie rozsądku, a urazów.

Przejętny intelektualista niemiecki, nawet z tych przedwojennych, niestety nie zdaje sobie po dziś dzień sprawy, jak wiele zrobił dla zdyskredytowania Zachodu na wschodzie Europy właśnie niemiecki nacjonalizm. Jakże prorocza była i w swoim czasie niedoceniana książka Maciss'a („Défense de l'Occident”) i jak często przypominały się w ciągu lat 1939-45 jej fragmenty, poświęcone psychologii narodu, którego „geokulturowa” predyspozycja była obrona Zachodu...

Ale czas robi swoje i niedawny komsomolec lub były inteligent sowiecki nawet najbardziej „spreparowany” lub „redukowany” zaczyna przychodzić do zdrowia po tej chorobie „moskwocentryzmu” psychicznego i kulturalnego, która nawiasem mówiąc połączona była nieraz z chorobą „moskwocentryzmu” psychiczno-politycznego, to znaczy z wiarą w istnienie — „mimo wszystko” prawdziwego, czystego, porywającego „komunizmu antystalinowskiego”. Jak to do złudzenia przypomina wiarę ich ojców i dziadów w prawdziwą, odrodzoną, wspaniałą „Rosję antycarską”!

Ten proces wewnętrznego scalania psychiczno-kulturalnego współczesnej emigracji ukraińskiej, aczkolwiek rozciągnął się na lata, to postępuje naprzód tym gruntowniej, że odbywa się on nie przy pomocy „uświadamiania” lub propagandy, lecz wewnętrznym codziennym wysiłkiem samych emigrantów, „szarego człowieka” emigracji.

Mimo całego „preparowania” i „redukcji” dokonywanej przez Sowietów, gros nowej emigracji ukraińskiej przyjmuje życie wśród zgłiszcz i ruin Europy jako wielkie i niespodziewane, a przy tym nieco niepewne, szczęście osobiste (powodów dla powstania tego uczucia niepewności było aż nadto w latach 1945-46, a częściowo i 1947).

Można by przytoczyć tutaj przykłady wrzeszczące, zwłaszcza wśród inteligentów zawodowych starszej generacji. Profesor M. z Kijowa już od trzech lat znajduje się w stanie „upojenia wolnością”: wolno pisać co się chce, można robić, co się chce, można myśleć bez obaw i głośno... Toteż, mimo że mieszka w jednym pokoju wraz z czterema rodzinami, to od rana do wieczora opętany jest istnym szałem pracy naukowej i organizacyjnej. Udało mu się wyprosić od administracji obozu część piwnicy, gdzie urządził prawdziwe muzeum historyczne wraz z klubem dla naukowców i biblioteką, pismami, ogromną korespondencją... Takich „pijanych wolnością” ludzi jest niemało także wśród przedstawicieli innych warstw społecznych, które są jakby odrodzeniem po długich strasznych latach sowieckiego zglajchsztaltowania.

O, nie wszystko zostało zniszczone w człowieku przez sowiecką maszynę zabijania duszy podczas długich lat przebywania w sowieckich fabrykach śmierci! Zdeformowano do pewnego stopnia rozum, wypaczono logikę, wszczepiono pewne kompleksy i przesady, wreszcie — i to najboleśniejsze — przyćmiono pamięć narodowo-historyczną,* ale osobowość narodowa i ludzka, choćby okaleczona i zmniejszona, choćby ściśnięta do minimum, pozostała w swej substancji żywa i zdolna do rozwoju, tak jak najmniejszy kryształik zachowuje zdolność do rozrostu w odpowiednich warunkach.

Istnieją więc pewne granice, których nie może przekroczyć nawet tak doskonały aparat, jak nastawiony na wyrzeźbienie indywidualności ludzkiej państwowy aparat sowiecki.

Tą substancją nie do zniszczenia w psychice ukraińskiej okazało się przede wszystkim serce, gdyż naród ukraiński był od niepamiętnych czasów narodem, że tak powiem, „kordocentrycznym”.

I to ocalałe „serce” ukraińskie, przyniesione przez nową emigrację, stało się jak gdyby drogocenny dar Ojczyzny dla starej emigracji, dar i przypomnienie.

Fakt ten odbił się wyraźnie w dziedzinie twórczości, toczącej się bezpośrednio z sercem i psychiką ukraińską, a więc twórczości artystycznej. Twórczość ta otrzymała jak gdyby nowy impuls. Najjaskrawiej da się to zaobserwować w plastyce, którą trzeba by w hierarchii ukraińskich osiągnięć artystycznych na emigracji postawić na pierwszym miejscu. Właśnie w dziedzinie rzeźby, malarstwa i (tradycyjnej) grafiki zetknięcie się ukraińskich artystów z „Zachodem” i „Wschodem” odbyło się najbardziej harmonijnie i dało najbardziej konstruktywne wyniki. Nawet na odcinku czysto organizacyjnym: plastycy zdążyli opublikować już monografię o rzeźbiarzach i wydali jak dotychczas dwa niemal luksusowe numery czasopisma „Ukraińskie Mysterstwo” (Sztuka Ukraińska) w Monachium. Mają oni też za sobą już kilka wystaw — nawet jak na Monachium bardzo reprezentacyjnych.

Rzecz ciekawa: rzeźba z braku państwowości nigdy nie była silną stroną plastyki ukraińskiej, grafika i malarstwo zawsze przeważały i oto stoimy wobec paradoksu: olbrzymi wprost postęp rzeźby w ostatnim okresie. Jeżeli kilka dziesiątek lat temu głośnym — na skalę światową — co prawda — był jedynie Aleksander Archypenko (obecnie w Ameryce), artysta raczej eks-

*) W pokoleniu, liczącym obecnie 20-30 lat, w rezultacie odpowiednich wykładów np. historii w szkołach sowieckich, znajomość historii i kultury własnego narodu przedstawia się bardzo smutno. Co więcej, pokolenie to zupełnie nie zna wybitniejszych działaczy i pisarzy, głośnych jeszcze w latach dwudziestych, gdyż utwory np. Chwyłowego, Zerowa, Pidmohyńskiego (prozaika wysokiej klasy) i wielu, wielu innych, zostały usunięte z bibliotek i życia sowieckiego automatycznie, wraz z fizyczną likwidacją całego pokolenia twórców tej doby. Stąd nieunikniony «moskwocentryzm» literacki i kulturalny tego pokolenia. Wszystko co lepsze — to rosyjskie.

perymentu niż do końca doprowadzonych osiągnięć, to dzisiaj rzeźbę ukraińską reprezentują utwory całego szeregu dojrzałych artystów. Jeżeli nazwiska ich nie są głośne, to przyczyn tego nie należy szukać w ich twórczości, są one innej — nic ze sztuką nie mającej wspólności — natury.

Oto **Bohdan Muchyn**, artysta może najbardziej rasowy — tyle w nim istic ukraińskiej, nieco „stepowej” ekspresji, poeta ruchu, który potrafi jakoś dziwnie połączyć majestatyczny naturalizm z niemal zdematerializowanym impresjonizmem, do czego nadaje się oryginalny jego materiał — wosk.

Całkowitym jego przeciwieństwem jest **Grzegorz Kruk**, produkt szkoły europejskiego Zachodu, zapatrzony w monumentalizm i świat antyczny, ale stawiający sobie jednocześnie zadania kategorii czysto psychologicznej.

Na uboczu od nich stoi chełmszczanin **Antoni Pawłoś**, liryk ciała raczej dziewczęcego niż kobiecego, mistrz śpiewno-nieuchwytnych linii, subtelny i harmonijny. W aktach jego odczuwamy coś muzycznego.

To są nazwiska nowe. Bardziej znany jest **Wasył Masiutyn**, zasłużony twórca medalionów, który w małym medalionie potrafi zamknąć cały ogrom temperamentu, myśli i ekspresji postaci historycznych (zwłaszcza Mazepy). Medaliony jego to arcydzieła tej „małej”, lecz jakże trudnej i wymagającej formy. Należy jeszcze wspomnieć **Teodora Jemca**, przed laty profesora berlińskiej akademii sztuk pięknych, mistrza przeważnie brązu i artysty, którego dojrzała pewność ma za sobą długą i zmuśną drogę poszukiwań i rozwoju.

Grafika i malarstwo ukraińskie mają długą i wielką tradycję. Toteż trudno się dziwić wysokiemu stosunkowo poziomowi współczesnego malarstwa, a tym bardziej grafiki, który reprezentuje emigracja. Jeśli zdamy sobie sprawę z warunków, w jakich znalazła się plastyka ukraińska za żelazną kurtyną, to zrozumiemy, że na emigracji znalazł się każdy, kto mógł się uratować. Nie znaczy to bynajmniej, że w kraju nie pozostało nic, ale plastyka ukraińska ma tam oczywiście życie bardzo ciężkie i skomplikowane.

Wymienimy tu pobieżnie tylko kilka nazwisk. Jeden z mistrzów starszej generacji to **Wasył Kryczewskyj**, znany pejzażysta i profesor kijowskiej akademii sztuk pięknych. Znany przedtem jako grafik **Nikoła Butowycz** obecnie przeszedł nie spodziewanie na malarstwo olejne dając szereg ciekawych kompozycji o dużym temperamencie kolorystycznym. Nadzwyczaj płodny kontynuator neobizantyzmu to **Edward Kozak**, lepiej znany jako doskonały karykaturzysta.

Z młodszej generacji na pierwszym miejscu trzeba by wymienić **Michajła Dmytrenko**, który rozwiązuje z rozmachem problemy portretu monumentalnego. Następnie bujny i nie całkiem jeszcze zrównoważony kolorysta **Mychajło Moroz** oraz subtelniejszy w barwach i ściślej w rysunku **Stefan Lucyk** (oba pejzażyści).

Ciekawe są stylizacje typu fresku u **Michaliny Stefanowicz** i kompozycje byłego „paryżanina” **Boraczka**.

Z grafiki pod względem osiągnięć stylistycznych i zdecydowanego wyrazu zwraca uwagę **Jakób Hnizdowskyj**. Wśród krytyków i jednocześnie organizatorów plastyki na emigracji wybitne miejsce zajmuje malarz i pisarz jednocześnie — **Swiatosław Hordynskyj**.

Bezpośrednio po plastyce — jeśli chodzi o skalę osiągnięć i stopień zorganizowania — stoi teatr. Nie biorąc pod uwagę mniejszych zespołów, które zazwyczaj nie stawiają sobie zadań czysto artystycznych, istnieją na emigracji dwa zespoły o wyraźnym obliczu teatralno ideologicznym. Istnienie ich zawdzięczamy niemal wyłącznie „drugiej” emigracji, która przyniosła ze sobą żywe tchnienie olbrzymich osiągnięć współczesnego teatru ukraińskiego, dokonanych w drugiej połowie lat dwudziestych, kiedy teatr w kraju miał stosunkowo duże możliwości rozwoju (jeśli nie duchowe, to w każdym razie materialne). Okres ten w historii teatru ukraińskiego wiąże się ściśle z nazwiskami teatrologa i reżysera **Lesia Kurbasa** i dramaturga **Mikołaja Kulisza**, dawno już przez władze sowieckie „zlikwidowanych” wraz z teatrem „Berezol”, który wspólnie stworzyli.

Na emigracji znalazł się cudem jeden z najbliższych współpracowników Kurbasa — **Józef Hirniak**, czołowy aktor „Berezola”. Mówimy „cudem”, gdyż udało mu się wrócić z dalekiego zesłania do Kijowa w przede dniu wojny, by stamtąd przedostać się następnie do Lwowa i dalej na Zachód: Jeszcze będąc w kraju Hirniak zorganizował swe „Studio” czyli szkołę teatralną, gdzie krzewi i rozwija tradycję „Berezola”. Obecnie „Studio” Hirniaka będąc jednocześnie szkołą przedstawia mocny zespół młodych aktorów z niemałym już repertuarem, pokazującym od czasu do czasu. Są to prawdziwe święta sztuki teatralnej. Obok klasycznych rzeczy („Orgia” **Lesi Ukrainki**, „Sługa dwu panów” **Goldoniego**) są tam subtelne parodie sztuk starożytności, jak i udane próby stworzenia aktualnej rewii satyryczno-politycznej z zastosowaniem wszystkich zdobyczy nowoczesnego teatru.

Teatrem o bardziej ustabilizowanym charakterze, mniej eksperymentatorskim i nie stawiającym sobie zadań specjalnych, jest zespół ze znanym lwowskim aktorem i reżyserem **W. Bławackim** na czele. Jeżeli zespół ten nie jest tak bezpośrednio związany z „Berezolem” (choć Bławacki też był przez pewien czas aktorem teatru Kurbasa), to jednak i on kontynuuje osiągnięcia tego wielkiego teatru ukraińskiego. W repertuarze jego wybitne miejsce zajmują utwory **Mikołaja Kulisza**, z tłumaczonych zaś rzeczy na pierwszym miejscu wymienić trzeba „Antygonę” **Anouilh’a**, którą należy zaliczyć do najbardziej interesujących osiągnięć tego teatru.

Dla tych, co nie znając drogi rozwojowej teatru ukraińskie-

go w ciągu ostatnich dziesięcioleci, wyobrażają go sobie jako pewną mniej lub bardziej interesującą odmianę teatru ludowego, współczesny teatr ukraiński byłby zupełną niespodzianką. Gdyby mogły powstać warunki umożliwiające ujrzanie go widzowi europejskiemu, to niewątpliwie zupełną niespodzianką dla tego ostatniego byłyby takie utwory bez precedensu w historii teatru europejskiego jak „Sonata patetyczna” Kulisza, która zresztą na Ukrainie nie ujrzała światła dziennego i którą odważył się pokazać reżyser Tairow jedynie w... Moskwie, w „Teatrze Kamerálnym” w świetnym zresztą przekładzie i wykonaniu.

Aby powyższe twierdzenia nie wydawały się czytelnikowi polskiemu nieco przesadzone, warto wspomnieć, że sławny reżyser moskiewski Meyerhold przyjeżdżał do Kijowa na każdą premierę „Berezola”, podziwiając i ceniąc talenty nowatorskie Kurbasa i osiągnięcia jego teatru. Trwało to tak długo, aż ówczesnemu NKWD te podróże Meyerholda do Kijowa wydały się zbyt poniżające dla godności teatru rosyjskiego i zawezwawszy go do NKWD zabroniono mu oficjalnie odwiedzania stołecznego teatru sowieckiej Ukrainy.

W literaturze (jak i w muzyce — a dodać należy, że na emigracji istnieje nawet zespół operowy, nie licząc kilku tradycyjnych chórów i jednej kapeli bandurzystów) nie widzimy jak dotychczas, nowych zjawisk na dużą miarę. Tak samo, jak istnieje kilku śpiewaków i muzyków o dobrym lecz nie nadzwyczajnym poziomie, tak samo istnieje i pracuje kilku pisarzy utalentowanych i kulturalnych, których utwory ukazują się nawet od czasu do czasu, ale żadnych „niespodzianek”, żadnych utworów o większej doniosłości lub na większą skalę — jeszcze nie ma.

Różne są tego przyczyny lub, ściślej mówiąc istnieje cały splot przyczyn, wśród których momenty psychologiczne odgrywają rolę nie mniejszą od materialnych. Muzyce bowiem milczą nie tylko *inter arma*... Zbyt wielki ciężar spadł na barki literatury ukraińskiej — jednego z najbardziej naturalnych przejawów życia narodu bez państwa — w ciągu kilkunastu ostatnich lat, a zwłaszcza lat wojny. Ciężar ten — na tle duchowego kryzysu i ogólnie europejskiej ruiny przygniata i dusi pisarza ukraińskiego bardziej może niż pisarza innego narodu.

W dziedzinie literatury, nowa, świeża emigracja jakoś nie przyniosła z sobą mocniejszego tchnienia Ojczyzny. A jeżeli i przyniosła to tchnienie, trudno byłoby nazwać je odżywczym. Może nigdzie tak ostro, jak w literaturze i w twórcach literatury, nie dała się we znaki długoletnia sowietyzacja, jej demoralizująca i degrađująca „przebudowa człowieka”, jej kompleksy i przesady, jej okropna mechanizacja twórczości, jej śmiertelności wpływ. Generacja 20-tych i 30-tych lat została pod Sowietami wyniszczona kompletnie, wraz z utworami, tak że młodsze pokolenie nawet *literackie* — nie czytało „w orygina-

le” pisarzy poprzedniego pokolenia. Pisarze starej emigracji starzeją się fizycznie, wielu z nich umarło bądź śmiercią naturalną, bądź z ręki Gestapo (przy współpracy NKWD) w czasie wojny — tak zginęli w celach Gestapo najwybitniejsi współcześni poeci: **Olek Olżycz** i **Helena Telika**.

Liczniej reprezentowani są na emigracji ukraińscy pisarze terenów zachodnich, w pierwszym rzędzie ze Lwowa.

Jeżeli wziąć pod uwagę całokształt ukraińskiego życia kulturalnego, to trzeba stwierdzić, że właśnie w literaturze emigracji najbardziej odczuwa się rozerwanie tego życia: niemal całkowicie brakuje „wschodnich” przedstawicieli daty końca 20-tych, początku 30-tych lat, a więc doby najbardziej płodnej i interesującej. Dwóch przedstawicieli tej doby — zmarło już na emigracji: mistrz noweli **Arkadjuk Lubezenko** (1945) i poeta-neoklasyk oraz świetny tłumacz z angielskiej i francuskiej literatury, profesor uniwersytetu, **Oswald Burghardt** (1947), znany jako poeta pod pseudonimem **Jurija Kłena**.

Dnia 13-go października r.ub. zmarł w Szwajcarii przedstawiciel tejże doby w pierwszej emigracji, nowelista i poeta **Leonid Mosendz**.

Możliwie, że właśnie na skutek tego braku pisarzy owej doby nie powstało dotychczas na emigracji żadne ugrupowanie, żadne pismo, które by mogło stać się ośrodkiem krystalizacyjnym intensywniejszego życia literackiego, a więc i literacko-wydawniczego. Książki ukazują się przeważnie przypadkowo, choć związek zawodowy pisarzy (tzw. MUR) starał się sprawy wydawnicze jeżeli nie zorganizować, to przynajmniej uregulować. Wydawanie książek z dziedziny literatury związane jest dotychczas z „mecenastwem” poszczególnych czasopism-dzienników, tych czy innych ugrupowań politycznych i tylko w ostatnim czasie zjawia się inicjatywa prywatna. Rozumie się, że takie „mecenastwo”, nie zawsze ułatwia normalny bieg publikacji dzieł literatury, aczkolwiek np. „Ukraińska Trybuna” ma pod tym względem niemałe zasługi.

Właśnie przy tym organie prasy wydawany jest (z przerwami) inteligentnie redagowany zeszyt „Arka”, poświęcony całości życia kulturalnego bez wyraźnej linii „ideologicznej” w sprawach literatury i sztuki. Jest to pismo eklektyczne i raczej informacyjne, widocznie na skutek braku zharmonizowanego zespołu współpracowników lub bardziej zdecydowanego charakteru redakcji.

Inne próby wydawania czasopism — pozostały próbami („Suczasynek”, „Zahrawa”, zeszyty „MUR” i in.).

Toteż większość tego, co dotychczas się ukazało na emigracji z dziedziny literatury pięknej, nie dorównuje przeważnie poziomowi literatury ukraińskiej z lat 20-ch i 30-ch i tylko w niektórych wypadkach poziom ten osiąga.

Z liczby poetów, wśród których przeważa młodzież, w większości początkująca, dwa-trzy nazwiska rokują pewne nadzieje. Ściślej osądzić na razie trudno, gdyż ich utwory liryczne są po-

rozrucane po czasopismach. Indywidualnością dojrzałą wśród poetów nowej emigracji jest **M. Orest**, pisarz doświadczony i posiadający swe oblicze, mający za sobą dobrą i niewątpliwie długoletnią szkołę. Ściszony, jak gdyby nieco ściśnięty, „zdławiony” głos tego liryka równoważy świadome mistrzostwo strofy, określone słownictwo, subtelnie stonowany epitet i brak najmniejszego banału. Szczególnie interesująco w jego poezjach jest ujęty temat „lata” jako majestatycznego triumfu przyrody. Dla tego tematu Orest znalazł zupełnie nowe i głębokie obrazy, nacechowane swoistym i — na tle naszej doby — niespodziewanym i cennym optymizmem.

Wśród utworów beletrystycznych należy wymienić dwie powieści **W. Domontowicza** („Doktor Seraphicus” i „Bez ziemi”) oraz bardzo interesujące dzieło znanego poety **Teodora Ośmaczki** „Starszy družba”.

Obaj pisarze (emigranci świeżej daty) nie są nowicjuszami w literaturze. **W. Domontowicz** ma już od lat dwudziestu całkiem ustaloną pozycję literacką a to, jako chyba pierwszy — we współczesnej literaturze ukraińskiej — autor powieści biograficznych (o **Kostomarovie** i **Kaliszu**). Obie najnowsze powieści Domontowicza są utworami par excellence intelektualnymi nie tylko ze względu na tematykę i środowisko bohaterów, jak przede wszystkim ze względu na styl autora.

Co do powieści **T. Ośmaczki**, jest to raczej odważna i ciekawa próba nie tyle odrodzenia, ale **odnowienia** prozy młodego **Hohola**, **Hohola** „Wieczorów na futorze”, **Hohola** wściekle — hyperbolicznego, romantycznie — patetycznego, ale i magicznie — czarownego, wiedźmowsko-kuszącego foforescencją swego niezbadanego słowa. Trzeba uznać próbę **T. Ośmaczki** za całkiem udaną, gdyż nie ma w niej ani krzty jakiegokolwiek „stylizacji pod Hohola”, która u innego mniej utalentowanego pisarza, byłaby nie do uniknięcia.

Wymienieni są tutaj, rozumie się, pisarze najważniejsi. Nie zostały uwzględnione inne, czasem bardzo interesujące, publikacje (np. literatura o „kazetach”), wspomnienia oraz bardzo żywo napisana podróznicza powieść **Iwana Bachrianego** pt. „Łowcy tygrysów” z życia ukraińskich kolonii w Azji. Ramy tego artykułu nie pozwalają niestety również na uwzględnienie pracy naukowej emigracji ukraińskiej.

Julian KARDOSZ.

O myśleniu schematami

Często, w czasie licznych spacerów po stokach górskich pasma **Esterelu**, zachodziłem do pani **B.** Jej skromny dom, otoczony kwadratami starannie uprawionych winnic i półkami kwitnącego jaśminu, budowany z grubo ciosanego szaro-białego kamienia nie wyróżniał się właściwie niczym od typu domów, budowanych w okolicach tych, na wsi. Był może tylko bardziej zniszczony, bardziej przysadzisty, bardziej do ziemi, na której wyrósł, przyrośnięty. Tak samo zresztą jak jego właścicielka.

O rozmowach z panią **B.** można by powiedzieć to samo. Tak, jak jej dom, wszystko o czym pani **B.** mówiła — było szczepione, związane z otoczeniem, zrośnięte z tłem, zamknięte w ramach najbliższych doświadczeń.

Gdy zasiadaliśmy na drewnianej, zacienionej werandzie jej domu gęsto oplecionej winem, ona z robotą w rękę, ja pochylony nad szklanką miejscowego, lekko cierpkiego wina i gdy zaciekawiony wypytywałem się o losy jej życia — miałem zawsze nieodparte wrażenie odkrywania jakiegoś dawno zapomnianego, nieco nierealnego i niezrozumiałego świata. Życie bowiem pani **B.** przeczyło ustalonym i ogólnie przyjętym schematom, zadawało kłam współczesnym zasadom myślenia, stało w sprzeczności z pobieżnymi klasyfikacjami, których przyzwyczajaliśmy się nadużywać. Sprawę życia pani **B.** można by też ująć — jeżeli ktoś woli — inaczej. Można powiedzieć, że w życiu jej było kilka cudów.

Pierwszym i najważniejszym cudem życia pani **B.** było to, że nie działo się w nim nic. Płynęło ono niewzruszenie jasne i spokojne, niewzruszenie spokojne, może też monotonne i jednostajne w ramach codziennych zajęć domowych, codziennej niezmiennej krzątaniny naokoło potrzeb gospodarstwa. Wyrażało się w zawsze takich samych, prostych i nieskomplikowanych gestach, przekazywanych majestatycznie z pokolenia na pokolenie i w prostocie gestów tych się zamykało. Odkrycie zmienności gestów życia pani **B.** było zastanawiające. Okazywało się bowiem, że fale rozpędu cywilizacyjnego tutaj nie docierały, że tej dziedziny życia nie naruszały, że nie zdążyły jej jeszcze przekształcić, przeinaczyć. Że gesty te w uporze swym były niewzruszalne.

Za tym pierwszym odkryciem szły następne.

Któregoś dnia w toku opowiadania wyszła na jaw rzecz jeszcze mniej zrozumiała i oczekiwana. Nad życiem pani B. przewaliły się dwie zawieruchy wojenne, wojna roku 1914 i wojna ostatnia, nie naruszając życia tego właściwie zupełnie. Ani w roku 1914, ani obecnie, pani B. od swych zajęć domowych nie została oderwana, jej jednostajny dzień nie uległ zmianie, nie przeobraził się niespodziewanie. Pozostał taki sam. W roku 1914 zmobilizowano co prawda jej męża dla wykonywania jakiejś funkcji na pobliskiej stacji kolejowej — wracał jednak codziennie wieczorem na rowerze do domu.

A wojna 39 roku wyraziła się w życiu pani B. niedostateczną ilością cukru, złym gatunkiem kawy i złym gatunkiem chleba. Aha, były jeszcze pewne trudności z mydłem. Nic poza tym jednak.

Pani B. widziała też — któregoś dnia, w pobliskim miasteczku zielone mundury wojsk niemieckich, widziała w roku 45 wjeżdżających Amerykanów. Stała wówczas na drodze i rzucała pełnymi naręczami kwiatów w przejeżdżające samochody, w roześmiane twarze Amerykanów. Tak jak wszyscy inni. Ale to było wszystko, naprawdę wszystko.

Gorące, gwałtowne, bolesne i tragiczne sprawy tej wojny przeszły od pani B. daleko. Nagły upadek Francji, skomplikowane zagadnienie stosunku do okupanta, sprawa ruchu oporu, obozy koncentracyjne, łapanki, walki na licznych frontach, wszystko to, dla pani B. było tylko echem słyszanych rozmów. Ale wojna, ta prawdziwa wojna — to było nieprzyjemne zagadnienie braku cukru i problem złego chleba.

Zresztą pani B. nie życzyła sobie wcale by wojna poza to zagadnienie cukru i chleba wychodziła.

Któregoś dnia — opowiada — wracałam wieczorem z wnuczką, 10-letnią dziewczynką z miasteczka do domu. Było już późno — może jedenasta — była śliczna, pogodna noc. I nagle nad Cannes zobaczyłam jakiś gwałtowny błysk, potem błysk ten powtórzył się kilkakrotnie. W chwilę później nad Cannes zrobiło się prawie jasno, różowo — tak, jakby stanęła luna. I zaczęły dochodzić do nas odgłosy odległych detonacji, które z czasem zmieniły się w jednostajny huk. Było to bombardowanie Cannes. Wzięłam wtedy moją wnuczkę za rękę i powiedziałam — po patrz jakie to doprawdy dziwne — tutaj taka ładna pogoda, a tam, nad Cannes burza — chodźmy prędko do domu bo może deszcz zacznie padać. I wie pan — uśmiechnęła się do mnie pani B. — moja wnuczka uwierzyła, że to była burza.

Następny cud życia pani B. był już znacznie bardziej skomplikowany. Był on skomplikowany przez swą nieuchwytność, swą trudno dostrzegalną widoczność i przez fakt, że przy urzeczywistnianiu jego współdziałała także w pewnym sensie i wola pani B. Tym niemniej był oczywisty.

Nie można powiedzieć, żeby pani B. w życiu swym nie korzystała w sposób umiarkowany i rozsądny z dobrodziejstw, które wnosi współczesna cywilizacja. W domu pani B. stara i dostojna

kuchnia na węgiel zastąpiona została małą i zgrabną kuchenką gazową, na miejscu pocziwych lamp naftowych, zwykle latem oblepionych chmarą szarych ciem i komarów, ukazały się lampy elektryczne, nabyty został nowoczesny aparat do rozpylania siarczanu miedzi w winnicy. Jest rzeczą najzupełniej pewną, że inowacje te były w pewnych granicach rewolucjami, że rytuał praktykowanych od pokoleń pewnych gestów ulegał częściowej zmianie, że obcowanie pani B. z bezpośrednią rzeczywistością przekształcało się w tych dziedzinach. Lecz poza tym leżała jeszcze cała ogromna płaszczyzna gestów nienaruszonych i co ważniejsze, rewolucyjny wpływ inowacji cywilizacyjnych zatrzymywał się na zewnętrznej formie tylko, nie wkraczał głębiej, nie naruszał wewnętrznej struktury pani B.

Sprawa ta stawała się jeszcze bardziej oczywista na przykładzie radia i kina. Tutaj znowu życie pani B. przeczyło w sposób zastanawiający przyjętym klasyfikacjom.

Pani B. raz na tydzień chodziła z wnuczką swą do kina. Wyprawa do kina wchodziła niewątpliwie dla wnuczki w zakres podstawowych i niezaprzeczalnych potrzeb, była ważnym i koniecznym uzupełnieniem przeżytego tygodnia. Tydzień bez kina się nie liczył, był smutny i szary. Pani B. na wyprawę do kina patrzyła z pobłażaniem, tydzień bez kina nie był dla niej ani smutny, ani szary. To samo z radiem. Pani B. słuchała z przyjemnością audycji radiowych, słuchała muzyki, komunikatów politycznych. Lecz radio nie było dla niej niezastąpioną koniecznością.

Co więcej — ani radio, ani kino nie było dla pani B. odskocznią do snucia marzeń. Były one dla niej — bez wątpliwości — jakimś nieoczekiwanym poszerzeniem życia, zwiększeniem rozpiętości wrażeń i doświadczeń, niespodziewanym umożliwieniem przeżyć, lecz na tym rola ich się kończyła. Wszystkie groźne i gwałtowne konsekwencje faktu udostępnienia masom łatwego oderwania się od bezpośrednich doświadczeń życia codziennego dla pani B. nie istniały, nie stanowiły dla niej logicznego i narzucającego się uzupełnienia, nie były zamknięciem pewnego procesu. Tutaj też miał miejsce najistotniejszy cud życia pani B.

Chciałbym na sprawę cudu tego spojrzeć nieco szerzej.

Paul Valéry w swojej wspaniałej książce pt. „Regards sur le monde actuel”, która jest zbiorem krótkich essayów, uwag i spostrzeżeń na tematy, które obserwacja współczesnego świata mu nasuwa, na wstępie książki tej zastanawia się nad znaczeniem, istotą i gatunkami dzieł historycznych. I jednym z zarzutów, które stawia dziełom tym to pewne zaniedbywanie, czy też, niedostrzeganie wewnętrznych, mało widocznych, podskórnych jakby, tym niemniej jakże istotnych procesów historycznych. Historycy — według niego — uwagę swą skupiają na faktach, jego interpretacji, na próbach ustalania związków przyczynowych między faktami. Lecz obok tych rzucających się w oczy faktów, takich, jak wojny, rewolucje, walki ludzi, narodów i klas

mają miejsce równocześnie mało widoczne — bo powolne, przeobrażenia, często w skutkach swych znacznie głębsze i poważniejsze, niż taka czy inna wojna lub rewolucja. Takimi powolnymi, lecz jak nieobliczalnie rewolucyjnymi w skutkach swych procesami było użytkowanie węgla i nafty jako siły napędowej, było użytkowanie elektryczności, a obecnie jest cały ogromny rozpęd wynalazczości technicznej. Przeobrażenia wywołane tymi procesami są w konsekwencjach swych nieobliczalne nie tylko w dziedzinie stosunków gospodarczych, ekonomicznych, politycznych, lecz także — co zresztą jest jeszcze mniej uchwytne — w sferze myśli i masowych odczuwań psychicznych.

Waléry zagadnienia tego nie pogłębia, (byłoby to zresztą sprzeczne z założeniami jego książki) szkicuje go tylko pobieżnie w kilku, tak jemu właściwych, zwężonych, urzekających swą precyzyjnością i bogactwem zdaniach.

Czytając uwagi te przyszło mi na myśl — nie wiem czy słusznie — że w ramach przeobrażeń psychicznych, wywołanych całością postępu cywilizacyjnego istnieje — może zbyt mało uświadomiany sobie — proces zmian wewnętrznych w współczesnym świecie powstały na skutek rozwoju radia i kina. Szczególnie kina. Temu wpływowi kina chciałbym kilka uwag poświęcić, nie pretendując jednak bynajmniej, ani do wyczerpania zagadnienia, ani do jakiejś odkrywczości, czy też oryginalności w tej dziedzinie.

W połowie osiemnastego wieku na pół obłąkany człowiek J. J. Rousseau książkami swymi wyzwolił drzemiące w ówczesnym świecie tęsknoty. Książki Rousseau wydobyły na wierzch prze-czuwane, lecz nigdzie niesprecyzowane nastawienia i tęsknoty współczesnego jemu świata, nadały im kształt i dokonały ich ujawnienia. To dokonane przez Rousseau ujawnienie spopularyzowało się — rzecz zrozumiała — szeroko, przyjęte zostało entuzjastycznie i przeszło triumfalnie do mas. Stało się ich własnością. W rezultacie stworzyło ono pewien typ myślenia, narzuciło pewien wzór postępowania, nakreśliło pewien rodzaj dążenia. Z czasem ten typ myślenia i postępowania doprowadził do krwawych rewolucji, długich i gwałtownych konfliktów.

Od czasów Rousseau nie byliśmy jeszcze świadkami nagłego, masowego wyzwolenia tęsknot. Stało się to jednak — co prawda w sposób o wiele mniej widoczny — dzięki kinu.

Na czym jednak to masowe wyzwolenie tęsknot dokonywane przez kino polega?

Polega ono na umożliwieniu ludziom oderwania się od bezpośredniej rzeczywistości, od tego, co nazywamy życiem codziennym.

W czasie, gdy rozwój kinematografii był w swej fazie początkowej, w czasie, gdy stawiano w dziedzinie tej pierwsze kroki, wydaławo się, że zaspokojenie potrzeby do oderwania się od otaczającej rzeczywistości, dostarczane przez kino, będzie dosko-

nałym narzędziem do kanalizowania niewyżytych tęsknot i dążeń i jednocześnie znakomitym środkiem w uczeniu, kierowaniu, wychowywaniu. Przypuszczano, że kino stworzy znacznie wyższą i szlachetniejszą formę ucieczki ludzi w inny świat. Nie znaczy to wcale, że w przypuszczeniach tych kino, sprowadzono tylko do roli czynnika współzawodniczącego w walce o popularność z takimi środkami jak alkohol lub narkotyki. Lecz sam fakt błyskawicznego wzrostu kina i jego popularności podobne skojarzenia mógł nasuwać. Ale obok tego utylitarne spojrzenia na kino, wierzono także — i na pewno słusznie — że jest ono i może być nowym wyrazem artystycznego widzenia świata, że powstaje nowy dział sztuki o ogromnej przyszłości i ogromnych możliwościach innego — lecz bez wątpienia — artystycznego ujmowania przeżycia.

Wszystkie te przewidywania sprawdziły się tylko częściowo. Stało się tak jak przypuszczano, ale stało się także i inaczej.

Powstało szereg filmów, o których śmiało powiedzieć można, że są prawdziwą sztuką, że są znakomitymi osiągnięciami w dziedzinie nowych, artystycznych możliwości, ale obok tego, masowy i nagły rozwój kinematografii, masowe zainteresowanie kinem i w konsekwencji konieczność zaspokojenia tej masowej potrzeby spowodowało powstanie pewnego typu filmu, który nic wspólnego z żadną sztuką nie ma. Film ten nie ma innego celu, jak tylko umożliwienie masom oderwania się od otaczającej rzeczywistości.

Nie ulega wątpliwości, że produkcja filmów takich, mających za zadanie ułatwienie tylko ludziom chwilowego zapomnienia świata nie miałaby w sobie nic groźnego, gdyby nie to, że filmy te stwarzają pewien typ oderwania się. Niebezpieczeństwo leżało i leży właśnie w fakcie stworzenia pewnego masowego typu oderwania się.

Na czym jednak ten typ oderwania się polega, czym się charakteryzuje?

Jest jasne, że by umożliwić to oderwanie, by spowodować aby grało ono w pełni, by było przystępne i łatwe, by z drugiej strony pochłaniało całkowicie, film musiał spełniać pewne warunki, budzić musiał odpowiednio zainteresowanie, co więcej, stwarzać musiał pewną łatwość w powstawaniu tego zainteresowania i jego napięcie jednocześnie. Okazało się, że środkami, które prowadzą do spełnienia wyżej opisanych warunków są skrót i jego plastyczność.

Film operować musiał dostatecznie jasnymi i jaskrawymi skrótami i opierać się musiał na dostatecznej ich plastyczności. Bezlitosnymi wrogami filmu są dłużyzna i nuda. W filmie musi się zawsze coś dziać i to dziać się w odpowiednio krótkim czasie. W ciągu dwu godzin ludzie na filmie robią kariery, rozwiązują najtrudniejsze problemy polityczne i psychologiczne, zdobywają nieprzystępne kobiety, kradną, mordują i cierpią za winy. Każdy film w ciągu dwu godzin bezlitośnie fałszuje rzeczywistość. To jest pierwsza cecha stworzonego przez film typu

oderwania się, wywołująca w konsekwencji wśród publiczności uczucie tęsknoty za łatwymi i jednocześnie spektakularnymi osiągnięciami.

Drugi warunek filmu to to, że przedstawiony w nim skrót musi być dostatecznie plastyczny. Wymóg plastyczności prowadzi do podwójnego fałszerstwa rzeczywistości. Wiele bowiem skrótów rzeczywistości należy odrzucić, gdyż nie są dostatecznie plastyczne i wiele skrótów rzeczywistości należy dodatkowo przerobić, by osiągnęły wymaganą plastyczność. W ten sposób rzeczywistość filmowa, czy też pole aktywności filmowej uległo nieprawdopodobnemu zubożeniu. Ale to nie jest jeszcze najważniejsza konsekwencja tego zjawiska.

Julian Huxley powiedział w jednej ze swoich książek — cytuję z pamięci — że gdyby ktoś posadził małpę przy maszynie do pisania i kazał jej stukać palcami w klawisze, to po jakimś czasie małpa ta wystukałaby najcudowniejszy sonet Shakespeare'a, ilość bowiem kombinacji liter jest matematycznie ograniczona.

Prawo matematycznie ograniczonych możliwości sprawdza się na filmie zastraszająco. Przy wyżej opisanych wymogach filmu, przy zubożeniu jego pola aktywności i przy masowej jego produkcji zagrać musiało niezmiernie szybko wspomniane przez Huxleya prawo i film wejść musiał na nieuniknioną dla niego drogę — drogę schematów. Wytworzyć musiał schematyzm w oderwaniu się. Tak powstała też najgłośniejszą cechą charakterystyczną stworzonego przez film typu oderwania się — jego schematyczność. Tu leży także najgroźniejsza konsekwencja rozwoju filmu.

Konsekwencją bowiem operowania w filmach i oderwaniach schematami było wyzwolenie w masach tendencji do myślenia na zasadzie schematów.

Tendencja ta drzemie stale w masach. Jest ich — powiedziałbym — naturalnym nastawieniem, naturalnym dążeniem. Tym niemniej to naturalne nastawienie — na szczęście — nie zawsze dochodzi do głosu. Kino zaś do tego nastawienia zaapelowało, na nim się oparło, znalazło w nim płaszczyznę porozumienia. Kino je wydobyło, a tam gdzie nie wydobyło, to w każdym razie je ugruntowało. Mam wrażenie też, że nie przesadzam roli kina, mówiąc, że dzięki niemu nastawienie to w wielu miejscach na kuli ziemskiej wyszło na jaw, spotęgowało się i niestety — na czas jakiś — się utrwaliło. Mam jednak przekonanie, że zbiegły się tutaj zupełnie przypadkowo dwa momenty: z jednej strony prawa rządzące kierunkiem rozwoju, w którym kino poszło, z drugiej strony drzemiące w społeczeństwach tendencje.

Stała się jednak w rezultacie rzecz, której nikt nie przewidywał i której ogromnych konsekwencji nikt nie dojrzał.

Na czym jednak myślenie na zasadzie schematów polega?

Myślenie na zasadzie schematów domaga się, by każdy zbrodniarz był ukarany, by każdy człowiek bogaty był szczęśliwy,

by każda midinetka kochała się idealnie w jakimś aktorze filmowym, by każda miłość kończyła się szczęśliwym małżeństwem, a w świecie politycznym, myśleniem schematami, w czasie wojny, na przykład, utrzymywało, że każdy Niemiec jest zbrodniarzem, po stronie niemieckiej zaś myślano to samo o Żydach, masonach, komunistach.

Myślenie schematami w czasie ostatniej wojny rozrosło się do rozmiarów ogromnych. Lecz to nie jest ważne — wojna to warunki specyficzne. Istotne jest to, że myślenie schematami istniało przed wojną i po skończonej wojnie istnieje nadal. I to jest ważne.

Wydaje mi się, że ludzkość na przestrzeni swej historii wracała kilkakrotnie do manii myślenia schematami. Było tak w okresie wojen religijnych, było tak w okresie rewolucji francuskiej, wróciło to także w początkach obecnego wieku. Co pewien czas ludzkość tęskni za myśleniem schematami i co pewien czas tęsknota ta się wyzwała. Po pierwszej wojnie światowej nagle i niespodziewanie myślenie to odżyło w Europie. Odżyło najpierw w Rosji, potem ukazało się w hitleryzmie i faszyzmie. Teraz, mimo skończonej wojny myślenie schematami tkwi nadal w masach.

Przypuszczam, że w tym miejscu każdy, który czytać będzie powyższe uwagi pomyśli na pewno z niezadowoleniem, a może nawet z akcentem pewnego zniecierpliwienia, że mówię rzeczy irytujące i lekkomyślne, że doszukiwanie się związków między niewinną rozrywką, taką, jaką jest kino, a groźnymi ruchami politycznymi w rodzaju komunizmu i faszyzmu jest po prostu — grzecznie mówiąc — literacką przesadą, że dalekimi rzeczami historycznie fałszywe, gdyż w chwili, gdy w Rosji myślenie schematami dochodziło do głosu, kino było jeszcze wówczas w powijakach. By odpowiedzieć na te zarzuty chciałbym zaapelować do cierpliwości czytelnika jeszcze przez chwilę.

Jak powiedziałem powyżej tendencja do myślenia schematami istnieje w ludziach permanentnie. Nie wszędzie na kuli ziemskiej kino tendencję tę wyzwoliło, wszędzie jednak ją utrwaliło i wszędzie spotęgowało. Kino tendencję tę wyzwoliło przede wszystkim w Ameryce, utrwaliło ją zaś i spotęgowało w Europie.

A dalej. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że na świecie, w zależności od kraju tendencja do myślenia schematami przybierać może różne, chociaż zawsze zbliżone do siebie formy.

W Niemczech i Włoszech przedwojennych przybrała ona formę fanatycznego wierzenia politycznego, gwałtownej, okrutnej bezwzględności, przeszła do ustroju prawnego i znalazła swój wyraz w najwyższych nakazach kierujących życiem ludzkim. W Rosji obecnej, w jej państwach satelickich, w rozrzuconych po świecie posłusznych jej partiach komunistycznych tendencja ta wchodzi w skład ideologii, utrzymywana jest żelazną dyscypliną i bezwzględny terrorem. Żyje ona dzięki nakazowi. Dlatego też przybiera formy krańcowe, ostateczne i wkracza

nawet w dziedzinie tak odległej, jak na przykład sztuka.

W Ameryce tendencja do myślenia schematami wyzwoliła się dzięki ogromnemu rozwojowi postępu technicznego, dzięki prasie i kinu przede wszystkim. Nie weszła ona jednak w skład żadnego wierzenia fanatycznego, nie żyje nigdzie dzięki nakazowi. Ma ona formę znacznie łagodniejszą, chociaż równie irytującą. Przeciętny Amerykanin żyje w chmurze ustalonych i ogólnie przyjętych schematów, poza nie nie wychodzi, co gorsza niezdolny jest do wyjścia poza nie. Zresztą czuje się w nich dobrze. Jest to objaw na pewno niepokojący.

Myślę, że najbardziej charakterystyczną cechą współczesnego świata jest to, że morze ignorancji istniejące w masach w wiekach poprzednich, w wieku obecnym zastąpione zostało myśleniem schematami.

Czy jest to krok naprzód, czy krok w tył?

Wydaje mi się, że z punktu widzenia politycznego sytuacja jest bez zmian. Podstawową zasadą myślenia i działania politycznego Richelieu była maksyma: ignorancja na właściwym miejscu. Z powodzeniem maksymę tę zastąpić możemy powiedzeniem: myślenie schematami na właściwym miejscu. Ignorancja bowiem i myślenie schematami są równie łatwo „maniables”.

Rzecz jednak wygląda inaczej, gdy spojrzymy na zagadnienie to z punktu widzenia ogólnego.

Cechą zasadniczą ignorancji jest pewnego rodzaju apatia, bierność, pewnego rodzaju niepokój przed angażowaniem się w rzeczach nieznanych, niewiadomych. Ignorancja stoi w miejscu.

Cechą zasadniczą zaś myślenia schematami jest jego ruchliwość, zdobywczość, dążenie do opanowywania wszystkich dziedzin życia i co najważniejsze — brak tolerancji. Myślenie schematami jest aktywne i boi się myślenia niezależnego. Oczywiście brak tolerancji ma różne napięcia w zależności od kraju — towarzyszy on jednak myśleniu temu nieodłącznie.

Widziana więc z takiego punktu sytuacja obecna nie wygląda zbyt zachęcająco i otwiera przed nami perspektywy mało obiecujące. Tym przykrzejsze, że mam nieodparte przekonanie, iż jesteśmy w stosunku do stojących przed nami — jak się wydaje — nieuniknionych możliwości, całkowicie bezradni.

Jeszcze jedna uwaga o myśleniu schematami. Jeżeli spojrzymy na obecną sytuację w świecie z punktu widzenia rozrostu myślenia schematami, to narastający konflikt rosyjsko-amerykański ukaże się nam w postaci walki dwu odmiennych form tego samego zjawiska. Ukaże się on nam jako walka formy przymusowej z formą dobrowolną, formy krańcowej z formą łagodną.

W tym miejscu pochopnie narzucającym się wnioskiem może być przypuszczenie, że o ile istota zjawiska w obu ścierających się stronach pozostaje ta sama, to uzgodnienie form na zasadzie jakiegoś kompromisu może być rzeczą stosunkowo łatwą,

przeprowadzalną i budzącą optymistyczne nadzieje. Boję się jednak, że wniosek taki byłby tylko pozornie słuszny. Chciałbym bowiem przypomnieć, że największe rozłamy ideologiczne, najgroźniejsze konflikty, na przykład w historii Kościoła miały jako punkt wyjścia spory czysto formalne. Forma w dziejach świata miała często większe znaczenie niż istota zjawiska.

Mam wrażenie, że rozpisałem się w sposób co najmniej nietaktowny. Mimo tego chciałbym jeszcze spróbować zapobiec kilku ewentualnym nieporozumieniom.

Nie chciałbym, między innymi, żeby w czytelniku niniejszych uwag powstało przekonanie, że jestem wrogiem kina i że domagam się w sposób stanowczy pozamykania wszystkich kin na świecie. Tak nie jest, zapewniam, że tak nie jest. Po pierwsze zbyt kino lubię i zbyt często do kina chodzę, po drugie, mam na pewno zbyt mało odwagi na to, by nakłaniać do realizowania podobnej fikcji. Sugeruję natomiast inną fikcję: domagajmy się zmiany typu oderwania, propagowanego przez film.

A dalej, nie chciałbym wywołać w czytelniku przeświadczenia, że nawołuję do powrotu do ignorancji i analfabetyzmu. Miałem zamiar tylko pokazać jak dalece przeobrażenie, którego jesteśmy biernymi świadkami, jest nieprzyjemne i niewygodne.

Poza tym jest jeszcze sprawa najdziwniejszego cudu życia pani B. Cud ten, to jej nieświadomy, cichy, a jednocześnie jakże stanowczy i bezapelacyjny opór w stosunku do myślenia schematami. Mimo wypraw do kina i mimo wnuczki.

Skąd ten opór się bierze, skąd czerpie swe siły i swą rację istnienia bardzo trudno mi powiedzieć. Lecz sam fakt, że gdzieś istnieje, że gdzieś toczy swą niewidoczną walkę nastroja dziwnie uspakajająco i melancholijnie jednocześnie. Mnie poza tym opór ten pociąga nieodparcie. I dlatego tak często, w czasie spacerów mych, do pani B. zachodziłem.

Józef URSYN.

Na marginesie «Lalki» Prusa

Któż to jest pan Stanisław Wokólski? Po prostu dorobkiewicz o pięknej przeszłości patriotycznej. Ale dorobkiewicz nieco inny od zwyczajnych, uczuciowy, dobry, chociaż umiejący dbać o swoje interesy. Jeśli pisarz potrafił tego typu człowieka uczynić bohaterem powieści, bardzo sympatycznym i niezmiernie wzruszającym — już to samo świadczy o talencie, sile artyzmu, chciałoby się rzec o geniuszu Prusa. Oczywiście sympatyczni dorobkiewiczze zjawiają się nieraz na kartach literatur obcych, ale rzadko w powieściach polskich, ponieważ społeczeństwo nasze choruje na jedną z najcięższych chorób społecznych: patologiczną zawiść wobec każdej jednostki wybitnej, wobec każdego, kto w życiu doszedł do czegoś; trafnie to określił Melchior Wańkowicz w swym znakomitym „Kundliźmie”: „szewc zazdrości kanonikowi, że został prałatem”.

Jakież są rysy szczególne charakteru Stanisława Wokulskiego? Jest zdolny, tak zdolny, że prawie do wszystkiego w życiu dochodzi dzięki własnym talentom i pracy; zdobywa wykształcenie w najtrudniejszych warunkach, robi majątek na dostawach w czasie wojny turecko-rosyjskiej, ryzykując życie, a także dobre imię u swych rodaków, ale motorem zdobycia owego majątku nie jest chęć bogactwa, ani sławy, lecz miłość do kobiety. Wybrana jego serca nie jest wszakże kobietą rzeczywistą, lecz jakimś „półaniołem”, wytworzonym przez wyobraźnię, choć naprawdę jest fałszywa, interesowna i głupia. Jak wiadomo, w życiu tego rodzaju pomyłki prowadzą prawie nieuchronnie do wielkiej katastrofy. Wokulski jest życzliwy dla ludzi, pomaga im materialnie, szczególnie biedakom i skrzywdzonym, marzy o wielkim wynalazku, ale ciężkie życie tak już wyczerpało jego siły, że nie chce odrzucić tych resztek powabów życiowych, jakie mu zapewnia wielki majątek. Jest z pochodzenia szlachcicem, nie lubi sklepu i handlu, ale ceni niezależność, jaką dają pieniądze; ten dawny powstaniec styczniowy w sile wieku męskiego myśli już tylko o pieniądzach i życiu osobistym, nie przestając być dla czytelnika sympatycznym. Opromienia go jakby aureolą cierpienia (tak drogą dla każdego Polaka) może nie-szczęśliwa miłość, może przełamywanie barier społecznych między warstwami, może trochę zmarnowane życie jakby nie z własnej winy, wreszcie przywiązanie do poezji Mickiewicza, któż

wie? A może lubimy go za jego usunięcie się romantyczne, śmierć samobójczą lub odejście w daleki świat?

Ach, jakież to wszystko polskie, arcy-polskie!

Może nie jest zbyt polskie natomiast usiłowanie zdobycia miłości wybranej kobiety przez starzejącego się mężczyznę za pomocą pieniędzy, ale to jest raczej słaby punkt powieści, choć — przynajmniej przeciw — motyw ogólnoludzki i niezrządzo w życiu spotykany.

Któż to jest pan Ignacy Rzecki? To jedna z „dramatis personae” odwiecznej tragedii naszych dziejów politycznych. Wzorowy subiekt, pracowity, uczciwy do szpiku kości, o najlepszym sercu, przyjaciel, jakiego szukać ze świecą, a przy tym idealista w polityce i życiu społecznym tak zaślepiony, iż słowo „idealizm” staje się równoznaczne z naiwnością i właściwie z głupotą. Rzecki, który swą młodość poświęcił czynnej walce o wyzwolenie ludów i wyzwolenie człowieka od wszelkiego ucisku, wyniósł z równin węgierskich, gdzie sprawa rewolucji narodowej upadła pod przemocą austriacko-rosyjską, silne przekonanie, że odtąd cała rzeczywistość polityczna jest zła, że tej rzeczywistości nie wolno uznać, a stąd już jeden krok — jak uczy tego psychoanaliza — aby nie przyjąć w swym wnętrzu w ogóle istnienia owej rzeczywistości. Odtąd pan Rzecki swoje życzenia i marzenia będzie uważał za rzeczywistość i do nich będzie nagnał ocenę wypadków politycznych. Jak wbrew oczywistości Wokulski wierzył do czasu, że może panna Izabela przecież go kocha, bo tego pragnął całą duszą, tak Rzecki będzie do śmierci wierzył w dynastię Bonapartych, w szlachetność przywódców europejskich narodów, nawet Bismarcka, w ogóle w tzw. „lud”, jak go rozumiało pokolenie r. 1848, będzie wierzył w to, że Polska „wybuchnie” jakby samorzutnie, bez żadnej działalności politycznej względnie, że tę działalność prowadzi jego genialny przyjaciel Staś Wokulski, który nie dla panny Izabeli bywa w salonach arystokracji i nie dla niej zdobywa majątek, ale dla wyższych, ogólnych celów. Stary subiekt będzie, jak dziecko, żył złudzeniami do śmierci i (któż wie?) może jak dziecko będzie szczęśliwy, bo te złudzenia pozwolą mu od czasu do czasu grać spokojnie na gitarze i zauważać, że przecież „nabiera ciała”. Gdy złudzenia chwilowo prysną, wstrząs będzie tak silny, że właściwie doprowadzi do śmierci. Życie złudzeniami! Ach, jakież to polskie, arcy-polskie! — Jeno złudzenia osobiste Wokulskiego kosztują tylko tyle, ile jedno złamane ludzkie życie (choć i to jest w oczach chrześcijanina wartość olbrzymia), a złudzenia polityczne tysięcy i milionów Rzeckich prowadzą do straszliwych katastrof narodowych, do powstania warszawskiego, do bezmyślnej megalomanii narodowej, do głupiego sarmatyzmu i jeszcze głupszego „jakoś to będzie”. Wielki Bernanos pisał, że trzeba zawsze „faire face” wobec życia, że trzeba patrzeć w oczy wszystkim potworom, choćby najgroźniejszym, a różowe szkła można dawać ludziom, którzy boją się chorobliwie czarnego koloru. To samo mówili przed nim Mickiewicz i Conrad.

Ale masy polskie, chociaż są odważne, nie lubią brutalnej prawdy i jej się boją. Nasza pokrywa cywilizacyjna jest u nich jeszcze zbyt słaba, zbyt świeża. Nie mieliśmy i nie mogliśmy mieć Churchilla z jego obietnicą „krwi i łez” dla Anglików, ale mieliśmy Rydza-Śmigłego z gromkim hasłem, że nie oddamy ani guzika. Dziś Anglicy mają niepodległe państwo, my zaś straciliśmy wśród łez i krwi i guzik i całą wspaniałą szatę. Czy bardzo zmieniała się dusza polska przez 60 lat od czasu „Lalki”?

Któż to jest pan Ochocki? Inny typ sympatycznego a zmarnowanego Polaka. Chce zrobić wynalazek, ma duże wykształcenie, inteligencję i pozycję towarzyską, ale wychowany w swej kasie arystokratycznych próżniaków, wśród miłych, pustych kokietek, szukających kochanków typu pani Wąsowskiej, musi część swego życia poświęcać na „bywanie w salonach”, gdzie się nudzi i bawienie pięknych rozwódek, które mu przeszkadzają w pracy dla siebie i dla społeczeństwa. Czy zrobi swój wielki wynalazek, czy pomoże Geistowi, chociaż Wokulski zapisał mu w testamencie grube pieniądze, wolno nam wątpić. To isticie rodowity przykład „improductivité slave”. Społeczeństwo nasze liczyło ich jeszcze przed drugą wojną światową na tysiące.

Któż to jest doktor Szuman? To wzięty lekarz, Żyd, który już niby stał się Polakiem, a jeszcze nie przestał być Żydem, który przejawszyci uczuciowo wiele cech polskiej kultury, polskiego obyczaju, nie wyżył się przeciw manii handlowej, sceptycyzmu swej rasy, jej ironii, jej niby to cynicznego, a właściwie wytworzonego pod wpływem wiekowych cierpień poglądu na świat. Mówi o nim słusznie Rzecki, że w jego duszy chłodnej, jak tafla lodu, odbija się wszystko, nawet ogień. Czyż nie przypomina on niektórych współczesnych nam poetów polsko-żydowskich? Tylko w naszym kraju podobne fenomeny często się spotyka.

I tak idą korowodem poprzez całą powieść postacie dobrze nam znane, typowe, tak prawdziwe, że do dzisiaj ocieramy się o nie wszędzie, w domu, w kawiarni i na ulicy: oto księżę (który w naszych czasach przestał być księciem, a jest może byłym wysokim dygnitarzem, albo aktualnym panem prezesem), mówi stale na wszystkich posiedzeniach, choćby handlowych czy finansowych o „naszym nieszczęśliwym kraju”, oto mieszczanie z Krakowskiego Przedmieścia i starej Warszawy, którym rosną cięć Szlangbauma, żydowskiego konkurenta, przysłania dosłownie wszystko, wszystkie sprawy, społeczne i polityczne, wykrzywia cały sposób rozumowania, oto biedni studenci-medycy, którzy tłumaczą socjalizm w taki sposób przedstawicielom ludzi bogatych:

„Mój ojciec był zdolnym lekarzem, pracował dniem i nocą, miał niby dobre zarobki i oszczędził... raptem trzysta rubli na rok. A że wasza kamienica kosztuje 90 tysięcy rubli, więc, na kupienie jej za cenę ucziwej pracy, mój ojciec musiałby żyć i zapisywać recepty przez trzysta lat. Nie uwierzę zaś, aby ten nowy właściciel pracował od trzystu lat...” — oto wreszcie popollytoid jakdaj Maruszewicz, stręczyciel i bezczelny fałszerz wek-

sli, ale przyjmowany wszędzie, jako przyjaciel barona i pozostawiony przez Wokulskiego na wolności dlatego, że mu go było żal i że w Polsce w tych czasach (a tym bardziej dzisiaj) na przestępstwa finansowe patrzy się czasami „przez palce”.

Jest wszakże jedna postać w „Lalce” i to centralna, dziwnie odbijająca od polskiego klimatu psychicznego. To panna Izabela Łęcka, typ kobiety niepolki, zimna, piękna, pusta i obłudna lalka salonowa, której portret psychiczny namalował Prus z wielką wyrazistością i nieukrywaną antypatią. Mało jest w literaturze polskiej, a pewnie i światowej, tak odrażających postaci kobiecych, jak panna Izabela. Nie tylko wobec bladych często kobiet Sienkiewicza, ale nawet wobec upozowanych czasami na demony kobiet Żeromskiego — ona jedna sprawia wrażenie jak gdyby demona, nieświadomie lub półświadomie łamiącego lekko ludziom życie. Powiedziano już tyle dotąd na jej obronę. Cóż w tym złego, że nie chciała wyjść zamaż za tyle od niej starszego Wokulskiego, który do tego zachowywał się nieraz jak głupiec, szalony i zakochany, coż w tym straszego wreszcie, że nie kochając, zdecydowała się go poślubić, aby ratować rodzinę od ruiny majątkowej? Jej wina i demoniczność, zdaniem Prusa, polega wszakże na czymś innym: wiedząc, jak szaleje za nią bogaty kupiec, naprzód go nieraz upokarza, wreszcie, będąc jego narzeczoną, ustępuje swemu „feblikowi” do swego kuzynka Starskiego (tak to nazywa eufemistycznie pani Wąsowska) i zamierza owemu „feblikowi” hołdować nawet po ślubie. Niestety, już początek tej gry przynosi katastrofę i prawdopodobnie śmierć Wokulskiego. Prus niczego wprost nie potępia, ani nie osądza, jak każdy wielki pisarz, on tylko obiektywnie pokazuje rozwój wypadków. I ten rozwój potępia straszliwie pannę Izabelę nie za to, czy chciała lub nie chciała Wokulskiego za męża (to było jej dobrym prawem), lecz za ową podwójną i potrójną grę erotyczną, za oszustwo uczuciowe, popełnione na zimno, z wyrachowaniem, cynicznie. Jest Prus w tym centralnym problemie osobistym całej powieści pisarzem głęboko chrześcijańskim, broniącym uczciwości życia uczuciowego — podobnie jak chrześcijańskim jest w swym obiektywizmie, w rozłożeniu światła i cieni, w próbie zrozumienia całej psychiki stworzonych przez siebie postaci. Bolesław Prus, który jest zarazem polskim Balzakiem i Flaubertem, polskim Dickensem i Galsworthy’em, jest w swej postawie życiowej, zarazem katolickiej i liberalnej, pełnej wyrozumiałości i humoru oraz współczucia dla ludzi, pisarzem bardzo europejskim, o wiele bardziej chrześcijańskim od powierzchownego nieraz Sienkiewicza, nerwowo niesprawiedliwego w ocenie postaci, — Żeromskiego czy ponurego w gruncie rzeczy Wyspiańskiego. Nie jest on w naszej literaturze właściwie ani pozytywistą, ani romantykiem, jest samym sobą, wielkim pisarzem, pochylonym do brotliwie nad zagadkami ludzkiego losu.

Istnieje ponadto całe zagadnienie społecznych stosunków w „Lalce”, to, o którym wypisano już całe morze atramentu i o

które tyle stoczono polemik. Komunistyczny publicysta **Kuźnicy**, Jan Kott napisał po wojnie całą nową przedmowę do „Lalki”, mieszając w niej cytaty z powieści z cytatami z Marksa, Engelsa i komunistycznych broszurek. Tezę Kotta stanowi twierdzenie, że „Lalka” jest powieścią o awansie społecznym kupca, i o rozczarowaniach mieszczańskich reformatorów, prawie ideologów „endecji”, za jakich (oczywiście niesłusznie) ogłosił także Prusa. Istotnie dotychczas czytelnicy i krytycy może zbyt mało zwracali uwagi na niezmiernie realistycznie odmalowane przez Prusa społeczne problemy Warszawy w latach 70-tych ubiegłego stulecia. Pod tym względem epoka wydaje nam się tak odległa, zmiany w życiu codziennym tak szybkie i definitywne, iż trudno nam uwierzyć w istnienie tak niedawne środowiska, skostniałego w swych przesądach kastowych; nam, którzy tak ściśle kasty obyczajowe i towarzyskie znamy w 20-tym stuleciu tylko ze słyszenia (w Indiach i może w Sowietach) lub ze smutnej, tragicznej praktyki wojennej (w obozach koncentracyjnych) — wydaje się rzeczą niepojętą, że zaledwie 70 lat temu Wokulski mógł napotykać na tak wielkie przeszkody socjalne w samym tylko widywaniu panny Izabeli. Kończące się społeczeństwo feudalne, kasta dworów i salonów i jej związki z resztą społeczeństwa — wszystko to, skostniało, zastygło na kartach powieści ku przestrodze przyszłych pokoleń. Samo wszakże poszanowanie człowieka, chłopą wówczas pogardzanego, dziewczyny publicznej, człowieka niesłusznie oskarżonego czy Żyda, sam głęboko ludzki stosunek do strasznej przecie tragedii Wokulskiego sprawia, że Prus jest wśród wszystkich naszych wielkich pisarzy (obok Mickiewicza) najlepszym nauczycielem istotnej demokracji, tej płynącej z duszy, a nie z instytucyj. Stąd jest pisarzem, mającym jeszcze wielką przyszłość przed sobą.

Samo oświetlenie obiektywne tak trudnego wówczas i dzisiaj w Polsce problemu żydowskiego, ani antysemickie, ani filosemickie, ale zawsze sprawiedliwe i chrześcijańskie, przynosi wielki zaszczyt Prusowi. Brakuje w „Lalce” niewątpliwie pewnych warstw i zawodów społeczeństwa, bez czego obraz jego jest niezbyt pełny: nie widzimy ani chłopów, ani (co dziwniejsze!) robotników miejskich, ani (co jeszcze dziwniejsze!) polskiego duchowieństwa; tym niemniej nawet tak ograniczone środowisko można zrozumieć, skoro się weźmie pod uwagę, jak bardzo Prus kochał Warszawę i to pewną tylko część Warszawy, tę, której dzisiaj nie ma, której zniknięcie oplakujemy chyba na zawsze, a która pozostała urocza i prawdziwa na kartach „Lalki”.

Jest rzeczą dość dziwną, a może jednak zrozumiałą, że światową karierę literacką zrobił porywający w narracji i obrazach Sienkiewicz, a nie mądry psycholog Prus. „Quo vadis” czy „Krzyżaków” może od biedy zrozumieć niejedyn cudzoziemiec, artyzm i piękno „Lalki” może odczuć i przeżyć tylko Polak właśnie dlatego, że w postaciach powieści są uchwycone pewne trwałe cechy psychiki polskiej.

Marksistowski krytyk Prusa, Jan Kott, ma rację, gdy mówi o

społecznym awansie Wokulskiego w powieści i o pewnych rozczarowaniach bohatera powieści i autora. Ale popełnia gruby błąd, gdy usiłuje całą tragedię Wokulskiego, cały problem powieści sprowadzić do nienormalnego rozwoju kapitalizmu w ówczesnym Królestwie i zacofania społeczno-obyczajowego ówczesnego społeczeństwa. To, z czego krytyk komunistyczny się wyśmiewa, ale co wydaje mu się groźne, jako filozofia życia Prusa, to pozostało wciąż dla nas cenne i żywe: gdy Wokulskiemu zdaje się pod wpływem tragedii osobistej, że przywiązanie do życia jest złudzeniem i gdy rzuca się pod pociąg w Skierniewicach — uratowany przez dróżnika kolejowego, myśli w momencie oprzytomnienia, iż gdy opuściło go wszystko, została mu tylko **ziemia, prosty człowiek i Bóg**. Owe trzy podstawy filozofii Prusa stanowią niezmiennie podwaliny całej naszej cywilizacji. Jest ona spirytualistyczna poprzez wiarę w Boga, sprawiedliwa czyli w naszych czasach demokratyczna poprzez wiarę w zdrowe instynkty prostego człowieka, wreszcie narodowa poprzez wiarę w ziemię, która wytrzymuje wszelkie najazdy i klęski. Mogą komuniści dodawać specjalne przedmowy do „Lalki”, tłumaczące, jak trzeba ją rozumieć. To wszakże arcydzieło naszej literatury broni się samo; z jego kartek płynie wciąż i będzie płynęło dla wielu jeszcze pokoleń wieczne wezwanie, aby bronić w naszej duszy zbiorowej tego, co stanowi jej istotę.

Gdy się o „Lalce” pisze w Paryżu, nie można pominąć milczeniem znakomitego opisu podróży Wokulskiego do Paryża; Prus odczuł to, czym był wówczas istotnie Paryż dla całej cywilizacji europejskiej, a czym niestety dzisiaj być przestaje: miastem, gdzie łączy się ze sobą wytężona praca i piękno, praca twórcza wynalazców i artystów oraz piękno przyrody i miasta. Główna oś Paryża: gąsienica idąca z Vincennes do Neuilly stała się dziś główną linią podziemnego metra, setki Geistów dokonało cudownych wynalazków, — a przecież główne problemy, nad którymi zastanawiał się Wokulski w Paryżu, wciąż nie są rozwiązane: jak pogodzić szczęście ludzkości z postępem technicznym, jak zapewnić sprawiedliwy rozdział dochodu społecznego. Czy umiałby nam dzisiaj wielki pisarz odpowiedzieć: jak uchronić Ville-Lumière przez bombą atomową i zniszczeniem? Cóż pomogłaby na to spiżowa, milcząca bogini: niezmienna i czysta Sława, skoro ją właśnie miał niedawno na swe usługi zbrodniczy kapral austriacki?

Witold NOWOSAD.

nia. Niech pan zauważy jak pisarze często słowa „ja” używają, i tu ironicznie zaczął naśladować namaszczenie i „pompe”, z którym to „ja” wciąż wysuwają niektórzy z jego kolegów. „Ale niech się pan tym nie zraża, we wspomnieniach, w opowiadaniach swych przeżyć, „ja” jest konieczne. Czytelnik musi mieć do pana stosunek jeżeli pan chce, aby się pańskimi wrażeniami, obserwacjami interesował. Niech pan częściej pisze „ja”.
No i bądź tu mądry!

Chcę dziś mówić o tej formie literackiej, gdzie „ja” jest nie do uniknięcia, o pisarzach, dla których ta gorsząca Bocheńskiego mieszanina problemów najbardziej generalnych z przeżyciami najbardziej intymnymi, była stylem ich myślenia i odczuwania. Chciałbym tu zastosować w zwężonym zakresie zdanie z pamiętnika Brzozowskiego: „co nie jest biografią — nie jest w ogóle”. Dla tych pisarzy ich myśli o świecie były ich biografią na równi z ich trawieniem, troskami materialnymi czy analizą swoich osobistych uczuć czy potknięć. I nie warto ich czytać, jeżeli się ich również nie zasymiluje jak część własnej biografii.

O bajkach z tysiąca i jednej nocy, o „Memoires” Saint Simona pisał Proust, że był do nich „supersticieusement attaché comme à mes amours”. Do tych paru książek-wyznań, rozrzuconych na przestrzeni stu kilkudziesięciu lat, jestem również „supersticieusement attaché comme à mes amours”, odczuwam je również jak część własnej biografii. Te dzienniki, te kartki z notatników, francuskie, polskie, rosyjskie, karmiły mnie, uczyły, towarzyszyły wewnątrz, upakarzały czy dodawały otuchy. Kiedyś chciałem o tym świecie napisać szerzej: od Amiela aż po ostatnią genialną Simone Weil (bo i jej notatki dla druku nie przeznaczone, to jeszcze „ja” ale „ja” skazane na zniszczenie, na zagładę na drodze mistyki i zupełnego całopalenia).

Nie umiałem nigdy się gorszyć, odwrotnie, pociągała mnie ta mieszanina dziennika, drobnej osobistej przygody i wielkich zagadnień, ta bliskość fizjologii i metafizyki. Ze znanej mi tylko częściowo ogromnej literatury „intymnej” dziewiętnastego i dwudziestego wieku wybieram parę książek tak bardzo różnych światopoglądem, klimatem a tak bliskich w czymś najważniejszym, w widzeniu najbardziej generalnych zagadnień, w przełamaniu poprzez swój intymny świat wewnętrzny.

Gdzie się zaczyna w Rozanowie „filozofia”, gdzie się kończy wyznanie lub prywatna strona anegdotyczna? wszystko jest nie tylko pomieszane ale dosłownie stopione: ukradzione kalosze i futro na zebraniu rewolucyjnym w 1917, Apokalipsa, „kurtyna zapadająca ze zgrzytem nad historią rosyjską”; a Maine de Biran przybliżyła nam wypadki historyczne, notując je równocześnie ze swymi na nie reakcjami nie tylko psychicznymi ale i fizjologicznymi. Dowiaduje się nagle, że Napoleon (dla niego najgorszy z tyranów) wylądował znowu we Francji (1815 r.)

« Ja »

„Bonaparte est en France...
mon estomac se ferme.”

Maine de Biran

Schopenhauer pisał, że jak nie mamy czasu przyrzeć się uważnie kto z dwóch rozmówców jest głupszy — wystarczy rachować, który ile razy powiedział słowo „ja”. Ten, który mówi słowo „ja” częściej — jest głupszy.

Pod wpływem tego, między innymi, zdania powtórnego mi w dalekiej młodości, miałem zawsze, gdy tylko pisałem cokolwiek do druku, stosunek niepewny do wszystkiego co traciło wyznaniem. A przecież wcale nie jest to tak proste jak Schopenhauer złośliwie ujął. „Ja” — mówią i piszą bardzo często (nieraz za często) nie tylko durnie, a do tego wszelka literatura jest formą bardziej lub mniej zamaskowanego wyznania. Przecie nawet Flaubert, gdy go pytano kim jest Pani Bovary — powiedział:

„Madame Bovary, c'est moi”.

Turgieniew pisze złośliwie, że ludzie z zainteresowaniem mówią o wielu rzeczach, z apetytem — tylko o sobie

„Więc nawet o sobie mówić nie wolno” — skarży się Rozanow, atakując gwałtownie Turgieniewa za tę właśnie niewinną złośliwość.

W Iraku dałem do przeczytania Adolfowi Bocheńskiemu moje griażowieckie odczyty o Prouście („Kultura” Nry 12 i 13). Wspominam w nich, że pisarz, niezrozumiały dla mnie na początku, ujawnił mi się i ośnił dopiero gdy go czytałem w okresie długiej, beczynnej rekonwalescencji po ciężkim tyfusie. Bocheński przeczytał mój kajet, obsypał mnie — jak on to umiał — przesadnymi komplementami i zakończył nieoczekiwane ostrą wymówką. „Jak mogłeś pisać o swoim tyfusie. Co to kogo może interesować, że ty miałeś tyfus.”

Kiedy tu, w Paryżu, dałem do oceny rękopis mojej książki „Na niehumanicznej ziemi” pisarzowi francuskiemu, do którego czujnego smaku mam największe zaufanie, postawił mi jeden zarzut przede wszystkim.

— Dlaczego pan tak rzadko mówi „ja”? Szkodzi to bardzo pańskiej książce. Czytelnik musi wiedzieć z kim ma do czynie-

i pisze w swym nieodstępnym dzienniku: „Bonaparte jest we Francji... zamknął mi się żołądek”.

Maine de Biran 1766-1824.

„Odczuwam coś w rodzaju asfikcji z tomem Birana i jak zwykle paraliżu przez asymilację, urzeczona przez sympatię, współczuję i boję się mego współczucia, bo czuję, jak bardzo jestem bliski tych samych cierpień i tych samych błędów”.

Tak pisze Amiel o dzienniku Maine de Biran, autor drugiego „Journal Intime”. 14.000 stron dziennika Amiela były niezliczone razy cytowane, omawiane. Tołstoj, Renan go cytowali, Thibaudet, Du Bos i iluż innych, których nie znam, pisali o nim studia. Amiel i Maine de Biran, według Du Bosa, to dwa barometry, najsubtelniejsze ze wszystkich istniejących, notujące wszystkie drgnienia doznań duchowych człowieka.

Saint Beuve, (który stawia Birana tuż przy Fenelonie i Pascalu) jak i Amiel znali tylko fragmenty dziennika Birana (teraz mamy dwa wielkie tomy jego „Journal Intime”, które się ukazały po 1930 r. dopiero, i tu jeszcze został Biran przez wydawcę poważnie skurtyzowany).

Co tak przykuwa w dzienniku, właściwie monotonnym, pełnym nawrotów, powtórek, faktów drobnych z życia, opisanych dość bezbarwnie, miliona postanowień nie dotrzymanyh? Kim był ten filozof? Uczeń sensualisty Condillaca, Biran miał wpływ zasadniczy na Cousina i spirytualistów XIX wieku. Syn lekarza z Bergerac, członek gwardii Ludwika XVI, nie opuszcza Francji po rewolucji, jest administratorem Dordogne w czasie dyktoriiatu, posłem do Rady Pięciuset w 1897, podprefektem za Cesarstwa i posłem do Izby za Restauracji aż do śmierci. Jego życie osobiste ma okresy tragiczne. Żeni się w 1895 ze swą kuzynką Luizą Fournier de Fardech, kreolką, żoną zmarłego jakoby w Niemczech emigranta. Po 8 latach szczęśliwego współżycia Biran z żoną (mają ze sobą troje dzieci) wraca jej pierwszy małż. po 11 latach emigracji, śmierć jego okazała się plotką. Luiza nie może znieść sytuacji tragicznej, dostaje obłędu i umiera.

Ale 2 tomy dziennika, który do nas doszedł to prawie wyłącznie okres wieku dojrzałego (1813-1824). Młodość minęła, Biran ma już ponad 45 lat, ożenił się po raz drugi i dziennik płynie równoległe z życiem Maine de Biran, obarczonym dostojenstwami i obowiązkami, usatkwowanym — w Izbie gdzie jest deputowanym, w wielkim świecie Francji, politycznym i naukowym z czasów Restauracji, w kole rodzinnym.

Patrzę na tę twarz z portretu Duvivier, delikatny owal, nos za długi, ale bardzo piękne oczy i usta tak subtelne, że aż prawie kobiece. Ile spokoju, ciszy w tej twarzy. Przystojny? Chyba nie, ale na pewno uroczy. Dziennik Maine de Biran, to przede wszystkim notowanie powolnego rozkruszania się sił fizycznych, które filozof odczuwa jak najbardziej dotkliwie, — Ci którzy go znali w ostatniej połowie jego życia, nie odnajdywali — jak pisze Saint Beuve — w tej postaci wysokiej, trochę zgarbio-

nej, w tej twarzy wymęczonej, której sam koloryt cery świadczył o cierpieniu — nawet śladu bohatera, chorowity czy prędzej wciąż na zdrowie narzekający Maine de Biran do końca swego życia cierpi na bardzo mizerne ułomności ludzkie: jest próżny, namiętnie pragnie się każdemu podobać, głupiej, jak tylko czuje w swoim otoczeniu niechęć. Na tle tych nienasyconych i dosyć mizernych ambicji, na tle próżności, doznaje co dzień drobnych upokorzeń. Jego świetna obserwacja wszystkiego co go dotyczy osobiście odkrywa mu każdy uśmiech niechętny, każdą własną niezręczność i śmieszność, wyolbrzymiając znacznie drobnych gestów, dotkliwie w nieustannych nawrotach trapi się i cierpi. Sto lat przed Proustem notuje z tym samym precyzyjnym, „niehumanym” oderwaniem przeżycia najbardziej osobiste. Anna de Noaille pisze, że Proust po śmierci ukochanej matki przesłał do niej list, w którym jej śmierć była opisana w sposób tak dotkliwie realistyczny, że poetka wyczuła to prawie jak świętokradztwo, (ten opis trafił potem, zaledwie przetransponowany, w „A la recherche” do opisu śmierci babki).

Ale u Biran to spojrzenie „niehumanie” jest właściwie skierowane tylko na świat wewnętrzny samego filozofa. Własną degradację, własną śmieszność notuje filozof równie beznamiętnie, z tą samą zimną drobiazgowością, z którą Proust przed śmiercią spisywał objawy własnej choroby, bo się mogły przydać dla opisu śmierci Bergotta. Maine de Biran zapisuje w swym „Journal Intime” swoje cofanie się pamięci, sił skupienia, zdolności promieniowania, wnikając w swój świat wewnętrzny, jest niechybnie ścisły.

Jest scena niezapomniana, kiedy Maine de Biran opisuje swoje przemówienie w Izbie „cette terrible Chambre”. Dostaje nerwowej gorączki przed wystąpieniem, już na trybunie wysiła się, żeby krzyknąć, ale nikt go nie rozumie i on nagle przestaje rozumieć co mówi, i w całym tym strachu i upokorzeniu nie może się oderwać od trybuny, choć już się zupełnie zaplątał. Scena prawie z Kafki.

Innym razem opisuje, jak w ucieczce przed sobą, w poszukiwaniu, w pogoni za przeżyciem, rozrywką, objeżdża jednego wieczoru 8 salonów i wszędzie znajduje tylko nudę i pustkę, wraca do domu, opustoszony i do siebie obrzydony.

W miarę wieku wzrasta w nim nurt religijny. Poprzez stoicyzm, poprzez Marka Aureliusza idzie do Pascala, Fenelona, Bossueta. Coraz to cytuje Naśladowanie, Listy św. Pawła. Coraz częściej w notatkach jego przerywa się jęk do Boga „bez którego człowiek nie może nic”.

Jeżeli scena w parlamencie jest świetna, to dlatego, że ostrze obserwacji jest znów skierowane na niego samego. Izba jest mglistym tłem jedynie. Gdy Biran mówi o ludziach, z którymi obcuje, o wypadkach politycznych, jest przeważnie zupełnie banalny. Wypisuje jak w kalendarzu spotkania z najwybitniejszymi politykami, filozofami, uczonymi, jada obiady z Talley-

randem, Chateaubriandem, Royer Collardem, Amperem i Cuvierem. Ale nie można z tego wyczuć ani koloru, ani ciężaru tych spotkań. Tylko gdy wpatruje się w siebie, staje się znaczący i odkrywczy. Narcyz? Bynajmniej. W narcyzyzmie kryje się moment zachwyty nad sobą, którego tu nie ma śladu. Może był narcyzem, ale w wieku dojrzałym płaci za to i widzi na swej twarzy, wpatrzony w lustro dziennika, tylko zmarszczki i znaki rozkładu.

„Kto może mnie kochać, kiedy ja sam nie jestem w stanie siebie znieść” pisze krótko przed śmiercią... „kiedy czuję, że jestem niczym, że moje istnienie graniczy z niebytem, że żyję za ledwie moralnie i fizycznie”.

Wcale nie ciosy potężne pogłębiają wewnętrzną rozterkę Maine de Biran, ale liche ukłucia dnia codziennego ranią go, upakarzają i znowu i znowu anihilują.

Powierzchniowo sądząc o ileż tragiczniejsze jest życie Prousta, choroba ciężka przez lata, a nie drobne dolegliwości, samotność prawdziwa, w ostatnich latach stara służąca, trochę przyjaciół, od których odcięty jest chorobą i pracą, (M. de Biran otoczony do końca kochaną i kochającą rodziną, licznymi przyjaciółmi), ale u Prousta ani śladu tego niedosytu. Proust żyje cały dla swego dzieła i życie swoje odczuwa jedynie już jako funkcje powstającego dzieła, w którego wielkość, od chwili jak mu się oddał całkowicie, zdaje się nigdy nie wątpić. Proust jest wyżyty, czy jest szczęśliwy? Ależ na pewno tego zapytania nawet sobie nie stawia, o jedno tylko mu chodzi: zdążyć. Skończyć swe dzieło, zwyciężyć w wyścigu ze śmiercią.

Ale wracając do Birana czy można nazwać porażką życie, człowieka, którego świadomość co roku się pogłębia, którego dziennik Saint Beuve nazywa „dziennikiem gorączki moralnej, związanej z rośnięciem (fièvre de croissance)”, kiedy w ostatnich latach codzienna męka Birana jest coraz bardziej podszyta kontemplacją.

Myśląc zwyczajnie, na planie ludzkim, życie Maine de Biran było porażką. Jako mąż stanu był na pewno trzeciorzędny, jako polityk i taktik również (za którychś wyborów przepadł, bo chcąc być najbardziej fair play wypowiedział na zebraniu wyborczym mowę pełną pochwał na cześć swego przeciwnika). Jako filozof, jeżeli sędzić według tego, co pisze, nie napisał nawet części tego, co chciał. Człowiek urodzony dla pracy naukowej, filozof wielkiej miary, twórczo niewyżyty, spędza niezliczone godziny w obcej mu pracy politycznej, w której go z czasem traktują z całym szacunkiem, ale przecież jako figurę trzeciorzędną, w setkach stosunków z ludźmi, z których właściwie nic prawie nie wynosi. Gdyby się ostatecznie zdecydował pracę tę rzucić, ale nie, przykuty jest do niej i ciągle narzeka. Ale może powinniśmy pragnąć takiej porażki, która ze światowca, inteligentnego czarującego bawidamka, polityka zajmującego wysokie stanowisko i przyjmowanego we wszystkich sa-

lonach, zrobiła człowieka tej głębi i tej cudownej wewnętrznej pokory.

Swe filozofie, swe psychologiczne argumenty wyprowadza Maine de Biran z analizy swych doznań i z obserwacji jednej istoty — samego siebie. Polemizując z Bonaldem twierdzi, że w ogóle nie można podchodzić ex abrupto do pojęć moralności czy teologii bez baz wiedzy, abstrahując od cech czysto indywidualnych „ja” ludzkiego. Biran widzi w Bonaldzie inteligencję mocną, świetną, ale obcą medytacji i na zupełnie mylnej drodze. „Te umysły systematyczne bez miłości, bez potrzeby ani poczucia prawdy, ale jedynie z potrzebą działania i robienia wrażenia na zewnątrz”) operując zawsze według niego językiem, nomenklaturą daną, a nigdy własną wypracowaną, wpadają w błędy materialistów, których zwalczają.”

„Jakże nie powracać wciąż — pisze dalej M. de Biran — ku wielkiej tajemnicy własnego istnienia przez samo zdziwienie, które ono budzi w każdej myślącej istocie.”

Nieustanne zdziwienie, owoc nieustannej uwagi, to „premier vu” niechybny znak twórczego widzenia „trzeba patrzeć na naturę jakbyśmy ją widzieli po raz pierwszy i jakby nikt inny przed nami jej nie widział” — mawiał Cézanne — cechuje przede wszystkim monotony dziennik M. de Biran. Uwagi filozofa na tle rozbitego, zagonionego codziennymi troskami życia na tle niezliczonych i zawsze niedotrzymanych postanowień, smutków, chwil pogodniejszych, poczucia swej nicości i porażek chciałoby się cytować stronicami. Najczęściej są one pod znakiem przygnębienia.

„Wszystkie anomalie instynktu życiowego, który nie jest taki sam w przelocie 2 chwil z rzędu, wszystkie aberacje mimowolne imaginacji — trzeba znieść to wszystko, to znaczy znieść siebie jak gorączkę” (II 321).

„Gdy człowiek jest młody — pisze w innym miejscu, — jest szczęśliwy, samym poczuciem że żyje, nie potrzebuje podpórek sztucznych, stanowiska, wszystkich środków pomocniczych, które utrzymują, podtrzymują to życie, które się coraz ścieśnia i za chwilę runie...”

Ale tuż obok, w tych samych epokach, odnajdujemy także słowa z głębi płynącej pociechy.

„Kiedy żłobimy prawdę, by ją przeniknąć, ona żłobi nas, by w nas wejść i stać się substancją naszej duszy.” (II 322).

Jeszcze w kwietniu 1824 (Biran umiera w lipcu tego roku) skarży się na to, że porównując się z ludźmi pozbawionymi życia wewnętrznego, człowiek o głębszym życiu wewnętrznym czuje nieustannie nad sobą ich przewagę; ta przewaga czysto życiowa, sukces, oklaski godności upakarzają go jeszcze „kwadrans” przed śmiercią! „Nie porównywać się żyjąc wśród ludzi to niemożliwe. Trzeba by mój somnambulizm zrobić jeszcze bardziej całkowitym.” (Słowo somnambulizm wraca często. „Je-

*) moje podkreślenie.

stem somnambulikiem w świecie interesów" pisze w innym okresie życia). „Cóż mi z tego wszystkiego, z tych towarzystw, gdzie idę szukać zapomnienia siebie? Są to środki, fizyczne podniecenia, wrażliwości, dają nam przemijający ruch, a chwilę potem rzucają nas w haniebną inercję. Jeszcze w maju 1824 notuje „jakże jest smutno stracić smak do świata i do wszystkich rzeczy dotykalnych i nie zdobyć smaku rzeczy duchowych...” „Gdyby stan chorobliwy mego ciała miał jako skutek otworzenie mi oczu na sprawy ducha, gdyby zmienił moje serce, byłoby szczęśliwie cierpieć, ale wciąż jeszcze gonię za próżnością, bardziej niż za prawdą. Szukam ludzi, by rozgrzać resztę swych sił fizycznych, mdlejących, chociaż ten świat mnie brzydzi, chociaż nie jestem ofiarą żadnego ze złudzeń świata!”

Ostatnie miesiące wzrasta widocznie jego choroba i wskutek tego stany bezsilności; nie ma już możliwości nawet obserwować siebie tak jakby chciał. Żali się na swą „śmierć antycypowaną”. „Jeżeli człowiek wewnętrzny, pisze znów w ostatnim roku swego życia, jest zmuszony zajmować się sprawami tego świata, nie oddaje się nigdy tym sprawom całkowicie. Nawet w chwilach największego ruchu zewnętrznego ma oko zwrócone wewnątrz siebie; jest w obecności Boga i siebie samego i nigdy nie traci całkowicie z pola widzenia tych dwóch biegunów istnienia. I kiedy ruch zewnętrzny się kończy, wchodzi on znowu w siebie i w pełne posiadanie własnego życia. Jak zrobić, żeby nie być nigdy porwanym przez rzeczy, którymi się trzeba zajmować, by nie zatrzymać ruchu wewnętrznego... Boże uwolń mnie od zła, to znaczy od tego stanu ciała, które obraża i absorbuje wszystkie władze duszy.”

Ostatnie notatki, ostatni ustęp przed śmiercią:

„W walce codziennej, która napełnia me życie, czekam z cierpliwością, aż nadejdzie wielka przemiana, o której wzdychał Hiob „Cunctis diebus nunc milito, expecto donec veniat immutatio mea (Job, ch. IV, V-14)”. I w ostatnim zdaniu dziennika notuje, że człowiek może się wznosić na drabinie, może się wznosić w hierarchii coraz wyżej, wtedy właśnie, kiedy wychowanie jego będzie skończone, „kiedy śmierć zostanie całkowicie pochłonięta przez życie.”

Jeżeli Maine de Biran miał coraz to wątpliwości, czy pracę, którą wykonuje wykonywać powinien, bo wie, że ją robi dość lichy, niewątpli nigdy w znaczenie i wagę swych notatek, które dopiero więcej niż sto lat po jego śmierci i to podcięte, doszły do czytelników.

„Kto wie, co może myśl skoncentrowana, czy nie ma Nowego Świata wewnętrznego, który mógłby być odkryty pewnego dnia przez nowego Kolumba metafizyki.”

Niektóre strony z dziennika Birana czy to nie ścieżki prowadzące nas właśnie w ten Nowy Świat wewnętrzny?

„sądząc jedynie na podstawie tego, co odczuwam — pisze filozof — i oceniając jedynie fakty psychologiczne, zdaje mi się,

że jest we mnie zmysł wyższy, jakby oblicze mej duszy, które się chwilami zwraca (i to częściej w pewnych okresach i w pewnych epokach roku) ku ładowi rzeczy i idei wyższych wszystkiemu, co się tyczy życia powszedniego, wyższych wszystkiemu o co dba świat i co ludzi wyłącznie zajmuje. Mam wówczas wrażenie wewnętrzne, przecucie (suggestion) pewnych prawd, które się wiążą z ładem niewidzialnym, z formą istnienia lepszego i całkiem innego niż ten, w którym jesteśmy.” Ale stwierdza zaraz, że są to błyski, które nie zostawiają śladu w życiu, że on sam opada natychmiast po chwili takiego wznieślenia. I znów się zastanawia, „skąd przychodzą te sugestie prawd przedziwnych, których wyraz w chwilę potem jest już dla mego umysłu martwą literą”.

Te chwile świadomości oświecają Maine de Biran jak błyskawicą.

„Jakaś zasłona pokrywająca mój intelekt, nagle się odsłania, by zaraz znów opaść” — żali się filozof.

Ta sekunda przecucia, widzenia hierarchii wartości absolutnej, jakże jest obca wszystkim dzisiejszym wyznawcom Sartre'a, spopularyzowanego przeważnie z trzeciej ręki, dla którego samo pojęcie innej hierarchii niż ta, „która mi się podoba”, jest nie do przyjęcia.

Co daje czytelnikowi ten dziennik człowieka słabej woli, którego bieg życia zależny był jakby tylko od zewnętrznych wypadków nigdy od niego?

Co powoduje ten wyczuwalny poprzez oba tomy, stały rozwój wewnętrzny filozofa? Jedyne świadomość.

Tu muszę się powołać na Simone Weil, na jej genialne notatki po śmierci zgrupowane i wydane.*) W łańcuchu notatek wyznań, notatek-myśli, to ostatnie w czasie ogniu.

We wstępie do jej książki — pisze Thibon — „wola jest dobra do zadań służebnych, zapewnia funkcjonowanie poprawne cnót przyrodzonych, które są dla pracy Łaski tym, czym jest trud oracza przed zasiewem... Jak Platon, jak Malebranche, Simone Weil przypisuje w tej dziedzinie nieskończenie więcej znaczenia uwadze niż woli”. I tu mamy teksty Simone Weil zastanawiające:

„Trzeba być obojętnym na dobro i zło ale naprawdę obojętnym, to znaczy na jedno i drugie kierować jednakowo światło, uwagi. Wtedy dobro zwycięża automatycznie”. Całe życie Weil, to dążenie do stworzenia „wyższego automatyzmu dobra” przez pogłębianie nieustanne świadomości coraz bardziej oczyszczonej z wygodnych złudzeń, nieświadomych zakłamań.

„Wola panuje tylko nad paru ruchami muskułów... błaga-

*) Jak tu znowu nie myśleć o Prouście i o jego zdaniu z opisu śmierci Bergotta: «Jak gdybyśmy byli podporządkowani prawom sprawiedliwości absolutnej, prawdy i doskonałości wysiłku, powstałym w innym świecie harmonii i prawdy...».

**) *Le pesantier et la grâce*, Librairie Plon, 1947.

nie wewnętrzne jest jedynie rozsądne, bo dzięki niemu omijamy konieczność napinania mięśni. Cóż bardziej głupiego jak nateżenie mięśni i ściskanie szczęk z powodu cnoty, poezji albo rozwiązywania problemów. Pycha daje taką sztywność". Nie wola a uwaga może nas pchnąć naprzód na drodze rozwoju.

„Uwaga na najwyższym szczeblu — pisze S. W. — jest modlitwą”.

„jeżeli zwracamy inteligencję ku dobru jest niemożliwe, by po mału cała dusza nie była ku niemu porwana”.

Upraszczam myśli S. W. cytując urywki, które może jedynie w świetle jej atmosfery absolutnie surowej mogą „grać”.

W rozdziale „Dressage” S. Weil kładzie cały akcent na moment „poprawnego stosowania zgodnego z obowiązkiem przyrodzonych przymiotów woli miłości, poznania...” odrzuca (idąc tutaj za św. Janem od Krzyża) natchnienia, które odwracają nas od najbardziej sumiennego, ścisłego wykonywania obowiązków „łatwych i niskich”. Ale dla niej działanie poprawne woli — jest elementarzem obowiązującym lecz podrzędnym.

To lekceważenie, jakby z którym parokrotnie pisze o wysiłku woli ma może źródło w tym, że sama — jeżeli sędzić z jej biografii i notatek — musiała mieć wolę żelazną, że osobiście dla niej wola nie była prawie problemem, że wystrzegająca się jak ognia zastępowania świadomości „napinaniem mięśni”, świadomości, której **nadrzędność** w stosunku do woli podkreśla wszędzie.

Maine de Biran, człowiek tysiąca słabości, których się wyzyść nie mógł do śmierci może służyć przykładem najbardziej przekonującym czym jest świadomość, absolutnie rzetelna, która w miarę lat pociąga go jakby wbrew niemu, jakby wbrew nawet jego słabej woli — coraz wyżej.

„...Pod jednym warunkiem, by nie kłamać i mieć napiętą uwagę” to zdanie Simone Weil może służyć epigrafem całego życia Birana. Wpatrując się nieustannie w siebie, pisząc ciągle o sobie ten człowiek, o twarzy jak z portretu Greuze'a „nie kłamał i miał zawsze napiętą uwagę.” światło, które daje nam jego „Journal Intime” jest świadectwem, do czego się w sobie dopracował.

Schopenhauer nie miał racji: „ja” tak często powtarzane przez Maine de Biran nie brzmiało na pewno jak świadectwo głupoty.

Józef CZAPSKI.

Obraz poetycki

3

POTRZASKANE OBRAZY

Już w roku 1898 Yeats pisał, że „nowa poezja, która wciąż zwięza swe granice, wyrosła w cieniu starej”. Był on wtedy bez zastrzeżeń jej zwolennikiem:

Gdyby ludzie mieli przyjąć, że poezja wrusza nas ze względu na swój symbolizm, to jakich zmian należałoby oczekiwać w sposobie pisania naszej poezji? Powrót w ślady naszych ojców, wyrzucenie opisów przyrody dla przyrody, praw moralnych dla praw moralnych, usunięcie wszelkich opowieści i tego rozważania nad zdaniem naukowymi, które tak często gasiło wewnętrzny płomień poezji Tennysona.

To, czego domagał się Yeats, jest — oczywiście — czystą poezją, poezją dla poezji. Jednak zupełnie jest niesłuszne mówić o takiej poezji jako o „powrocie w ślady ojców naszych”; nie jest to nawet powrót w ślady naszych pierwotnych przodków, dla których poezja mimo, że była magią, była magią o celu przekraczającym dalece zadowolenie estetyczne. Lecz stwierdzenie Yeats'a posiada znaczenie historyczne, gdyż uprzedza jakby stosunek do poezji panujący w naszych czasach i będący główną przyczyną sporu między poetami angielskimi. Różnica między poezją klasyczną a romantyczną zmodyfikowana została w różnicę między poezją czystą a nieczystą; możemy zbadać świadomy rozwój tej ostatniej poprzez szkołę estetyczną lat dziewięćdziesiątych ub. stulecia poprzez imagistów (choć uważali oni imagizm za nowy klasycyzm) aż do surrealistów nam współczesnych; trudno nie zauważyć, że główny prąd poezji europejskiej (na Kontynencie) — francuscy po-symboliści, Rilke, George, Hölderlin, Lorca — skierował się jeszcze bardziej zdecydowanie ku poezji czystszej niż tradycja angielska. Nie zamierzam bronić tu żadnej ze stron w tym sporze. Moim zdaniem, i myślę, że wielu poetów zgodzi się tu ze mną, oba rodzaje poezji działające obok siebie we wszystkich swych praktycznych stopniowaniach najlepiej by się przyczyniły do utrzymania poezji w dobrym zdrowiu. Ale oczywiście można się z

łatwością spierać, że nie jest to obecnie możliwe i że jedyna nadzieja na przetrwanie poezji leży w ciągle nowych zastrzykach jej własnej czystej esencji. Dla mego tematu ważne jest że podstawowym bogactwem tej czystej poezji — twierdzą, czy „punktem obronnym”, do którego wycofały się główne siły poezji — jest właśnie obraz.

Poeta nowoczesny stoi w obliczu trudności w komunikowaniu się z innymi, tak wielkiej na swój sposób jak trudność, którą sprawia mu kwestia treści. Nie tylko scena życia współczesnego oszałamia go swym swą złożonością i zmiennością; ale także szerszy ogół utracił ten rodzaj wyobraźni, który był podstawą poezji ludowej, na jej miejsce stawiając albo pozytywne pragnienie „dokładnych” informacji albo bierną postawę przyjmowania fantazji kina i powieści masowej; ludzie najbardziej wykształceni, ostatnia nadzieja poety, zawiedli go również, stawszy się zbyt sceptyczni i zbyt mało naturalni, by być podatni łatwo na jego sztukę. Ale mimo to, o ile można powiedzieć w ogóle, że dzisiejszy poeta angielski pisze dla kogoś, to pisze on dla osób najbardziej wykształconych. Nerwowe manieryzmy, ogólna atmosfera przesady i ekshibicjonizmu, którą znajdujemy w poezji współczesnej wyjaśnione być mogą przez mniej lub więcej świadome pragnienie poety do zaimponowania temu właśnie rodzajowi czytelnika; gwałtowność i sprzeczność tych obrazów jest w części mniej lub więcej celową kuracją elektryczną, za pomocą której pragnie on złamać zbyt cywilizowany opór tego czytelnika.

Jednakże, choć ruch w kierunku czystej irracjonalnej poezji był może konieczny, to jednak jest on cofnięciem się. Część ładunku wyrzucono za burtę, by utrzymać statek na powierzchni. To co racjonalne nie jest podstawą rozsądku poetyckiego; ale musimy być zdania, że rozsądek poetycki jest bez niego niekompletny. Jeżeli uważamy wyobraźnię za siłę, będącą w stanie zjednoczyć myśl i uczucie w poetycką całość większą od sumy poszczególnych części. Zobaczmy, że poeta współczesny używając obrazów w tak gwałtowny i niekonsekwentny sposób poświęca nie tyle jednolitość wrażenia jak właśnie tę „pełność”, tę niezaprzeczoną przewagę tematu nad dekoracją i detalem.

Z symbolizmu pochodzi również współczesna praktyka używania prywatnych obrazów; to znaczy obrazów, których zastosowanie jest tajemnicą znaną poecie i jego doświadczeniu — tajemnicą, którą czytelnik może zgadnąć, albo wynioskować z kontekstu uczuciowego, przy czym ten sposób mówienia aluzjami może sprawi mu specjalną przyjemność, tak jak komuś obcemu, kogo dopuszczono do rozmowy dwu bliskich przyjaciół, lecz kto może oczywiście całkowicie błędnie zrozumieć jej znaczenie. Jak powiedział Edmund Wilson:

Symbolo szkoły symbolistów wybrane są zazwyczaj do-

wolnie przez poetę dla oznaczenia jego własnych specjalnych pojęć — są one rodzajem przebrania dla tych pojęć.

Jest to równie prawdziwe dla wielu obrazów współczesnych poetów. Tenże krytyk wskazuje wadę tej metody, gdy mówi

W rzeczywistości symbole Symbolizmu były to metafory oderwane od swej treści, bo nie można w poezji — poza pewien punkt — tylko cieszyć się barwą i dźwiękiem dla nich samych; trzeba (też) moc odgadnąć do czego te obrazy się odnoszą.

Zostawmy teraz komunikowanie się i zastanówmy się nad innym aspektem współczesnego zastosowania obrazów — zastosowania, będącego reakcją poety na dzisiejszy, tak złożony i pogmatwany, świat... Coraz bardziej skomplikowana cywilizacja usprawiedliwi istnienie bardziej skomplikowanych wzorców obrazów wewnątrz wiersza; epoka wyrzucająca na powierzchnię masy nowych pojęć i danych myślowych wymagać będzie reakcji w postaci nowych śmielszych obrazów; lecz nie wynika z tego bynajmniej, że właściwą reakcją na rozkład cywilizacji jest rozkład wiersza.

Wyobraźnia nie jest bowiem tylko lustrem, ani obrazy tylko odbiciem w tym lustrze. Wyobraźnia jest też czynna, jest środkiem, za pomocą którego poeta bada rzeczywistość; a obraz, jak już powiedziałem, jest sposobem za pomocą którego poeta zmniejsza świat rzeczywisty do proporcji, z którymi można sobie dać radę i za pomocą którego ujawnia wzorce tego świata.

Mamy jednak prawo zapytać współczesnego poetę jaki to jest schemat kryjący się poza owym „blaskiem i błyskiem ciągłych, lecz potrzaskanych i niejednorodnych obrazów” w jaki sposób tłumaczy on to łączenie obrazów, między którymi dla naszych oczu nie ma żadnego związku, intelektualnego czy nawet uczuciowego i co postawił on na miejsce owej logiki poetyckiej, która dawniej wiązała obrazy w jedną całość. Możemy nawet być na tyle nieuprzejmi, by rzucić weń jeszcze jedno zdanie Coleridge'a — „dowolne i nielogiczne zdania, zarówno oklepne jak fantastyczne, które zajmują tak czcigodne miejsce w technice zwykłej poezji”. A jeśli zażąda on od nas wyjaśnienia co rozumiemy przez logikę poetycką, będziemy mu mogli zacytować następujący wyjątek z W. P. Ker'a:

Ogólnie biorąc logika poetycka osiąga wnioski poetyckie za pomocą zmiany nastroju lub zmiany stanowiska... To jest logika poetycka, nie dowodzenie stanowiska wywodami i dowodami rzeczowymi, lecz zmiana stanowiska w ten sposób, by każde stadium zadawało umysł słuchacza i by przejście było zrozumiałe a posuwanie

się naprzód nie było zaprzeczeniem poprzednich stadiów (podkreślenia C. D. L.).

To co tu Ker powiedział to jest w gruncie rzeczy stwierdzenie, że logika poetycka jest rozwijaniem tematu, które można porównać do podobnego rozwijania w muzyce. I poeta współczesny mógłby twierdzić, że zaspakają on ten warunek. Lecz krytycy niewątpliwie zaczęliby się z nim spierać o „zmięnię stanowiska”; jego przejścia od obrazu do obrazu lub od pojęcia do pojęcia to właśnie to, co jest dla nich nieraz niezrozumiałe — a przez „zrozumiałe” mamy na myśli nie tyle „logicznie następujące po sobie”, jak raczej „do przyjęcia przez wyobraźnię”; i skutek jest taki, że posuwaniem się naprzód wiersza wydaje się nieraz być zaprzeczeniem wcześniejszych stadiów.

Skoro rzecz tak się ma, powinniśmy wrócić do naszego poety i zapytać go z jeszcze większym naciskiem jak usprawiedliwia on swe stosowanie obrazów, jaki jest schemat poza nim. Bo jasne jest, że jeśli musi istnieć jakiś związek między obrazami we wierszu i jeśli nasz poeta odrzuca stary system wywodu poetyckiego, który łączył je w sposób jasny i wyraźny, to by wyrównać brak tego wywodu musi istnieć między jego obrazami pokrewieństwo bardzo bliskie, i choć nie widoczne na zewnątrz, to jednak niewątpliwe. Lecz tego właśnie tak często nie udaje się nam znaleźć. Tak często obrazy jego wydają się być w poetyckiej próżni, zajęte same sobą, poważne lub rozchukane, odśrodkowe, prawie tak jak gdyby wiersz był balem kostiumowym dla dzieci in-trowertów. Poeta może nam odpowiedzieć słowami Edmunda Wilsona o symbolistach:

Świat i poeta zawsze zachodzą na siebie, zawsze działają na siebie nawzajem, tak jak mogłyby to uczynić we wierszu epoki romantycznej; ale symbolista nie będzie się nawet starać... o utrzymanie stałości ich stosunku. Konwenanse obrazów we wierszu zmieniają się równie szybko i naturalnie, jak obrazy przechodzące przez umysł poety.

To wszystko jest zupełnie w porządku tak długo jak poeta nie zakłada na mocy tych słów, że ciąg obrazów przechodzących naturalnie przez jego umysł może sam ze siebie być wierszem. Nic podobnego oczywiście nie zakładam — odpowie nasz poeta. Zmierzam do tego, żeby wiersz wyrastał w sposób naturalny z obrazów, by brał od nich kształt, zamiast wciskać je gwałtem w formę podyktowaną przez myśl lub konwenans. A także, skoro poruszył Pan malarstwo, to weźmy inną analogię — analogię Cezanne'a, który widząc łączność integralną między formą i kolorem w naturze tak, że nie mógł żadnej z tej cech studiować z osobna w przedmiotach naturalnych, postawił sobie za cel budowanie kolo-

rem. Istnieje pewien wspólny czynnik między dokonaną w ten sposób rewolucją w sztuce, a rewolucją w poezji, która stara się ujawnić kształt przeżycia za pomocą koloru to jest za pomocą obrazu i przenośni; metoda ta jest odpowiedzialna za ów zbytek, za ów „blask i błysk nieprzerwanych, lecz potrząskanych i niejednorodnych obrazów”, której to cytaty użył Pan przeciw nam...

Może nam się przydać, jeśli omówimy na tym miejscu inny wiersz, sonet George Barker'a, który zawdzięcza nieco Hopkinsowi pod względem dykcji; treścią jest rzeczywiste przeżycie poety — widok dwu ludzi zmiecionych za burzę na Morzu Śródziemnym.

*The seagull, spreadeagled, splayed on the wind,
Span backwards shrieking, belly facing upward,
Fled backward with a gimlet in its heart
To see the two youths swimming hand in hand
Through green eternity. O swept overboard
Not could the thirty-foot jaws them part,
Or the flouncing skirts that swept them over
Separate what death pronounced was love.*

*I saw them, the hand flapping like a flag,
And another like a dolphin with a child
Supporting him, Was I the shape of Jesus
When to me hopeward their eyeballs swivelled,
Saw I was standing in the stance of vague
Horror; paralysed with mere pity's peace?*

(Mewa, rozpostarta jak orzeł, rozkraczona na wietrze, Zawirowata w tył z wrzaskiem, z brzuchem do góry, Odleciała do tyłu ze świdrem w sercu, Widząc dwóch młodzieńców płynących ręka w rękę przez zieloną wieczność. O zmieceniu za burtę ni dziesięciometrowa paszczyka ich rozdzielić nie mogła. Ni szamoczące się spódnice co ich nakryły (nie mogły) Rozdzielić tego, co — jak orzekła śmierć — było miłością. Ujrzałem ich, dłoń trzepotała jak flaga, a druga niby delfin z dzieckiem co go podtrzymuje. Czy byłem kształtem Jezusa gdy ku mnie w kierunku nadziei zwróciły się ich oczy, ujrzały że stałem w pozycji nieokreślonej grozy; sparaliżowany pokojem miłości, która była li tylko miłością.)

Obraz mewy, którym rozpoczyna się sonet, jest niezwykle błyskotliwy, zarazem symboliczny i ewokacyjny; słowa zadają bardzo trafne i opanowane ciosy; rytm, znakomicie zastosowany przez przeciąg całego wiersza, oddaje najpierw opór wobec wiatru a w dwóch następnych liniach poddanie się mu. Nasze pierwsze wrażenie jest czysto fizyczne — widzimy mewę zmiecioną wiatrem w tył nad farwaterem statku. Ten widok jest tak dobrze znany nam wszystkim, że poeta może sobie pozwolić na dużą swobodę poetycką w stosunku do niego, a mimo to nie stanie się niezrozumiały. Gdy pierwsze wrażenie przejdzie, zda-

jemy sobie sprawę z innego znaczenia pod tym pierwszym: mewa, która „Zawiórowała w tył z wrzaskiem, z brzuchem do góry” przygotowuje nas emocjonalnie na dwu ludzi, oddalających się w wirze farwateru. W tym miejscu zdanie „Odleciała do tyłu ze świdrem w sercu” wprowadza trzeci motyw. Zawiera on nie tylko poprzednio poddaną myśl o jakiejś bezlitosnej sile, która odrzuca mewę z jej kursu i spycha ją w tył; ale również każe nam myśleć o bezradnym bólu tego, kto widzi „dwóch młodzieńców płynących ręką w rękę przez zieloną wieczność” i nic nie może poradzić — ból, w gruncie rzeczy samego poety, który „stoi” w pozycji nieokreślonej grozy; sparaliżowany przez pokój litości, „która jest li tylko litością”. Ostre, precyzyjne słowo „gimlet” wspaniale wskazuje to podwójne znaczenie.

Ale w dalszym ciągu wiersz nie jest już może całkiem zadawalający. Uwaga nasza zaczyna się rozpraszać, rozpraszają ją obrazy nie trzymające się już tak ściśle wątku. Podziwiamy sposób, w jaki gładki rytm odlotu mewy zmienia się w rym posiekany, burzliwy w

O swept overboard

*Not could the thirty-foot jaws them part,
Or the flouncing skirts that swept them over
Separate what death pronounced was love.*

Ale obrazy użyte dla fał — paszczyka i szamoczące się spódnice — nie są w zgodzie ze sobą i nie nawiązują kontaktu z obrazem mewy. A dalej, w sekstynie, mamy jeszcze dwa obrazy, równie odśrodkowe, — „ręka trzepocząca jak flaga” i „delfin z dzieckiem co go podtrzymuje”. I otóż przyczyna naszego niezadowolenia leży, jak mi się wydaje, w tym, że poecie nie udało się utrzymać podwójnego znaczenia tak pięknie stworzonego w początku wiersza. Stara się on być w dwóch miejscach naraz, w świadomości tonących, którzy widzą go na „kształt Jezusa” i jednocześnie w samym centrum swego przeżycia, jako świadek ich losu. Wiersz, starając się w ten sposób patrzeć jednocześnie na zewnątrz i do wewnątrz przestaje być emocjonalnie skoncentrowany, staje się „nieostry”; nie wąpimy w intensywność przeżycia, lecz stwierdzamy, że czyste, subiektywne, obrazy wstające z głębi przeżycia nie stapiają się w doskonałą całość z obrazami, których zadaniem jest przekazać zewnętrzną przyczynę. Wiersz Barkera jest gdzieś w połowie drogi między poezją czystą o której mówimy, a nieczystą. Jest ona przynajmniej na tyle „nieczysta”, że pozwala sobie na jedno bezpośrednie stwierdzenie (czy ogniwo wyводу poetyckiego) — że fał nie mogły „rozdzielić tego co — jak orzekła śmierć — było miłością”.

Widzieliśmy, że w bardziej „czystej” poezji dnia dzisiejszego istnieje niebezpieczeństwo spowodowane tendencjami odśrodkowymi obrazów. Musimy teraz rzucić okiem na inne jeszcze możliwe niebezpieczeństwo. Walter Raleigh w wykładzie o Krystynie Rossetti powiedział:

Najgorsze to to, że nie da się wyklądać o czystej poezji tak samo jak nie można mówić o składnikach czystej wody — to właśnie o zanieczyszczonej, fałszowanej poezji wygłasza się najlepsze wykłady.

Jest to świetna rada, którą zdaje się ignorować z katastrofalnymi skutkami w tym rozdziale. Ale przytoczmy inne zdanie: Herbert Read powiedział, że

Poezja jest esencją, którą musimy rozcieńczać bardziej ordynarnymi składnikami, aby nadawała się do życia lub do użytku. Wiersz, który składałby się z czystej materii obrazów, byłby jak posąg z kryształu — zbyt zimny i przezroczysty dla naszych ziemskich zmysłów.

Zauważyliśmy, że autor zakłada tu z góry, że „czysta materia obrazów” jest esencją poezji. Read i Raleigh nie mówią jednak całkiem o tym samym. Raleigh mówi o czystej liryce, o wierszu, w którym przez jakiś szczęśliwy przypadek, nie do przewidzenia i nie do pokierowania, słowa zamieniają się w krople żywego srebra jak gdyby, które zbierają się leciutko razem i łączą w jedną okrągłą całość ... o takich wierszach jak ten wiersz Krystyny Rossetti

*When I am dead, my dearest,
Sing no sad songs for me;
Plant thou no roses of my head,
Nor shady cypress tree:
Be the green grass above me
With showers and dewdrops wet:
And, if thou wilt, remember,
And, if thou wilt, forget.*

Gdy mnie nie będzie, najdroższy, Nie śpiewaj smutnych pieśni po mnie; Nie sadź róż u wezgiłowa, Ni cyprysów cienistych; Niech trawa zielona nade mną będzie, Deszcz przelotny i wilgotna rosa; A jeśli chcesz, pamiętaj. A jeśli chcesz zapomnij).

Tego rodzaju wiersze „z żywego srebra” wyslizgują się spod dotyku krytyka; nie dają żadnego punktu zaczepienia, który umożliwiłby krytykowi stworzenie jakiejś zbudnej teorii. A więc, jak to chciał powiedzieć Raleigh, lepiej zrobimy jeśli przestaniemy o nich paplać i zadowolimy się tym, że możemy się nimi cieszyć.

Ale i ten rodzaj czystej poezji, do której odnoszą się uwagi Reada, daje krytyce punkt zaczepienia, gdyż jest świadomy, a nawet — nie używam tego słowa w znaczeniu ujemnym — syntetyczny. Jest to poezja świadomie konstruowana z obrazów, umyślnie stawiająca sobie za cel eliminację najmniejszych śladów znaczenia prozaicznego. Nie przyjęłaby ona nigdy tak prostego i bezpośredniego zdania, jak *And, if thou wilt, remember, and if thou wilt, forget*, ani też, mogłoby dodać nie-

którzy z nas, nie osiąga ona nigdy zdań równie poetycznych. Ale prawdziwa różnica jest pomiędzy takim wierszem jak «Song» Krystyny Rossetti, którego refren — nawiasem mówiąc — rozwiązuje sprzeczność przez akt lirycznego jej sformułowania a poetą, który stawia sobie za zadanie, jak Eliot w swym Terezaszu, albo David Gascoyne w Venus Androgyne, «stopienie podwójnych przeciwieństw w jednym ogniu». Ta bardziej «czysta» poezja współczesna jest bowiem nie tylko kwestią dopuszczenia do rozmnażania się obrazów za pomocą konfliktu, jak to wyraził Thomas; znajdujemy w nim również często świadome poszukiwanie jakiejś prawdy, o której przypuszcza się, że leży u podstawy tych sprzeczności...

Poezja, która ze swego zasięgu wyłącza poszukiwania, dokonywane przez rozum i wskazówki instynktu moralnego, jest przez to samo o tyle mniej pełna pasji, o tyle mniej różnorodna i ludzka, o tyle mniej jest ona wytworem pełnego człowieka u szczytu jego pełnej wyobraźni. W najlepszym wypadku obrazy tego rodzaju poezji będą wymuszone, będą wyrastać ze sztucznie użyźnianego gruntu wrażliwości, będą bujne, ale krótkotrwałe i dziwaczne. Jeśli wiersz nie posiada za wątek tego rozsądku poetyckiego, który jest «emanacją intelektualnej części naszej natury», to obrazy jego będą potrząskane, anarchiczne, a ich stosunek wzajemny trudny będzie do uchycenia. Jeśli wiersz jest nie pełen pasji, jeśli jest wierszem «czystej» materii poetyckiej, z której odfiltrowano wszystkie «bardziej ordynarne składniki», to nie tylko będzie «zbyt zimny i przezroczyście dla naszych ziemskich zmysłów», ale brak mu będzie także tej jednoczącej siły — tej intensywności uczucia, która jedynie zająć może miejsce rozsądku poetyckiego w stąpieniu w jedną całość obrazów czystej percepcji i w kierowaniu nimi. Co więcej, obrazy takie wydać się mogą dowolne i monsturalne, jeśli nie będzie poza nimi jakiejś odpowiednio proporcjonalnej siły uczucia. Wniosek wydaje się nie do uniknięcia: że dwa niebezpieczeństwa, które zagrażają poezji czystej, są w gruncie rzeczy jednym i tym samym niebezpieczeństwem. Czy obrazy są zbyt silne w stosunku do kontekstu i kłócąc się między sobą rozrywają go na strzępy, czy też są tak dalece oczyszczone z ludzkich skojarzeń, że nasza zwyczajna, przykuta do ziemi wyobraźnia nie zagrzewa się do nich, nie odczuwa ich, nie reaguje na nie; w obu wypadkach skutek jest ten sam: wiersz może i błyskotliwy w szczegółach, przenikający może głęboko chwilami swą intuicją, ale w całości niezadawalający, wiersz niecałkowity: stos potrząskanych obrazów.

«WIECZNA ROZRYWKA WIECZNEGO DUCHA»

W swym essay'u o metaforze, Middleton Murry zauważył, że nie możemy prowadzić badań nad metaforą zbyt daleko, jeśli nie chcemy się znaleźć u skraju zdrowego rozsądku. Zdanie to musiało już nieraz przyjść na myśl cierpliwemu czytelnikowi

tej książki. Karą za zbyt gorliwe obszukiwanie i opukiwanie zewnętrznej powierzchni obrazu jest, że wpadamy w czarne wody, które się pod nią kryją i jedyna nasza pociecha to że poeci byli tam przed nami. Lecz czy wciąż jeszcze tam są? Lub raczej, ile z nich jest tam? Jak dalece jest prawdą, że serce i wartość wiersza znajduje się w jego nieświadomym źródle i w działaniu jego na nieświadome pokłady u czytelnika? Wzdynam się przed wstąpieniem w tę krainę — krainę tak na chybił trafił nakreśloną na mapach, tak niewątpliwie niespacyfikowaną. Ale wstąpić w nią muszę, jeśli mam podtrzymać dowodami me twierdzenie, że pełny wiersz jest, lub może być, totalnym obrazem.

Obrazy (stwierdza profesor Livingston Lowes) są integralną częścią poezji, a nie tylko ozdobą. Ale dlaczego natura języka, — a więc środka, którym posługuje się poeta — sprawia, że obrazy są niezbędne? Ponieważ, (tak przynajmniej należy przyjąć) zwykły język nie wystarcza na to, co chce on przekazać. Lecz co pragnie on przekazać? Otóż, skoro postawimy to pytanie, to przenosimy się z dopuszczalnej, lecz częściowej koncepcji obrazu jako cechy nieodłącznej od języka, ku koncepcji obrazu jako funkcji myśli poetyckiej. Poeta może jedynie osiągnąć prawdę swego własnego doświadczenia przez używanie drogi okrężnej, przez pośredni użytek języka. Chce on zrzucić jakiś ciężar ze swego umysłu («straszliwe gorąco wokół mego serca, niby ładunek nieśmiertelności»). Ten ładunek to nie jest zbędny balast luźnych wspomnień; gdyby tak było, to mógłby się go pozbyć przez konsultację u psychoanalityka lub napisanie autobiografii; to jest całokształt wspomnień, które zgrupowały się razem bez udziału świadomości i które domagają się zaspokojenia tym bardziej, że przez ich spotkanie stworzona została prawda bardziej uniwersalna niż ta, którą mogło nam dać każde z nich z osobna.

Tu musimy się bardzo ostrożnie opuścić głęboko w dół tej studni, gdzie jest bardzo ciemno i gdzie każdy czytelnik ma równie dobre prawo jak i ja do wysuwania przypuszczeń. Obrazy, powiedziano nam, to są wspomnienia, które wydały owoc w ciemności. Wielu poetów powiedziało nam to. A wielu posunęło się dalej. Keats powiedział, że poezja «powinna uderzać czytelnika jako wyrażenie słowami jego własnych najwyższych myśli i pokazywać się prawie jako Przypomnienie». A we wzmiankowanym wyżej essay'u pisze Spinder:

Twierdzenie, że pamięć jest władzą, od której zależy poezja, jest może prawdziwe, gdyż wyobraźnia sama już jest używaniem pamięci. Wszystko co sobie wyobrażamy, jest już nam znane uprzednio i nasza zdolność wyobrażania sobie jest zdolnością pamiętania tego co już raz doświadczyliśmy i zastosowania go do jakiejś odmiennej sytuacji.

Warto zwrócić uwagę na ostatnie zdanie. Wspomnienia w

poezji są metaforyczne, częściowo dlatego, że poeta musi stosować swe doświadczenie za pomocą wyobraźni do jakiejś odmiennej sytuacji, dlatego otrzymują one głębie i wagę obrazów.

Jakaż więc jest, dla poety, ta «odmienna sytuacja», do której musi on stosować swe doświadczenie? Po pierwsze jest nią temat wiersza — temat, który może się przedstawić w formie szczególnego, konkretnego przeżycia, albo — w sposób mniej wyraźny — w jakimś takim «danym» zdaniu-zarodku, które jak widzieliśmy, jest nieraz punktem, od którego się wiersz świadomie rozpoczyna. W obu wypadkach temat jest w tym stadium jedynie tematem potencjalnym; tym co daje mu substancję i co go określa jest proces, za pomocą którego fragmenty ogólnego doświadczenia poety, jego własne prywatne wspomnienia zostają wciągnięte w orbitę potencjalnego tematu; wspomnienia te, wyjęte w ten sposób ze swego pierwotnego kontekstu i zmienione przez wymagania tematu, użyte są metaforycznie i ukazują się nam jako obrazy. Proces ten wyjaśnia nam częściowo dlaczego wspomnienia, będąc prywatnymi i właściwymi tylko dla poety, mogą jednocześnie mieć znaczenia dla czytelników. Jaki to wszystko ma związek z prawdą ogólną wiersza? Wyszukamy twierdzenie, że temat jest interpretacją prawdy ogólnej przez poszczególnego poetę — lub raczej, skoro zgodziliśmy się, że poeta może nie zawsze zdawać sobie sprawę z prawdy ogólnej, wyrażonej w danym utworze, to powiedzmy, że temat jest prawdą ogólną, która wyraża się sama w języku doświadczenia poety. Teoretycznie mamy więc dwa poziomy obrazów we wierszu: Pojedyncze obrazy odnoszące się do tematu i temat przedstawiający prawdę ogólną.

Nareszcie więc osiągnęliśmy, jak się wydaje, dno studni. A u mego boku nasz prostoduszny czytelnik wciąż powtarza «No dobrze, ale co dalej, jakie to są te prawdy ogólne?» Trzeba przyznać, że są one tylko postulatem. I muszę powtórzyć raz jeszcze, że przez «prawdy» nie rozumiemy tego samego, co naukowiec lub filozof: gdyż prawdy «sprawdzone» czyli stwierdzenia abstrakcyjne, działające przekonująco na inteligencję — a nawiasem mówiąc, jest ich także w poezji masa — dają się tam rozpoznać jako takie. Prawdy ogólne poezji dają się natomiast rozpoznać tylko dzięki swemu działaniu emocjonalnemu; niektóre tematy powtarzają się w poezji, i wiersze, w których się znajdują, będą, ogólnie biorąc, najlepszą poezją, będą wzruszać czytelników głębiej niż inne wiersze technicznie również doskonałe; i możemy to wytłumaczyć tylko przypuszczeniem, że u podstaw takich tematów znajdują się muszą prawdy o niezwykłej mocy i uniwersalności...

Uczucia zbiorowe (collective emotions), pogrzebane głęboko w podświadomości współczesnego czytelnika, mogą dziś jeszcze być poruszone przez poezję, jeśli wiersz sam je wykorzystają; ale po tyłowiekowym pobycie w morzu podświadomości, każde z nich utraciło już swą odrębność i wynurza się nie jako przeżycie, nienawiść, miłość, lecz jako ogólna reakcja wyobraźni,

którą nazywamy uczuciem estetycznym — reakcją, która tak często zawiera również uczucie rozpoznania i sprawia, że wiersz «wydaje się niemal Przypomnieniem».

Ta reakcja to zanotowanie zaspokojenia ludzkiej tęsknoty za pełnością. Jednostka nawiązuje kontakt, choćby i daleki, z doświadczeniem zbiorowym, z prawdami ogólnymi, które wiązały zawsze ludzkość w jedną całość. «Ucieka on od swych współbraci w świat sztuki po to tylko, by wejść w tym ściślejszy związek z ludzkością» — są to słowa Caudwella, które wtórują słowom Goethego «Uciekamy od świata dzięki sztuce, i sztuka również nas z nim łączy»...

I gdybym mógł przemawiać do poetów nienarodzonych, powiedziałbym im mniej więcej tak: Będziecie stapać z większą być może pewnością siebie przez krainę, która dla nas była ciemna i trudna. Ale gdy tak będziecie się, badając, zapuszczać coraz dalej i dalej w labirynt umysłu ludzkiego, nie traćcie z oczu tej nitki, która wywiedzie was z powrotem ku światłu. Każdy wiersz tworzy drogą przez ciemność i powrót ku światłu, droga ze światła z powrotem ku światłu, droga, która może się odbywać tylko przez mrok, a skończony wiersz jest drogą tej obrazem. We wierszu — odradzasz się; jest on przetworzeniem, zmartwychwstaniem ciała, w którym doświadczenie twe przybiera ciało, krew i kość; i żaden człowiek, do którego wiersz dotarł, nie będzie już nigdy potem zupełnie tym samym człowiekiem, tak zaraźliwa, tak zaspakajająca jest radość, która wytryska z prawdy działającej przez wiersz. Ale, ponieważ wiersz może tak działać na serca ludzkie, więc macie zobowiązanie wobec ludzi i wobec rodzaju ludzkiego w was samych. Możecie śpiewać tylko sami sobie, ale nie wolno wam śpiewać tylko dla samych siebie. Poeta jest jedynym dzieckiem samotności. Samotności swej powinien strzec, powinien ją pielęgnować: Ale, zajmując się swymi sprawami w tej dziedzinie, nie może on zapomnieć o drugim obowiązku: badając labirynt, nie może zagubić nitki.

Tą nitką jest ludzkość w nim samym, poczucie braterstwa z ludźmi i z przyrodą, które dostosowane do potrzeb poety, daje mu jego obrazy.

Gdybym mógł wypowiedzieć pod waszym adresem choć jedno życzenie, które by się spełniło, to życzyłbym wam, by powiodło się wam tam, gdzie nam, waszym poprzednikom, nie powiodło się jak najbardziej. Obyście mieli tę siłę i to szczęście, aby dać swemu pokoleniu obrazy cnoty — naturalne, podnoszące na duchu, dodające otuchy... Patrzenie więc wewnątrz, ale i na zewnątrz z równym uporem; bo cnoty, które jednoczą ludzkość w rodziny i społeczeństwa, są same w sobie wariacją tego prostego motywu, który jednoczy również wasze rozproszone wspomnienia i sprzeczne nastroje, tworząc w ten sposób wiersz.. (Natchnienie) to wizja widziana przez mgłę, to częściowa intuicja, udzielona poecie z głębi ludzkiego serca. Jeśli trzeba mu tajemnicy, to tu jest ta ostatnia tajemnica. A nie, co pocho-

dzi z serca człowieka, nie jest bardziej tajemnicze niż cnota — bezinteresowne odruchy zapału moralnego i ciekawości intelektualnej, spontaniczne porywy Łaski, Litości, Pokoju i Miłości. Reagując na nie z namietnością i sprawiając za pomocą dających rozkosz obrazów, że są dla nas bardziej prawdziwe, gra on jedyną i wyłączną rolę w świecie, gdzie nie tylko poeci i ich słowa, lecz wszyscy ludzie i wszystkie czyny ludzkie są zabawką.

*Wiecznego ducha wieczną rozrywką —
Co tworzy, przetwarza.*

Cecil DAY-LEWIS.

Z upoważnienia autora tłumaczył AV.

Już ukazał się miesięcznik

UNIVERSUM

organ Ruchu Chrześcijańsko-Społecznego

R. C. S.

pod redakcją Wojciecha Zaleskiego.

Adres redakcji i administracji:

W LONDYNIE: London SW 5, 18, Penywern Road.

W MONACHIUM: München-Allach, Waldhornstr. 25.

Cena egzemplarza w sprzedaży i w prenumeracie wraz z przesyłką pocztową wynosi w Anglii 1 sh., w Niemczech 80 fen., we Francji 30 frs. fr., we Włoszech 80 lirów, w Kanadzie i USA 25 ct.

PRZEDSTAWICIELSTWA: w Belgii — Librairie Polonaise en Belgique, 42, rue Defacqz, Bruxelles; w Kanadzie — Books & Newspapers Agency H. R. Radoński, Toronto, Ontario, 636 Queens St. East; we Włoszech — J. Grochowski, via della Croce 81/3, Roma; we Francji — Librairie Libella, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IVe.

W innych krajach prosimy o zwracanie się do polskich księgarń i agencji czasopism, w sprawie warunków prenumeraty i zakupu poszczególnych numerów Universum.

Do pisma dołączany jest bezpłatny dodatek w języku angielskim, poświęcony zagadnieniom Europy Środkowej i Wschodniej.

P. R. C.

Już z daleka widać charakterystyczne pudło na długich żelaznych nogach. Wieża ciśnień. W każdym obozie taka sama. Major objaśnia:

— To nasza wieża Eifla.

Droga o nazwie „Alej Generała Sikorskiego” ziele pustką.

Na „Placu Tobruckim” suszą się dwie koszule męskie, należące do kogoś źle sytuowanego; łatwo to poznać po doszytym pasie innego materiału. Kawalek wycięty u dołu zużyto na uszycie nowych kołnierzyków.

Od paru dni nad barakami wisi chmura lęku. Miejscowy urząd pracy „skoncentrował uwagę” na oficerach polskich poniżej lat czterdziestu.

— Taka mała łapanka, — mówi major — są kraje na świecie, które zmuszają siłą do pracy, Anglicy... kierują do pracy.

W obozie, gdzie jeszcze przed paru tygodniami tętniło życie i co sobotę tańczono przy patefonie, baraki świecą pustkami. Atmosfera likwidacji. Ostatni Mohikanie, jeszcze w mundurach, przyglądają się listom transportowym, wywieszonym przed komendą. Przy tej tablicy spotykają się ludzie „rozmieszczeni i przysposobieni”. Od tej czarnej tablicy bije zapowiedź innego życia. Gdybyś przyłożył do niej ucho, usłyszałbyś łoskot morza i warkot okrętowej śruby.

— Transport do Argentyny odchodzi w dniu 7 stycznia.

O legendarnej, obiecaniej Argentynie mówi się co wieczór na obozowych przyczach. Tam podobno „można żyć”.

Zaglądamy do gościnnego baraku kobiet-oficerów.

Na drzwiach wypisano kredą „K.M.B. 1948”.

Porucznik Lidia „pochodzi” spod Archangielska. Kapitan Maria „pochodzi” z Oberlangen (obóz jeńców Armii Krajowej). Krystyna zaś ze Środkowego Wschodu. W rozmowie, która się z początku nie klei, padają hasła: Argentyna — Kanada — Wenezuela.

Krystyna obchodzi dzisiaj imieniny. Dostała telegram od matki z Polski. Telegram leży na honorowym miejscu, między podarkami.

Notariusz z męskiego baraku przyniósł bukiet kwiatów. Koleżanki upiekły ciasto. Poczciwy pan chorąży przysłał dziesięcioletnią córkę z życzeniami.

Za oknami pada deszcz i robi się coraz ciemniej.

Choraży mówi, że mała Joasia urodziła się „jeszcze za Polską” w roku 1938.

— W 1938? — dziwi się solenizantka — dziesięć lat temu!

— Dziesięć lat! Kupa czasu — mówi notariusz.

Przez barak przechodzi cię niepokoju i smutku. Nad młodą twarzą porucznika Lidii w świetle słabej żarówki spostrzegam pasmo siwych włosów.

Rozmowa skacze: Buzułuk — walki na Starówce — list papierski Papieża — państwo Izraela — szosa zaleszczycka — Miłkołajczyk — Tito — brak mieszkań w Buenos Aires — z czego żyją niektórzy kasztaniarze? — czy Rosja ma bombę? — Berlin — Gomułka — Pstrokoński — obiady w kasynie.

Notariusz nie wierzy w pokój. Kapitan z kursu tapicerskiego nie wierzy w wojnę. Choraży trze bliźnę na policzku i milczy.

Za oknami deszcz pada coraz głośniej. Słychać gwizd wiatru między włazami baraku.

— Jak długo płynie okręt do Argentyny? — pada pytanie.

— Antosiak pisał, że już się urządził. Ale Bułanow chce z powrotem do Anglii — mówi solenizantka.

— Bułanow chce wracać? — przez izbę przechodzi smuga niedowierzania i lęku.

Zona por. M., piękna Włoszka, od chwili przyjazdu do Anglii licząca dni do transportu, mówi:

— Jeszcze 49 dni!

— Tutaj żyć nie można, to nie życie! — odzywa się kilka głosów.

— Wolę tam żyć w niedostatku, niż tutaj w dostatku! — zapala się starszy pan w mundurze z wieloma odznaczeniami. — Byłem wczoraj w mieście. Stałem w ogonku po papierosy. Natychmiast poznali po akcencie, z kim mają przyjemność. Papierosów nie dostałem. Ten, co stał przede mną — kupił. I ci, co stali za mną... (W tym momencie opowiadającemu pożyczają drzeć ręce, wysypuje cukier z łyżeczki na stół) — też kupili. I ci, proszę koleżanek i kolegów, którzy stali za mną — wszyscy kupili, a ja — nie!

Nastaje dłuższa cisza. Deszcz bębni w jakieś blaszane wiadro przed barakiem. Blizna chorażego ciągnie się od prawego oka po kącik ust.

— Niektórzy mają szczęście, — mówi z przekąsem notariusz — par exemple ten porucznik P. Na komendanta transportu się wkręcił. Z Anglii, proszę państwa, do Argentyny, a w drodze powrotnej okręt zabiera brytyjskich urlopowiczów z różnych tam Jamajek. I tak facet połowę światła za darmo objedzie. A jaka wyżerka na okręcie!

— Angielska wyżerka! — odzywają się ironiczne głosy.

— Na ostatnim posiedzeniu koła pułkowego, proszę państwa, — ciągnie notariusz — pułkownik K. miał się wyrazić: „A kiedy wybiję godzina, znowu rzucimy polską szablę na szalę wydarzeń.” Dobrze, co?

Chwila śmiechu.

— Co do mnie — on dawna znam swoje miejsce — mówi choraży, rozpinając haftkę przy kołnierzu.

— No?

— Obóz dla internowanych!

Solenizantka nastawia radio. Izdebka wypełnia się muzyką taneczną.

— Boże, jakże lubiłam kiedyś tańczyć — mówi por. Lidia — u nas, w Wilnie, gdy nadszedł karnawał...

— A teraz pani nie lubi?

— Teraz? — patrzy zdziwiona i obciąża na sobie wyszarzałą kurtkę koloru khaki. Por. Lidia może mieć najwyżej 35 lat.

Z kolei rozmowa toczy się o sprawach mniej ważnych. Kapitan zaczyna narzekać na angielskie żyletki. Że za tępe i za grube.

— U nas, panie dzieju, żyletki „Polo”, to były żyletki. Wzięteś w dwa palce, zgiąłeś i nie pękały.

— Gdyby tak — zamyśla się starszy pan z wieloma odznakami — kilku naszych przeszwarcowało się w okolicę tego, proszę pana, korytarza powietrznego między Berlinem a Hanowerem, i gdyby tak, proszę pana, wykombinowali choć jedno działko przeciwlotnicze i huknęli, proszę pana, w te samoloty... Może by, proszę pana, to nam coś pomogło?

— Nie tak łatwo trafić, — mówi choraży — ile to u nas, na pustyni, nacelowali się i nacelowali, zanim i tak nie trafili.

— Byłoby to drugie Sarajewo! — mówi kapitan.

Gdzieś niedaleko stuka okiennica. Wiatr tłucze w drzwi.

Choraży pije herbatę łyżeczką. Blizna ma zabarwienie fioletowe.

— Nie mówmy o polityce, — prosi solenizantka — kapitanie, może jeszcze herbatki?

— Zamknijcie to idiotyczne radio! — woła jedna z pań — piszczy ta muzyka i piszczy.

Radio milknie. Ulewę nocną słychać teraz wyraźniej. W milczeniu pijemy herbatę, jedząc imieninowe ciasto.

— Czy w tej Argentynie potrzebują kobiet do służby domowej? — zapytuje po chwili kapitan Maria.

— Jeszcześmy nic nie śpiewali naszej solenizantce — przypomina sobie choraży, po czym intonuje: „Sto lat, sto lat, niechaj żyje, żyje nam...”

— „Jeszcze dłużej, jeszcze dłużej...”

Za ścianą rozlega się wściekłe pukanie pięścią w dyktę. Sąsiedzi chcą spać. Już dwunasta. Urywamy w połowie melodii. Nastaje długie milczenie. Pada bez przerwy.

— No, no, no, ale się rozpadało, — mówi kapitan — a tu jutro rano do roboty.

Powoli wstajemy od stołu. Panowie kolejno podchodzą do pań. W głębokim ukłonie całują ręce i dziękują za miły wieczór.

Żegnamy się.

— Czy słyszeliście, panowie, o londyńskiej wróżce, Sikorzynie?

— zapytuje starszy pan z wieloma odznaczeniami, starannie za-

pinając gumowy płaszcz przed wyjściem — podobno sam Mickiewicz jej się pokazał na seansie.

— A wolno wiedzieć, co on powiedział, panie pułkowniku? — pyta chorąży.

— Powiedział, że to jego sławne mickiewiczowskie „44” — to, proszę was, czterdzieści cztery lata naszego pobytu na emigracji, licząc od roku 1944.

— Jakto od 1944? — rzuca się major — a dlaczego nie od 1939?

Imieniny skończone. Wychodzimy.

— Wszystkiego najlepszego w Kanadzie!

— Wiele szczęścia w Argentynie!

Przed barakiem ciągnie się wielka kałuża wody.

W świetle latarki, powoli, z kamienia na kamień, wydostajemy się na „Aleję Generała Sikorskiego”. Stąd już tylko kilka kroków do szosy.

Na „Placu Tobruckim”, oświetlonym słabą latarnią, w ciemnym deszczu, nadal wiszą dwie koszule.

— A to cała historia z tymi koszulami, — mówi chorąży — pewno pan czytał o tym wypadku, co to w gazetach pisało. Młody, przyjemny chłopak, a o takie głupstwo się zdenerwował, że aż wstyd. A tych koszul nikt ze sznura nie zdejmował, że po samobójcy, to niby nosić nie wypada. Tak i wiszą.

— Będzie trzeba kazać zdjąć, przypomnijcie mi, Kownacki — mówi major.

W świetle latarni blizna chorążego wygląda jak otwarta rana.

— A gdzie pan chorąży zdobył tę bliznę?

— W Egipcie. Kazali nam puszki z boczkiem nosić. ślizgnął się ja, proszę pana, na jakimś paskudztwie i omal oka nie wybił.

— Dobranoc, panie chorąży! Dobranoc, panie majorze!

— Może się rano przetrze — mówi major — dobranoc! Jeszcze jedno. Powiedz no pan — w Londynie zawsze lepiej wiedzą — będzie wojna?

Tadeusz NOWAKOWSKI

Czerwona linia

7

Na cemencie nie było wody, tylko warstwa przymarzłego błota. Pod ścianą stała paka odwrócona dnem do góry i strażnik powiedział łaskawie, że Maria może się położyć, że zezwolono jej spać tej nocy. Na pace leżała nie duża kromka chleba i stał kubek z wodą. Strażnik tak samo łaskawie polecił Marii, żeby zjadła swoją dzienną porcję.

Jedząc chleb, Maria czuła gorycz w ustach i napiw wodnistej śliny. Żeby zapobiec torsjom, położyła się na wznak. W miarę uspakajania się żołądka i jelit, łagodniały bóle krzyża i podbrzusza. Przestał też dolegać bezwład nóg. Zapatrzona w matowe szyby okienka, w których odbijała się świecąca nad drzwiami żarówka, Maria senniała, jak w hipnozie.

Nie przebudziła się od razu, choć od jakiegoś czasu czuła przez sen, że ktoś wszedł do karceru i usiadł obok niej na pace. Mimo zamkniętych oczu, jakby widziała cienistą postać. Nie słyszała jej głosu, zrozumiała jednak, że coś mówi. Broniąc się przed rozbudzeniem, Maria odpychała marę rękami. Chciała zapytać, a może naprawdę zapytała:

— Kto tu?

Odpowiedział jej wyraźny szept:

— Nie bójcie się. Mnie nie trzeba się bać.

Teraz dopiero odskoczyły powieki. Ujrawszy Zabłudowa, Maria nie zdziwiła się. Wiedziała przecież od początku, że to nikt inny, tylko on. Usiłując unieść się, była jednak jeszcze spleciona snem.

Zabłudow mówił ciągle wyraźnym, przenikliwym szeptem:

— Nie przyszedłem po was. Możecie leżeć.

— Spałam, chciałam długo spać — poskarżyła się, jak przed kimś bliskim i życzliwym.

Nie zaraz odpowiedział, zajęty zapalaniem papierosa. Zwiłgły tytoń nie chwycił ognia, więc popsawszy kilka zapałek i zniecierpliwiony tym, Zabłudow odezwał się opryskliwie:

— Będziecie mieli dość czasu na spanie. Teraz trzeba, że-

*) Dokończenie fragmentu powieści *Sprawa Józefa Mosta*. Patrz *Kultura* Nr 14.

byście się trochę zastanowili nad sobą. Nie pojmujecie najprostszych rzeczy. Gubicie siebie.

Nie pozwolił sobie przerwać: — Musicie wysłuchać, co powiem. Wasza sprawa jest ciężka, a ja przyszedłem dlatego, żeby was ostrzec. Zatajacie przed sędziami waszą inteligencję. Krylenko jest gbur i prostak, ale pułkownik Worobiew przejrzał was. Wbrew pozorom, nie Krylenko, tylko Worobiew jest twardy i surowy. On prowadzi śledztwo sprawy Józefa Mosta, w której wasza rola nie była poślednia.

W toku tej przemowy, wygłaszanej szeptem, lecz gniewnie, Maria podniosła się i usiadła. Przez chwilę zmiana pozycji spowodowała zawrót głowy i na razie tylko to zaniepokoiło Marię, że głos Zabłudowa huczy, jak alarmowa syrena. Maria ścisnęła skronie, co o tyle pomogło, że głos skupił się w słowa. Pojawszy ich treść, nie ludziła się, że potrafi się wymknąć czy też byle czym wykpić. Tak w istocie było, jak mówił Zabłudow, choć przyszedł tu, aby ją zastraszyć. Patrząc na Zabłudowa, szukała w jego twarzy bodaj najniklejszej cechy budzącej zaufanie. Jego szczupłe policzki, dąs ust, mruganie powiek składały się na wyraz zaperzenia. Maria doznała raz jeszcze zawrotu głowy, ale serce wzburzyło się ostrzeżeniem, — to nie jest przeciwnik, to jest wróg!

Zabłudow mówił dalej, już głośno, z uniesieniem:

— Nie wolno wam ani okłamywać nas, ani oszukiwać. Uwaga: nasze za naiwnych, za barbarzyńców, których byle europejski rozumek może wprowadzić w błąd. Jesteście zbyt pewni siebie, zbyt ufacie tym waszym formom, którymi zwodzicie siebie nawzajem. Ale i my mamy swoje własne formy, wam nieznane, niedostępne dla waszych pojęć. Jeżeli się już bawimy w odcyfrowanie siebie, to — my was znamy na wylot, podczas gdy wy nie potrudziliście się, żeby nas zrozumieć. Szacujecie nas podług zewnętrznych, śmieszących was braków. Wystarczy, że nie umiemy zręcznie obchodzić się widelcem i nożem. No — ja umiem i Worobiew także. Ale, doprawdy, jakie to ma znaczenie wobec tego, co wypracowała myśl rosyjska i co zrealizowała w stu procentach. Wyprzedziliśmy inne narody. Idziemy w awangardzie!

W wykrzyknicach Zabłudowa brzmiały zapał i pycha. Znała dobrze ten ton pewności siebie, to przypisywanie swoim przekonaniom czy też programom wyłącznego prawa rozstrzygnięcia o sprawach ludzkości i świata. Zawsze tak było, że prowokacyjna zarozumiałość ideowców i partyjników zniechęcała ją do dyskusji. Dlatego zapewne nie umiała nigdy sformułować „własnego zdania” i po kolei nasiąkała liberalizmem ojca, nacjonalizmem Adama, socjalizmem Józefa. W końcu uwierzyła, że z pewną modyfikacją można wszystkie teorie dostosować do swoich każdorazowych warunków życia. Jeżeli Józef zarzucał jej oportunistę, nie mylił się tak zupełnie. Bo i teraz — czyż nie skłaniała się już do tego, żeby zastosować wywody Zabłudowa do sytuacji, w której się znalazła? Jest przecież w więzieniu

sowieckim, oskarżona o przestępstwa popełnione przeciw sowieckiej racji!

Dotarłszy do zrozumienia tych oczywistych i najprostszych prawd, Maria zdziwiła się sobie. Dlaczego więc właśnie tutaj zacięła się w uporze i nie postępuje według swojego zwyczaju? Tutaj chce mieć „swoje zdanie”, swoją „wolę” nawet.

Zabłudow czekał widocznie na odezwanie się Marii. Zaciągał się często papierosem i jego zamilkły ryjek to otwierał się to zamykał. Nad bladym ogieńkiem zwiślał śpiczasty nos niemal smutno. Opuściły się też brązowe cienie powiek. Wydawał się Marii zbiedzony czy też zbyt utrudzony. Przecież i on zamiast spać, tracił noc. Wypełniając zlecenie owego Worobiewa, siedział w smrodliwej celi i pragnął pewnie zasnąć na uznanie przełożonego. Maria i to dostrzegła, że ręce Zabłudowa były sine od zimna. Powiedziała więc lekko i bez zastanowienia:

— Zmarznie pan tutaj.

Błysnął wzrokiem, na moment zaskoczony. Po czym burknął:

— To nieważne. Ja zaraz odejdę i w tym zimnie wy zostaniecie, jeżeli będziecie trwać w uporze. Nie słuchaliście tego, co do was mówiłem. To źle.

Maria poczuła tak głęboką niechęć do tego człowieka, że zapragnęła, aby jak najprędzej odszedł. Chcąc go zrazić, mówiła bagatelizująco:

— Nic mnie to nie obchodzi, nic mnie to wszystko razem nie interesuje. Wasze idee, wasze osiągnięcia! Nie jestem inteligentna i nie znam się na tych ważnych sprawach. Po co mnie więzicie? W czym jestem dla was niebezpieczna?

Zabłudow zdawał się nie dostrzegać megalomanii w takim pomniejszaniu się, choć Maria urwała zbyt nagle. Wolał widocznie wyjaśnić swój, czy też sowiecki punkt widzenia:

— Nie pomijamy i nie lekceważymy nikogo. Niebezpieczeństwo tylko wtedy jest groźne, gdy nie jest uchwytne. Jeżeli się zatajacie — prosty z tego wniosek, że macie coś do zatajania.

Powiedział to wyzywająco i Maria, mocując się ze wzburzeniem, napłętnowała jego przewrotną logikę:

— Chcicie mnie zatem nakłonić do mówienia bodaj nieprawdy, to znaczy, że wy sami chcecie, żeby was oszukiwano. Tyle już zrozumiałam z waszego postępowania ze mną. Tyle już i ja przejrzałam. Dlatego mnie maltretujecie. Dlatego i pan tu przyszedł, aby mnie pozbawić tej odrobiny snu. Znęcaliście się nade mną przez wiele godzin i teraz nie dajecie mi się wyspać. Jestem chora, ale tylko fizycznie. Myślę jasno, ciągle jeszcze myślę tak, jak wolny człowiek. To was doprowadza do pasji. Zależy wam na tym, żebym i psychicznie się załamała. Nie wiem, może wam się to uda. Cóż mogę wiedzieć o swojej wytrzymałości? Ale niech pan powie moim sędziom, że nie przyjdzie im to łatwo.

Zabłudow wstał i zaczął się przechadzać po celi. Nie było tu wiele miejsca, więc spacerował truchcikiem. Błoto, tylko po

wierzchu zamazłe, cmokało pod podeszwami. Wprędce też okleiło buty, że stały się podobne do kopyt perszerona. Chód, coraz bardziej ciężały, nie przeszkadzał jednak lotnym i niemal ochoczym słowom.

— Wolny człowiek! Nie, nie jesteście wolnym człowiekiem. Nigdy nim nie byliście. Obciąża was tradycja i te jakieś imponowalności, które zmuszają was do naśladowania dawnych wzorów. Nawet tutaj, gdzie nikt tego nie widzi i nigdy nic z tego, co się tu z wami stanie, nie wyjdzie na jaw, postępujecie pod przykryciem. To nie my, ale wy sami maltretujecie siebie, nie wierząc w celowość tej męki.

Przystanął przed Marią, szukając jej spojrzenia: czy słucha? czy pojmuje? — Kiwnęła głową, choć od dobrej chwili zagubiła wątek jego wywodów. Nasłuchiwała z trwogą tego, co działo się w jej ciele. Jelita burczały, kurcząc i rozdmывая się od bólów. Po wzmożonych dreszczach poznała, że świta. Przytakując głową na znak, że słucha, powiedziała bez związku:

— Niech pan każe zwrócić mi płaszcz. Przecież to nieludzkie, co ze mną wyprawiacie.

Zabłudow podjął na nowo spacer. I on marzył. Zacierał ręce, pocierał uszy, żywiej poruszał ramionami. Pominąwszy sprawę płaszcza milczeniem, kontynuował:

— Nie macie żadnej idei, dla której warto cierpieć. Należycie do świata, który żyje wytartymi liczmanami etyki i religii. Ten świat nie jest, nie może już być twórczy i dlatego nie powinien istnieć. Być może — stary świat zdaje sobie sprawę z tego, że umiera, ale ludzi się, że umieranie będzie trwało długo, przez wieki i że zdoła jeszcze spożyć to, co nagromadził. Ale nie tak będzie. Stary świat umrze, jak rozpustnik — w rozkładzie, w zgniliznie, pozbawiony smaku, z oziębiającymi zmysłami i ze zgłupiałym mózgiem. Chociaż...

Zabłudow przystanął, tym razem nieopodal parasy. Robił wrażenie, że potknąwszy się o myśl, która nagle mu rozbliżyła, zaważał się, czy nie zanadto zбочzył z tematu. Teraz Maria oczekiwiała z zaciekawieniem. Wypowiedział wreszcie:

— Chociaż... Teraz jest wojna. Na wojnie można pięknie zginąć. I tylko tę szansę ma stary świat.

Odsapnął, zapalił papierosa z takim samym trudem, jak poprzedniego. Maria w szybkim doborze przetasowała swoje racje. Mogła wprawdzie bez wysiłku posłużyć się aktualnymi argumentami, ale obrzydziła sobie banał o sojuszu Sowietów z Niemcami, których przecież należało także zaliczyć do „starego świata”. Nagrzewając podbrzusze rękami, biedziła się nad sformułowaniem swojej goryczy: — Co z tego, że wiem? Co z tego, że rozumiem inaczej i prawdziwiej? Nie powiem nic. Niech sobie triumfuje nade mną i niech uśmierca stary świat.

Zabłudow wyzywał ją jednak wzrokiem, ciągle stojąc koło parasy. Zniecierpliwiony, nalegał:

— Jakże więc będzie z tymi imponowalnościami?

— Jeszcze nie wiem — poweidziła cierpko — jeszcze tego nie rozważyłam należycie. — I niespodzianie, jakby to było najważniejsze dla niej, stwierdziła: — Pan mówi pięknie po polsku. Czy pan Polak?

Zaprzeciżył skwapliwie. Skądże! Jest Rosjaninem, włada zresztą jeszcze kilku językami. To jego specjalizacja. Jest tłumaczem. — Maria zauważyła z drwiącą uprzejmością, że chyba jest nie tylko tłumaczem, skoro powierzają mu jeszcze inne zadania. Doprawdy — jest chyba najwyższym sędzią! Wydał przecież wyrok śmierci na „stary świat”.

— Ah — zaniósł się śmiechem — ah, wkroczyłem w atrybucje innego najwyższego sędziego! W atrybucje Boskie. I to się wam tak nie podoba — ah?

Maria nie zaprzeczyła, mimo, że nie tak myślała. Toteż Zabłudow nie posiadał się z radości:

— Socjalistka! Taka też i socjalistka! Nie czytaliście Marksa, ale za to wierzyacie w katechizm. Ostatnią dla was instancją jest Bóg, ponieważ niczego nie potraficie domyśleć do końca. Czy trzeba wam jeszcze inaczej dowiedzieć, że nie jesteście wolnym człowiekiem? Że wasz jasny mózg jest oczadzony, ciemny?

Powiedziawszy to, przestał się naigrawać. Mówił teraz stanowczo i srogo:

— Nie istnieje nic takiego, co by rozsądzało ludzkie sprawy stamtąd — z wysoka. — Wskazał ręką na sufit. Maria poszła wzrokiem za ruchem Zabłudowa i dopiero teraz dostrzegła piwniczne sklepienie ledwo pochłapane tynkiem i zdobnie roziskrzony szronem. Może i Zabłudow to zobaczył, bo ramię jego natychmiast opadło. Zwinął rękę w pięść, aby nie zabrakło i tego komunahu:

— Rozstrzyga siła tutejsza, ziemska. My!

Maria pomyślała z rezygnacją: — Muszę to jakoś znieść. O, właśnie — muszę się zataić, aby nie widział, jakiego doznaję wstrętu. Jak mnie mierzi jego wygłupianie się. — Oświadczyła więc z przesadną uprzejmością:

— Wierzę, że tak jest, jak pan mówi.

Zabłudow pokręcił głową: — Nie mam zamiaru przekonać was do komunizmu. U nas nie ma takiego zapotrzebowania na prozelitów, jak w PPS, do którego przyjęto was za protekcją Mosta. Przecież wy nie jesteście socjalistką tylko inteligentką o chaotycznych pojęciach. Raz w prawo, raz w lewo — jak wygodniej. Po rozejściu się z mężem było wygodniej z Mostem.

Patrzył na Marię z drwiącym uznaniem:

— Nie jesteście ani piękna ani młoda, ale Most nie był głupcem. Zresztą to miały człowiek. Nie dorównuje wam charakterem.

Pomieszana i rozdrażniona, zbyt pochopnie wyparła się Mosta. Brzmiało to niemal po prostaku:

— Doczeplacie mnie do Mosta, czy też Mosta do mnie?

Zabłudow przypatrywał się Marii jakby ze współczuciem.

— Most nie jest dość mocny — zaczął głosem aż znikłym z

tliwości. — Most tego nie znieś. Teraz choruje. Jeżeli mu nie pomożecie, nie przetrzyma śledztwa. Powiemy mu, że Maria się przyznała. Musicie go ratować. Okażcie mu serce.

Odwoływał się do serca Marii, które biło teraz mocno i zwycięsko. Nic, nic nie wiedzą! Most nie przyznał się do niczego! — Ale nagle serce zastukało inaczej, nierówno, w spłoszeniu: — Katusią go! Zakatusią jego — mnie — tych innych.

Wyrzekła to bezdźwięczne słowo: — Kaci — nie patrząc na Zabłudowa. Serce zamierało, czaszka wydawała się lodową zapką. Zabłudow położył rękę na plecach Marii i poklepując mitygująco, przemawiał, jak do dziecka:

— I po co takie słowo, takie przezwisko? Nie ładnie tak. Nie słusznie. To wy bierzecie Mosta na swoje sumienie. Z tym do was przyszedłem, żeby was powiadomić o jego stanie zdrowia i przekonać, że tylko wy możecie go ratować. Nie udało się. Szkoda, że się nie udało.

Zapukał do drzwi. Kiedy mu je z zewnątrz otworzono, powiedział grzecznie:

— Do swidanja! Jak się namyślicie, powiedzcie temu, który ma dyżur na korytarzu, że chcecie ze mną porozmawiać.

Nad drzwiami zgasła żarówka i Maria westchnęła, pożałowaawszy nocy. Teraz nie pozwoli jej spać. Zmrok dnia ogarnął ją wzmożonym zimnem.

8

Po odejściu Zabłudowa, Maria uległa depresji:

— Już mi wszystko jedno. Jestem wykończona — zdecydowała, kładąc się znowu na wznak. Przez jakiś czas jakby przestała istnieć, gdy niezależnie od woli, wyskoczyła na wierzch myśli:

— Mają tękę Józefa!

Nurtowało to w niej od momentu aresztowania. Do tej pory chytrze wymykała się tej pewności, ale z chwilą, gdy to wyraziła, uświadomiła sobie niedwzornalność katastrofy.

Kiedy ostatniego wieczoru była u Józefa, szukał w przegródkach teki jakiejś notatki. Ręce, jak zawsze, latały mu nerwowo. Znalazłszy, zagwizdał z uciechy. Potem włożył tękę pod materac, jak gdyby tam była bezpieczniejsza niż pod poduszką. Tej nocy aresztowano Józefa.

Teka była pakowna, dwudzielna, zamykana u dołu paskiem z okuciem, które było jednocześnie zatraskiem. Peczniejac, upodobniała się coraz bardziej do barylkwatej walizki. Józef nazywał ją „moje tajne archiwum”. Nie wolno było dotknąć się jej i Maria, urażona brakiem zaufania, nieraz podrywała z tej „tajności” i z tych „aktów”. Doradzała jednak znalezienie odpowiedniego schowka. Było takie miejsce w klatce schodowej. Należało zerwać jedną albo dwie deski oszalowania i nieco wydrążyć mur. Dostęp był łatwy i bez trudu można było

zamaskować usuwalność desek. Józef sprzeciwił się temu, twierdząc, że tękę musi mieć zawsze pod ręką. Nie sposób przecież nauczyć się wszystkiego na pamięć, zwłaszcza nie podejmuje się zapamiętania cyfr. Jakże potrafi wyrachować się z sum, otrzymywanych nie z jednego tylko źródła? Przy tym — często powracał do tej smutnej sprawy — pieniądze nie zawsze trafiają do jego rąk. Ktoś je zabiera po drodze, ktoś inaczej nimi dysponuje. Musi chyba mieć jakieś dowody, aby nikt nigdy nie podniósł przeciw niemu zarzutów. Wylczy się kiedyś co do grosza! Gdy mu tłumaczyła, że nikt nie może mieć pretensji do księgowania konspiracyjnych wpływów i rozchodów, wpadł niemal w szal. — Nie uznaję szacherek! Nie nauczyłem się, jak ty, buchalteryjnej „etyki”, stosowanej przeciw urzędowi podatkowemu. Dla ciebie wystarczy czyściutko wyrysowana czerwona linia pod kolumną cyfr, dla mnie to za mało i — za dużo!

Skoro tak się unosił, Maria wycofała swój pomysł i zaogodziła spór uległością. — Posłuszeństwem — jak to określał Józef. Wymagał bowiem od współpracowników posłuchu. Coraz bardziej skłonny do wybuchów, wykrzykiwał: — Za niewykonanie mojego rozkazu, zastrzelę bez zmużenia oczu! — Jakże to drażniało Marię, jak zniechęcało i do roboty i do Józefa. Ale tylko w duchu wydrwiwała te komendanckie przechwałki: — Jaki srogi, jaki bezwzględny! Wypadby mu rewolwer z dygocących rąk i trafiłby kulą w płuć. — Pobłażała mu na końcu, widząc, że ugina się pod troskami i że kluczy przed niebezpieczeństwem.

Teraz jednak, gdy już stało się to najgorsze, nie była wyrozumiała dla Józefa. Dlaczego podjął się pracy przerastającej jego zdolności? Dlaczego powierzono mu zbyt trudne dla niego zadanie? A wreszcie — dlaczego siebie powierzyła Józefowi? Zgodziwszy się na współpracę bez zbytniego przekonania, powinna była potem narzucić się Józefowi swoją radą. Zofia byłaby to zrobiła na pewno. Tak — Zofia nadawała się do takich spraw. Zofii nie ważyłby się powiedzieć: — To do ciebie nie należy. — Przecież modlił się do nieobecnej Zofii, uwielbiał jej siłę i zaradność. I co tu ukrywać? Tęsknił za Zofią, rozpaczał, że została w bombardowanej Warszawie. Kiedy wreszcie dostał wiadomość, że nic złego nie spotkało Zofii i że mieszkanie na Wspólnej nienaruszone, aż wypiękniał ze szczęścia.

Nikłość niezuciowych spraw Józefa i Zofii urastała teraz do zawistnych wniosków — że oto ta wspaniała, niezrównana Zofia śpi we własnym łóżku, krząta się, gospodarzy, garnki przesuwa na blasze i — jakżeby inaczej? — „pracuje społecznie”. Lata więc do zebraniach, przemawia porywczo i wielosłownie kipi ustalonymi frazesami. Może nawet nie wie, że „jej” Józef w więzieniu, albo wiedząc, przechwala się, że mąż cierpi za sprawę. Maria niemal słyszała konspiracyjny szept Zofii: Józef, Józef, Józef...

Kogo wzywa teraz Józef — jej czy Zofii? Chyba już pojął,

że nic tu nie znaczy Zofia, że tutaj właśnie Maria... Nie była jednak pewna, czy zaprzeczając na śledztwie, pomaga Józefowi. Może wolałby żeby wzięła to na siebie i przyznając się, ułatwiła tym samym i jemu. A może tak było, jak twierdzili Worobiew i Zabłudow, że Józef jest miałki? Był wątlwy, bywał zastraszony. Wezbrała w niej litość dla tego człowieka, który tak czule i nieśmiało jej pragnął. Ogarnęło ją uczucie podobne temu, jakiego zaznaje się w rekonwalescencji. Powraca wtedy jakby sympatia do osób, ledwie cierpianych podczas choroby. Znowu więc lubiła Józefa, ale wcale nie tak, żeby się o niego troszczyć i martwić się nim.

— Nie mogę ci przecież w niczym pomóc — przemawiała serdecznie. — Nie chciałeś mnie posłuchać i mają tękę. Mają to twoje „tajne archiwum”. I źle, bardzo źle z nami. Ale nie martw się, Józku, nie rozpaczaj. Oboje już teraz wiemy, że można znieść cierpienie — majaczyła — że można, cierpiąc, zasnąć...

Po krótkiej drzemce, przebudziła się od razu trzeźwa i świadoma wszystkiego, co się z nią działo. Wydarzenia były jakby posegregowane i ułożone w chronologicznym porządku. W ładzie tym nie doszukała się jednak Maria przydatności. Przeciwnie — doszła teraz do przekonania, że nic już nie mogło jej wyratować. „Wybawić” — jak to określała patetycznie. W jej słownictwie płątały się bowiem wyrazy z innych kategorii przeżyć, albo nawet z innej epoki odczuwania. Przyjęła te napuszone słowa od matki, od Adama, lecz najpewniej z lektury szkolnej. Ale właśnie dlatego czuła się jeszcze bardziej bezradna. Z tragizmu — myślała — nie ma już wybawienia. Tylko w awanturnych przygodach bywa happy end. To zaś, co jej się przytrafiło, nie jest awanturą. Jest katastrofą. Zwłaszcza, że straciła zaufanie do swojej wytrzymałości fizycznej, na którą przecież liczyła. Była już osłabiona, choć „katorga” trwała zaledwie kilka dni. Tak — i ten wyraz wydał się Marii najodpowiedniejszy: „katorga”. Patrząc na swoje czerwono-sine ręce, na wiśniowe odmrożenia i zacieki na udach, utwierdzała się w nieodporności swojego ciała. Zamarźnie, rozchoruje się, umrze...

Strach przed śmiercią nie oznaczał jednak ani zrozumienia ani wyobrażenia tej ostateczności. Na razie przecież nie utraciła zdolności odczuwania, myślenia, patrzenia i słyszenia. Zmysły były może jeszcze bardziej wyostrzone i czujne. Słyszała na przykład — szumienie ciszy. Nie wydawało się jednostajne i niemelodyjne. Czasem było pasażem, czasem gamą, czasem zharmonizowanym motywem muzycznym. Mogła się dostroić do tych dźwięków i dołączyć się do nich. Ale własny głos uprzytamniał dopiero, że cisza ma smutne brzmienie.

Natomiast wzrokiem osiągała Maria nieoczekiwane wrażenia. Obserwując szron na ścianach, nie tylko cieszyła się jego skrzeczeniem i migotaniem. Wprawiało ją w zachwyt przede wszystkim to, że z wody, z zimna i światła powstało coś, co mogła uważać tutaj za swoją wyłączną własność.

— Tego mi nie zabronią! myślała wyzywająco.

Leżąc na pace, miała nad sobą sklepienie, na którym tynk rzeźbił się dowolnie i niedorzecznie. Maria postanowiła poprowadzić sobie te przypadkowe bryły i linie. Doszukując się w nich zawiązków jakichś form, rozwijała je w układ albo przyjemny, albo drażniący. Mrużąc oczy, zdobywała nowe kształty, spowodowane inną kombinacją cieni i światła. Zmiany zależne były od szerszej lub węższej szpary w powiekach. Nie zadowolilo to Marii. Pragnęła innych niż mechanicznych osiągnięć. Igraszki te znała zresztą z dzieciństwa, kiedy polem ćwiczeń wzrokowych był również sufit — jego pęknięcia, plamy po opadłym tynku lub zacieki. W dzieciństwie „wyczarowywała” wyobrażenia, które, gdy źrenice zbiegały się w zezą, obrzymiały i potworniały, budząc spazm grozy. Teraz jednak wyobrażenia powinny być zamierzone i nie przemijać za byle mrugnięciem powieki.

Wmawiając sobie niemal twórcze uzdolnienia, Maria w istocie na jakiś czas wyzbywała się wszystkich trosk. Dopiero znużenie nawracało ją do niebezpiecznej rzeczywistości. Sklepienie pozostawało jednak sceną, na której ustawiała akcesoria, odpowiadające toczącej się akcji. Oto biurko, tajemnicza szafa, taboret. Jeżeli się bardzo uprzeć, można wyrzeźbić grubą twarz Kryłenki. Ten sam układ warg i kose spojrzenie w napuchłych powiekach. A teraz z wydłużonej warstwy tynku wymodeluje się twarz Worobiewa i wyjdzie na jaw podstępność jego układnych gestów i min. Zabłudowa nie warto szukać na sklepieniu. Już go umie na pamięć. Już się go nawet nie boi.

Szła więc na przesłuchanie, jakby przygotowana. Doprawdy — Krylenko był taki sam, jak na sklepieniu. Ale tego nie przewidziała, że będzie znowu jadł. Duży befszytek, dużo kartofli, kiszony ogórek, dwie szklanki piwa, chleb posypany kminkiem, graniasty kawał czekoladowego tortu i herbata. Maria patrzyła na potrawy, słuchała odgłosów żucia, mlaskania, łykania. Pusty żołądek kurczył się i rozwierał. Na języku gromadziły się kwaśne i gorzkie ciecze, które przysychając, osadzały się żwirowatą skorupą. Zapach potraw przylgnął do podniebienia warstwą smaku. Wreszcie gdy zabrakło nadmiernie używanej śliny, przełyk zatarasowało powietrze zbite w kulę.

Zapaliwszy papierosa, Krylenko spod oka patrzył na Marię, nie dając jej ani słowem. Kiedy wstał, jego szerokie, tłuste plecy zdawały się drzeć od tłumionego śmiechu. Gdy jednak znowu odwrócił się frontem, twarz jego miała chmurny i nieprzychylny wyraz. Szukając czegoś w szufladzie biurka, irytował się. Widocznie nie znalazł tej potrzebnej rzeczy, bo skierował się do szafy. Była zamknięta na kłódkę, w której tkwił klucz. Maria dostrzegła, że jest to kłódka systemu „Yale”, ale nie zaniepokoiła się o skrzynkę, wiedząc, że znajduje się w bezpiecznym miejscu pod niezawodną opieką Władka.

— Nie mają jej — zakrzyknęła w duchu — nie mają i nie znajdą!

Godziła triumfalnym spojrzeniem w plecy Krytenki, stojącego teraz przed szeroko otwartą szafą. Maria widziała więc bez przeszkody papierowe teczki z aktami na półkach i kilka albo kilkanaście skórzanych tek, leżących jedna na drugiej, jak deski w tartaku. Maria czekała na cios aż nazbyt długo. Zatrzymany oddech jak nożem kaleczył gardło. Między nią a szafą zaroilo się powietrze od czarnych, ruchliwych plam. Ledwie mogła przez nie dojrzeć to, co Krytenko trzymał w ręce. Kiedy położył na biurku tekturową obwolutę, strach opadł na samo dno serca Marii.

Krytenko płasnął dłonią po aktach, najwidoczniej ucieszony, że są, że je znalazł. Spojrzawszy pobieżnie na Marię, jakby się zdziwił, że ją widzi. Zapytał nawet: — A wy tu po co? — i opędził się ręką z obrzydzeniem. Idąc ku drzwiom, kazał jej postępować naprzód. Konwojentowi powiedział gniewnie, że przecież nie wzywał „zakluczonoj”, że to jakaś pomyłka. Wzywał Józefa Mosta — wykrzyczał wyraźnie imię i nazwisko.

W korytarzu twarzą ku ścianie stał człowiek. Maria poznała brązową marynarkę przetkaną niebieską niteczką kraty. Nie krzyknęła, tylko bezsłownie zajęczała. Człowiek nie drgnął. Nie mógł przecież wiedzieć, że to Maria. Nigdy nie słyszał jej jęczenia. To tylko Maria go poznała, choć, w tył założone ręce, były czarne. Tak samo czarny był kark.

Wchodząc do karceru, jeszcze pojękiwała. Zadyszana, jak po szybkim biegu, i tu jeszcze uciekała przed pewnością, że to był Józef. Obłudnie przekonywała się, że to chyba nie on, taki czarny, jak murzyn. Na sklepieniu zciemniałym od zmięzchu, tynk wyobrażał jedną, dwie, całą masę murzyńskich twarzy. Maria nie próbowała prostować swoich zwidzeń. Poznała błogosławieństwo fikcji.

9

Zdrętwienie i bezwład, trwające przez niewiadomy okres czasu, przerwał krztuszący kaszel. Zanim Maria uczuła go w płucach, usłyszała go jako nienawykły hałas w ciszy karceru. Stwierdziwszy pobieżnie, że się przeziębiła, postawiła diagnozę:

— Mam zapalenie płuc.

Z krótkich drzemek budziło ją klucie pod lewą albo prawą łopatką. Z jeszcze większą pewnością ustaliła:

— Mam obustronne zapalenie płuc.

Wyprowadzona do ubornej, wlokła się, nie odrywając stóp od ziemi. Jelita, wypełniając brzuch skamieniałym bólem, nie funkcjonowały. Wielkie skrzepy menstruacyjnej krwi rozsadały pochwę, jak podczas porodu. Były to jednak uboczne dolegliwości, bo Maria upierała się przy zapaleniu płuc. Wynikała z tego wątpliwa pociecha, że nie będą jej wzywać na śledztwo i zostawią w spokoju. A gdyby nawet wzywali, odwróci się do ściany i nie usłucha. Jeżeli chcą, mogą się przyglądać jej umieraniu.

Planując bierny upór, zamarzyła o łatwym zwycięstwie. Na

pewno rozżłości ich jej nieprzydatność i przysła Zabłudowa, żeby ją dręczył i kusił. Ale Maria nie bała się już tego kukielkowego, jarmarcznego diabła. Taki właśnie jest — nie szczur, tylko śmieszny czart! Odmrożone, odstające uszy, błyszczące oczy, ostry, długi nos, za długie ramiona, chude nogi. Budząc wstręt, nie przeraża. Toteż nie warto z nim walczyć. Diabeł jest zresztą odporny na ludzkie słowa, bo umie czytać w myślach. Diabła można przepędzić tylko zaklęciami i znakiem krzyża.

Nieporęcznie nakreśliła ten znak na widok wchodzącego Zabłudowa. Przeszły ją ciarki: czyżby zjawił się na jej wezwanie? Zapytał uprzejmie, jak się Maria czuje i czy tym razem wyspana. Brzmiało to tak po ludzku, że Maria, wbrew postanowieniu, nie zastosowała biernego oporu. Przeciwnie, doznała ochoty mówienia i gadatliwie zdawała sprawę z ostatniego przesuchania, podczas którego Krytenko dał pokaz łapetytu. Opowiedziała też o swoich „zajęciach” w karcercie — o lśniących ścianach, o tynku na sklepieniu. Na dobrą sprawę — cęła jest tak samo godna zwiedzania, jak sławne grotty, jak muzea.

Zdumienie Zabłudowa zachęcało Marię do dalszych popisów elokwencji. Z poprzednią refleksją wiązał się doskonale temat o podróżowaniu. Jeździła, oczywiście dla przyjemności, dla poznawania obcych krajów. Korzystała właśnie z tego, co „stary świat” nagromadził. Można by powiedzieć, że zrobiła to w samą porę, niemal w ostatnim momencie przed nadchodzącą zagładą. Brawurując, opowiadała o wspaniałych hotelach, sukniach, biżuteriach, futrach. Zabawy, wyścigi, domy gry, bodajże same ferie wyczarowywała przed słuchaczem, aby jeszcze bardziej się dziwił, aby zazdrościł i potępił. Chwaliła się, że ojciec lubił wygodnie podróżować i nie żałował na to pieniędzy. Znał się zresztą na sztuce, kochał przyrodę.

Zabłudow jednak zdawał się chłonać te wyznania. Gdy Maria na moment ustawała, zachęcał ją, ciekawy „jej” świata. Jakby już nie pamiętał, że potępił go i wydał skazujący wyrok. Ale Maria straciła werwę. Dla siebie wspomniła bowiem ojca, jak stał z przewodnikiem w rękę, mozoląc się nad rozpoznaniem jakiegoś obrazu w jakiejś galerii. Ojciec dukał, przekładając z obcego, nie dobrze opanowanego języka — o znaczeniu malarza, wartości dzieła, szczegółach godnych zauważenia. Matka ustawiła się w przepisowym oddaleniu i badała obraz przez lorgnon. Niekiedy spierała się „dla zasady”, że to wcale nie Veronese tylko Tycjan, że to nie ta tylko inna szkoła malarska. Nie przerywając sporu, szli potem do pobliskiej garkuchni, gdzie jedli rybę smażoną na oliwie, przejrzałe figi na deser i dopychali niezaspokojony głód białym, smacznym chlebem podawanym à discretion. Maria podglądała sąsiadów, którzy zazwyczaj jedli obficie i według ustalonego porządku: przystawka, mięso, kartofle, sałata, ser, owoce. A do tego karafka wina albo szklanka piwa. Matka, czyniąc to samo, karcila jednak Marię: „Nie gap się!” Ojciec, aż purpurowy ze wstydu, syczał na Marię i na

matkę: — „Nie jedzcie tyle chleba! Już na nas patrzą!”

Wizja białego chleba o chrupiącej skórce zupełnie odebrała Marii ochotę do opowiadania. Zabrakło jej fantazji i już nie odbiegając od prawdy, wyznała skromnie, że z mężem nie wyjeżdżała zagranicę. Wakacje spędzali nad polskim morzem, albo gdziekolwiek na wsi.

— No tak — wasz mąż! — Zabłudow nie taił swojej dezaprobaty.

Z dotychczasowego przebiegu śledztwa wynikało jednak jasno, że mąż nie wchodził w rachubę. Groźba Zabłudowa na wstępnym przesłuchaniu: „To się pokaże!” — dawno już poszła w niepamięć i Maria mówiła swobodnie:

— Mój mąż nie był ciekawy obcych krajów. Lubił zwłaszcza taką wieś, gdzie były polowania.

Zabłudow nasroził się:

— Wasz mąż przesładował komunistów! Wiemy o nim dużo i dokładnie. Na jego rozkaz bito komunistów w aresztach śledczych. Bito, torturowano. Pan wicewojewoda Łuziński i jego sfera szpiegów, jego doborowa policja!

Spojrzał na Marię tak wnikliwie, że jego blisko osadzone oczy ledwie dzieliła linijka nasady nosa.

— Nosicie to samo nazwisko: „pani” Łuzińska!

Pulsy zastukały mocno w skroniach i w końcach palców. Splotła palce, zacisnęła je, jak gdyby pragnąc w napierających na siebie dłoniach zgnieść to zło, które sama wywołała. W głosie brzmiała zastraszenie:

— Rozwiodłam się z mężem. Dwa lata temu rozwiodłam się z nim. Nie mogę przecież być odpowiedzialna za mojego męża. O niczym zresztą nie wiedziałam.

— Żona jest współwinna — zawyrokował Zabłudow. — Czy staraliście się odwieść męża od jego postępowania? Nie! Bo była w was zgoda na to, co robił. Zgoda na jego przekonania i zbrodnie. Dostawał za to dobrą pensję, żeby starczyła na wasze zbytki, stroje, polowania, przyjęcia, pijatyki, karty!

Broniąc się niezręcznie, wybąkneła:

— Nie grał w karty, nie pił...

Zabłudow uśmiechał się niedowierzająco: — Nie grał, nie pił. Niechby i grał i pił i brzuchem leżał do góry! Ale on ludzi, nasyżonych ludzi mordował! Gnili w waszych więzieniach! Bo ta cela, ten karcer — to przecież wasze więzienie! Wasz Zamarsztynów! Tu jesteście — na swoim, na własnym.

Oddychał szybko i gniewnie. Maria wtórowała mu, ale jej oddechy dźwigały prawdę tych oskarżeń. Nic nie mogła przeciwstawić, niczemu zaprzeczyć. Były te więzienia! Były te krzywdy! Ktokolwiek je spełniał, na nią spadło, żeby świecić za niego oczami. Za Adama przede wszystkim. A może tylko za siebie, za te niedokończone dyskusje, których zaniechała „dla świętego małżeńskiego spokoju”? Siebie jednak musi bronić, siebie oczyścić, choćby dlatego, że jest tutaj, w tym polskim więzieniu. Ze ta odpiata jej dosięgła, nie Adama!

Mówiąc, jak gdyby odwalając ciężki, tłoczący ją kamień:

— Nie miałam wpływu na męża. To on sprawował urząd — nie ja. Zresztą — rozeszliśmy się. Nie było między nami zgody. Od dawna nic mnie z nim nie łączyło.

Wstyd zalewał ją, gdy tak się tu tłumaczyła, wyjawiając tajemnice, zatajane nawet przed przyjaciółmi. Zabłudow był jednak nieprzystępny dla tych alkwianych subtelności:

— Mielście z nim dziecko. Co zrobiliście z waszym synkiem? Sztywniejąc z przerażenia, ledwie z siebie wytchnęła:

— Nie wiem...

Zabłudow przedrzeźniał zjadliwie:

— Nie wiem, nie wiem... Zgubiliście wasze dziecko? Jak szpilkę, jak pierścionek z brylantem?

Już nie panując nad sobą, Maria zakrzyczała:

— Zabiłam! Zabiłam, żeby nie ponosiło odpowiedzialności za ojca, za mnie, za wszystko, co by wam przyszło na myśl!

Poblady z gniewu, Zabłudow rzucił ogarek papierosa. Wargi mu posiniały, głos chrypiał:

— Nie ma już innego sposobu na was, tylko — zmusić.

Maria dosłyszała: „zdusić” i, nieoczekiwanie, wybuch Zabłudowa sprawił jej satysfakcję. Nareszcie wyprowadziła go z równowagi! Wścieka się! Rozgrzana, jak po bójce, czuła płomień na policzkach.

Długo potem rozważała ten incydent. Nie, Zabłudow jej nie zastraszył. Wydawało się jej zabawne, że ją chce „zdusić”. Może nawet powiedział: „zadusić” — chichotała, dotykając szyi.

Szyja i kark były gorące, płomień na policzkach nie zgasł. Maria pojęła, że ma gorączkę. Miało to swoją dobrą stronę, bo zimno nie dokuczało i nawet dreszcze iskierkami osmałały skórę. Wczuwając się w te objawy, niespostrzeżenie przeszła w stan majaczenia. Przyjemnie było bając o zielonych drzewach, o bukietach kwiatów, o pięknie oświetlonych salach, przez które przesuwała się w tańcu. Muzyka grała z daleka i Maria nuciła tango: „A mnie jest szkoda lata...” — Ktoś czule ją obejmował, więc załkała z ulgą. Wiedziała, że to Adam, ale nie chciała mu tego powiedzieć, że tylko jego kochała. Zaszepotała tajemniczo: — Jestem za ciebie odpowiedzialna, ale ja nigdy nie zdradzę Józefa. On mnie potrzebuje. Teraz, kiedy Ewa umiera, zostaniesz sam. — Cieszyła się śmiercią Ewy, cieszyli się oboje — ona i Adam — że Ewy już nie ma. — Co zrobimy ze Zdzisiem? — pytał Adam tak samo szeptem. Maria śmiała się: — Mów głośno. Ja nikogo się nie boję. — Adam posłusznie powtórzył pytanie pełnym głosem: — Co zrobimy ze Zdzisiem? — Wybuchiła śmiechem tak wesołym, że aż rozpustnym: — Zdzisia także nie będziesz miał. Nigdy go nie zobaczysz, bo schowam go w zielonej altanie. Jak wyrośnie duży, przebije głową dach. Będzie palmą w oranżerii.

Wesoło i beztrósko układały się sprawy Marii, więc zachciało się jej ulecieć w powietrze. Niechby Zabłudow spróbował teraz jej dosięgnąć! Biegł, wyciągał ręce, potykał się. Maria siedziała

wysoko na drapaczu chmur, na gmachu „Przezorność”. Ręką gładziła dachy Warszawy, lśniące jak atlasowa poduszka. Zdziś był obok niej. Pokazała mu: — Widzisz, to Zabłudow przebiega koło Poczty. Wstydzi się, bo chciał mnie zadusić. — Zdziś śmiał się serdecznie i niemądrze: — Czy ty go biłaś, mamusiu? — Przytakiwała: — Biłam, mocno biłam. — Czy on krzyczał, jak go biłaś? — Krzyczał. Nie, nie krzyczał, bo on nie jest żywy. Kupiłam go dla ciebie na straganie, na Bielanych. To diabeł, ale nie złego ci nie zrobi. Jest bez wstydu i godności...

Przytomniejąc, Maria jeszcze pieściła to słowo: „godność”. Brzmiało głęboko w napuchniętym gardle, jak świergot ptasi. Z trudem przełknęła ślinę. Drzazga tkwiła w przelyku, ból w karku nie pozwolił unieść głowy. Maria zmartwiła się:

— Tylko gardło. Wolałabym, żeby było zapalenie płuc.

Gdy rano nie podniosła się na wezwanie, dozorca podszedł:

— Dlaczego leżycie? W dzień nie wolno!

Jej szkliste spojrzenie rozzłościło go. Ściągnął ją z paki i poszturchując, pchał przed siebie do ustępu. W jaśniejszym tutaj świetle pojął dopiero, jak z nią jest i trzymając za kołnierz zakietu, zaprowadził z powrotem do karceru. Maria prosiła:

— Zostawcie, zostawcie...

Naśmiewał się z niej dobrodusznie i machnąwszy rękę, zamknął dokładnie drzwi, przekręcając klucz aż dwukrotnie. Po chwili otworzył wziernik, aby powtórzyć te śmieszne słowa: „Zostawcie, zostawcie”. Ale Maria, wstrząsana febrą, bełkotała teraz coś innego:

— Zimno mi, zimno... Nie oddali płaszcza... Nie oddadzą już...

10

Maria zagubiła rachubę czasu. Z początku czekała na przyście czarnooklej siostry, rojąc, że zabiorą ją do szpitala. Był tu chyba jakiś szpital w tym „polskim więzieniu”. Rozbierze się, położy do łóżka, dostanie gorącego mleka. Będzie długo i sennie chorować. Będzie miała poduszkę pod głową.

Nikt jednak nie przychodził i nagie deski paki były coraz twardsze. Brnąć przez majaczenia, trzeźwiejąc w lękach, Maria o jakiejś niewiadomej porze poczuła się lepiej. Nie była to noc, bo żarówka nie paliła się nad drzwiami. Maria doznawała wrażenia, że jest owinięta w zimną i wilgotną płachtę. Twarz i ręce były tak lepkie, jak powleczone żywicą. Domyśliła się, że to z potu. Teraz powinno przyjść zapalenie płuc. Pociła się przecież w temperaturze zerowej albo parę stopni poniżej zera. Zakaszawszy na próbę, nie odczuła jednak bólu i miała o to żal do siebie.

Chcąc sprawdzić, czy błoto jest zmarznęte, przechyliła się przez brzeg paki. Dwie kromki chleba ledwie odróżniały się kolorem od błota. Była zatem przez dwa dni nieprzytomna i nikt się o nią nie zatroszczył. Zostawiono ją tu, jak „zdychającego psa” — rozgoryczała się. Widocznie nie jest tak ważna dla nich,

więc po co te przesłuchania, nasyłanie Zabłudowa, namowy, groźby? Maria czuła się prawie urażona takim bagatelizowaniem. Chmurząc się z wysiłku, jaki jej sprawiło myślenie, nie umiała jednak nawiązać do przerwanej wątku swojej „sprawy”. Coś w tych dwóch dniach przepadło, coś się odmieniło w ocenie i w reagowaniu. Nawet cela wydawała się zbyt obszerna dla zwątlającego ciała, w którym setkami cienkich prężnych nitok rozplatał się i kurczył gład.

Ślina gładko przeszła przez przelyk i Maria zapragnęła jeść ten chleb walający się w błocie. Rozżuty, wydzielał z siebie oleistą słodycz migdałów. Wodę w kubku pokrywał cieniutki „kożuszek” lodu. Odsunąwszy go palcem, Maria sączyła płyn poprzez chlebem wypełnione usta. Była niemal syta po tym posiłku. Nic jej teraz nie dolegało i nic nie mogło rozdrażnić. Optymizm uprawdopodobnił nawet to, że puszczą ją lada chwila na wolność. Skoro nie jest ważna dla nich! O — za moment otworzą się drzwi i wejdzie Zabłudow, żeby jej to oznajmić. Parsknie mu śmiechem w twarz. Nie, nie warto, nie należy tak. Powie mu z serca: „Dziękuję panu”.

Minione złe doznania odsunęły się dyskretnie. A właściwie było tak, że Maria nie dopuszczała ich do siebie. Gdy groziły zbliżeniem się, gdy były twarzą Krylenki lub Worobiewa, gdy formułowaly się w zapytania — Maria odpędzała je dmuchaniem, tak, jak się to robi z dokuczliwym dymem papierosa. Rozpływały się natychmiast w mrocznym powietrzu celi i Maria doznawała błogiego uczucia bezpieczeństwa. Oddech jej grał chrapliwie po warstwie nieodkaszniętej flegmy, ale i to brzmiało jakby spokojem i beztróską głębokiego snu.

Kiedy jednak Maria wstała z paki, cela zawirowała, ściany rozbiegły się i przechyliły wstecz. Wstrząs był tak gwałtowny jak podczas trzęsienia ziemi. Maria przysiadła na pace i długo trwało zanim cela wróciła do dawnego kształtu. Jak budowniczy, ustawiała Maria z powrotem ściany i przywracała sklepieniu łukowy rysunek. Dokonałszy tego, zajęła się dopiero sobą cierpliwie, jak małym dzieckiem. Ćwiczyła się w chodzeniu, trzymając się ręką ściany, potem dotykając jej już tylko końcami palców. Zanim zapadła noc, Maria osiągnęła zdolność poruszania się i po ciężko przepracowanym dniu, nakazała sobie:

— A teraz spać, spać!

Twardy i zimny sen oddalił ją tak całkowicie od życia, że przebudzona dotknięciem, nie przestraszyła się tym razem. Szła sztywno, lecz bez wysiłku przez znajome korytarze i schody aż do znajomych drzwi. Nie zastanawiając się nad celem tej wędrówki, nie przepowiadała sobie, jak to zwykła czynić, poprzednio składanych zeznań. W mózgu miała pustkę, a w całym ciele całkowitą bezwrażliwość. Przystąpiwszy próg pokoju, Maria zachwiała się, był to jednak sztywny ruch ciała naprzód i wstecz.

W pamięci Marii zostały z tego przesłuchania jedynie ułamkowe szczegóły. W odtworzonym potem przebiegu były więc luki, których nie umiała wypełnić. Zdawało się jej, że, gdy weszła

do pokoju, panował mrok, a głos sędziego (Krylenki a może Wobiewa?) wydobywał się z głębi pustej kadzi. Ona sama mówiła bezgłośnie, jak to czasem bywa we śnie.

Męcząc się przypominaniem, doznała uczucia lęku przed tymi niesłyszalnymi słowami. Szukała ich w sobie z rozpaczą, aby je oczyścić z nurtujących ją podejrzeń. Znalazła wreszcie ulgę w zmyślaniu. Tak przecież musiało się to odbywać, o to pytali: o tekę. Sędzia położył ją na biurku i otworzył w dwie strony, jak gruby foliak. Arkusze, kartki, świstki pchał Marii przed oczy. Głos z kadzi odczytywał jakieś cyfry idące w dziesiątki tysięcy. Dokładnie widziała kolumny cyfr i końcową sumę podkreśloną czerwoną linią. Nieustępliwie zaprzeczała:

— Nie wiem, nie widziałam tego nigdy!

W zmyślanie zaczęło się jednak zakradać zwątpienie. Bo może nie było wcale mowy o tece, może pytali o — nazwiska? Ale i temu przeciwstawiała się:

— Nie znam. Nie słyszałam.

— A Józefa Mosta znacie? — To Zabłudow pytał drwiąco i tak blisko, jakby wprost do ucha. Wyparła się bezczelnie także znajomości z Mostem.

Nieprawdopodobieństwo zagarniało Marię i ponosiło. Czują się wywyższona swoją odwagą. Ale gdzieś na samym szczycie uniesienia, zachwiała się i powiedziała brutalnie:

— Kłamie!

Zniweczona tym słowem, jakby przygarnęła się do swojej małości. Znała ten sposób z dawnych lat, kiedy rodzice, albo Adam zarzucali jej tak wiele, że stawała się już tylko mizernym cieniem. Przytulała się wtedy do siebie samej, aby wyczuć swoje istnienie na przekór niweczącej złości. Adam po jakimś czasie cofał swoje zarzuty, albo zapominał o nich. Rodzice jednak nie zmieniali zdania. Było na zawsze już ustalone, niezależne od okresowych stanów ich usposobień.

Odrzucając pretensje do siebie, Maria o wszystko obwinała teraz rodziców. To oni zrobili z niej dziwoląga! Niezgodni z sobą w żadnej sprawie, szarpali ją w dwie strony. Jeżeli gdzieś są, jeżeli ich dusze... Maria gotowa była uwierzyć w życie pozagrobowe, byle tylko jej nieprzychylnie uczucia dotarły do rodziców.

— Jeżeli są, jeżeli czują i rozumieją...

Nagle zeszło na Marię obłaskawienie:

— Pomóżcie mi — poprosiła tak tkliwie, jak tego nigdy nie potrafiła za ich życia. — Pomóżcie mi teraz, kiedy już nie mogę, nie mogę...

Wnet jednak pojęła, że jej inwokacja jest naiwna i bezcelowa. Jak mogą jej pomóc? I w czym zawinili wobec niej? Zawsze pozwalala się nieść swojej bezwoli, aby dopiero tutaj zrozumieć, że całe jej dotychczasowe życie zmierzało do nieszczęścia. Prostymi, łatwymi drogami, albo krętymi drózkami wiodło aż tutaj. Zaukami, do których się skradała, nie wierząc... Bo przecież nie wierzyła w pracę Józefa. Nie wierzyła także w jego

miłość, która nie była niczym innym tylko bronieniem się przed nieszczęściem.

Maria doznała jakby olśnienia: — Życie wszystkich ludzi w Polsce zmierzało ku nieszczęściu! Teraz nie mogą już nigdzie skryć się przed nim. Dosięło ich i tu i tam. Uciekała przed katastrofą. Józef tak samo chciał uciec przed Gestapo. „Programy nie uwzględniają katastrof” — dowodził po niewczasie. W istocie, programy nie uwzględniają, ale ludzie powinni mieć ten ostrzegawczy zmysł. Jakże ją karmił Most za przeczcucia, za „metafizyczne wizje”! Ludzkość, sprawiedliwość, równość, wolność — były według Józefa jedynymi wiecznymi pojęciami, które uzbroją do każdej walki. Maria przytakiwała, nie chcąc się przyznać, że nie ogarnia sensu tych określeń. Teraz mogłaby powiedzieć Józefowi, że tymi samymi wyrazami posługuje się Zabłudow. Ach — i o to przecież walczą z Józefem, z nią!

Maria miotła się w błędnym kole, z którego nie było wyjścia. Owszem — istniała możliwość ratunku: nie powinna zaciąć się w uporze. I kto wie, czy nie byłoby godniej przyznać się, że brała udział w robocie Mosta, że miała obowiązek i prawo tak postępować. A potem, idąc już drogą prawdy, powiedzieć im, że nie uznaje ich sądów, wyroków, praw.

— Nie mają prawa! — krzyknęła, dławiąc się gniewem. Nie rozstrzygnąwszy tym okrzykiem niczego, uległa tylko jeszcze większemu zamętowi pojęć. Targana już nie gniewem, ale złością, zawołała groźnie:

— Boże, cofnij to, co się z nami stało!

Zdumiona, nasłuchując jak echa w lesie, Maria nie mogła uwierzyć, że słowa te wydobyła z siebie. Nie czuła ich. Były jakby wybiegiem. Zastąpiły te inne, zaczajone w niej, jak ciężki grzech. Przed kim tak się zataja — przed ciszą, przed sobą? Trzeba z tym dojść jakoś do ładu, niechby — „dla świętego spokoju”. W tych słowach Maria wreszcie odnalazła siebie. Myśli jej potoczyły się gładko po znajomym torze:

— Jeżeli tej nocy na śledztwie powiedziałam im wszystko, zrobiłam to nieświadomie, w stanie zamroczenia. Ale i tak nie przecież nie będzie „policzone”. Nie ma nic darzącego łaską, albo zsyłającego kary. Każdy jest sam dla siebie miarą i oceną. Podsumowuje swoje rachunki bez niczyjej kontroli. To, co się stało, podkreślam czerwoną linią, zwyczajnie — dla porządku. Przed nikim nie będę składać rachunku. Nie jestem tak skrupulatna, jak Józef.

11

Czerwona linia spełniła swoje zadanie i Maria nawróciła do buchalteryjnych metod. W tym nie była dyletantką. W latach, kiedy pracowała jako buchalterka, była spokojna, pewna siebie, nawet zadowolona. Nie doceniała tego ani wówczas ani potem. Nie umiała bowiem utrwalić w sobie stanu ducha, który w swoim ograniczeniu miał przecież cechy szczęśliwości. Tutaj

jednak — okazał się wprost niezawodny. Przywracał skupienie. Już żadnych uniesień, żadnych fikcji! Sama tylko przytomność zapobiegająca niespodziankom.

Od razu można było dostrzec sprzyjające zmiany. Oto mróz zelżał, szron na ścianach wygładził się w szybę lodu, który szybko topniejąc, ściekał strugami na ziemię. Tworzyło się z tego błoto na beton, ale ocieplenie się powietrza z nadwyżką rekompensowało tę przykrość.

— Nigdy nie nosiłam kaloszy — wysnuło się Marii z patrzenia na rozmiękłe błoto. I tak w niezamierzonym porządku odtworzyła dawno zarzucone wspomnienia:

Na progu sklepu leżała strzyżona, kokosowa wycieraczka. Klienci prawie nigdy z niej nie korzystali i na kafelkowej szachownicy posadzki tworzył się deseń odbitych podeszew. Za ladą pani Marta stapała na podwyższeniu, bo była nieduża i drobna. Miała hennowane, krótko strzyżone włosy, sztywno tuszowane rzęsy. Nie malowała brwi i nie różowała policzków, tylko mocno karminowała usta. Kupujący patrzyli na nią, jak na najpiękniejszy bibelot w sklepie. Brązowy dzemperek oblepiał ją ciasno, więc małe okrągłe piersi wydawały się obnażone i ciemne, jak u Hawajki.

Maria siedziała w głębi sklepu przy czerwonym chińskim stoliku. Książka buchalteryjna oprawiona w czerwony safian, leżała na złotych smokach. Marta żałowała, że książki buchalteryjne nie mogą być na czerpanym papierze. Miała absurdalne zamiłowania estetyczne, a klientów szacowała według ich możliwości finansowych. Mądra i cyniczna, dawkowała uprzejmość, nie uznając równości społecznej. Jako córka dozorczy domu, dobrze była świadoma różnic. Teraz stosowała je według nieomylnych norm. Toteż tych, którzy kupowali tanie przedmioty, traktowała z jadowitą uprzejmością, można by powiedzieć: z zabójczą uprzejmością. Kiedy w sklepie nie było klientów, Marta pozwalała sobie na kaszel. Miała chore płuca i zdawała sobie sprawę z tego, co jej grozi. Mówiła do Marii: — Jak umrę, pani dalej poprowadzi magazyn. Ale to już nie będzie to samo, choć firma pozostanie. Ładną wymyśliłam nazwę: „Tanagra”. Czy nie jestem, jak figurka tanagryjska? Ludzie przychodzą do sklepu, aby mi to powiedzieć. Pani nie zrobią tego komplementu.

Maria nie była obraźliwa i nie odczuwała zazdrości. Może i Adam tylko po to tutaj przychodził, żeby podziwiać Martę. Nie zawsze przecież wiedział, czego chce i nie zawsze nawet kupował. Wtedy, gdy przyszedł, żeby wybrać kosztowny prezent od całego wydziału na imieniny szefa, nie było Marty w sklepie. Nie było jej tydzień, czy dwa tygodnie. Miała uporczywy bronchit. Za ladą stała więc Maria, za wysoka i za ciężka. Nie umiała doradzić Adamowi, który dobierał długo i cierpliwie. Dziwiła się w duchu, że nie dostrzegł nieobecności Marty, która na pewno umiałaby znaleźć coś odpowiedniego. Rozmawiał z Marią niemal przyjaźnie o zdobnych przedmiotach, o rabacie. Odtąd

przychodził prawie codziennie, nie pozorując swoich wizyt żadnym pretekstem. Stawał przy kontuarze, przeczekiwał klientów i pogadywał żartobliwie, że na przykład ten starszy jegomość kupił tego ohydneho Buddę tylko dla pięknych oczu Marii.

Kiedy Marta wróciła i Maria znowu zajęła swoje miejsce przy czerwonym stoliku, Adam nie zaniechał odwiedzin. Był jednakowo uprzejmy dla obu, a bukiecik bratków dzielił na dwie równe części. Z początku bawiły Martę te odwiedziny i ta „spółka” jaką teraz stanowiły, posiadając tego samego wielbiciela. Z czasem jednak zaczęło ją to gniewać. Nawykła do wyłączności, wybuchła kogoś dnia:

— Niech się pani z tym gagatkiem gdzie indziej umawia! Sklep nie nadaje się do randek!

Maria umawiała się więc z „gagatkiem” w narożnej cukierni po zamknięciu sklepu. Stolik miał okrągły blat z białego szkła i nie zawsze był czysty. Adam zbierał na rękawy okruszynki, nierzadko nawet trochę kremu. Maria nie zwracała na to uwagi, choć ją drażniło, że jest niechlujny. Tego dnia otrzepał łokcie i umoczywszy chusteczkę w szklance z wodą, wytarł do czysta płamy. Maria uśmiechnęła się z aprobatą. To mu, jak później się przyznał, dodało odwagi. Oświadczył się, wypowiadając aż nazbyt gładko krótką formułkę, jak gdyby od dawna przygotowaną i wyuczoną na pamięć. Maria wcale nie zaskoczona, zgodziła się od razu. Dopiero w czasie jazdy tramwajem do Boernerowa, odczuła wzruszenie i radość. Cieszyła się, że to Adam. Rodzicom powiedziała o tym nie zaraz, lecz po kilku dniach. Wiedziała przecież, że popsują jej radość.

Martę jednak zawiadomiła o zaręczynach już następnego dnia, kiedy rano przyszła do sklepu. Schylając głowę nad książką rachunkową, powiedziała o tym rzeczowo, jak o jakiejś kolejnej pozycji przychodu lub rozchodu. Marta właśnie kaszlała na zapas zanim przyjdą klienci. Kaszel przeszedł w paroksyzm, ale urwał się nagle, bo weszła jakaś pani, żądając taniutkiej broszki. Dobierała długo, z namysłem i Marta zapytała opryskliwie, czy klientka ma zamiar kupić, czy tylko niepotrzebnie zabierać czas. Pani sponsowała i rozejrzała się bezradnie. Natknąwszy się na spojrzeń Marii, jakby nabrała śmiałości. Oburzając się, dowodziła płynnie, że po to jest sklep, po to sprzedawczyni, żeby klienci mogli dobierać, przebierać. Nie zabrakło też argumentu o tabakierze i nosie. Marta nie zmilczała i klótnia obu kobiet nasilając się, stawała się coraz mniej wybredna w słowach. Maria postanowiła pośredniczyć, ale skutek był taki, że klientka wyszła ze sklepu, zatrzaskując za sobą drzwi. Marta resztę furii skierowała przeciw Marii: — Tam, tam jest pani miejsce, przy książkach! Do klientów proszę się nie wtrącać! Nie brać strony klientów przeciwko mnie! Jednego już pani złapała, wystarczy!

Po tym wydarzeniu, Maria rozstała się z „Tanagrą”, ale nie chowała urazy do Marty. Przychodziła potem do sklepu jako klientka, a kiedy Marta ciężko zachorowała, umieściła ją w

sanatorium dla urzędników państwowych. Zajął się też sprzedażą sklepu, pogrzebem, nagrobkiem. Robił to bez ostentacji, z głębokiego przywiązania do Marty. Lubił ją za urodę, może nawet za to, że była nierówna. Kto wie — może najbardziej lubił ją za Adama, że tak wybrał, choć mógł inaczej.

Mysząc teraz uczciwie o swoim stosunku do Marty, nie poskapiła sobie uznania:

— Byłam dla niej dobra.

Po kolei liczyła osoby, dla których bywała dobra i które lubiła dłużej, lub tylko przelotnie. Było ich niespodziewanie dużo i Marii zrobiło się z tego powodu tak przyjemnie, że pojednała się w duchu nawet z tymi, od których doznała krzywdy. Odechnęła lekko, pozbywszy się ciężaru, jakim są niewyrównane pretensje do ludzi.

I ten obrachunek odbył się według zasad buchalterii. Uporzędkowane sumienie domagało się jednak jakiegoś zysku. Maria wyznaczyła go sobie po kupiecku, mimo, że w formie negatywnej:

— Niczego mi nie dowiodą tutaj!

Odrzucając podejrzenia, nie przyjmując do wiadomości sprzecznych z sobą wniosków, wracała Maria do punktu wyjścia: nie przyznawać się! Była to, jak sądziła, najmniej kłopotliwa metoda, nie przynosząca wprawdzie korzyści, ale nie nękająca i nie burząca wewnętrznego spokoju. Maria nazwała to „równowagą ducha” i była przekonana, że osiągnęła ją nareszcie.

— Teraz trzymam się w garści. Teraz panuję nad sobą — upewniała się. Potrzebne były te słowa zachęty, bo nie wszystkie doznania podlegały równowadze ducha. Szczególnie dotkliwe było uczucie głodu. Udręki te czasami obezwładniały sennością, częściej jednak przejawiały się wzburzeniem. Rwąc chleb zębami, Maria warczała. Tak właśnie, jak psy na podwórzu domu, w którym mieszkał Józef. Ich charkot i skowyt przerażał Marię. Bez tchu wpadała do pokoju Józefa, który gniewał się: — Jak ci nie wstyd! — Chwyciwszy ją za ramię, potrząsał silnie: — Tylko, proszę, bez hysterii! — Później głąkał posiniaczone ramię, rozrzewniony jego krągłością.

Pamięć skóry zdawała się zachowywać jeszcze ślad tej czułości i Maria bezwiednie dotknęła swojego ramienia. Było zwiotczałe, bełtało się od spodu, jak wypaproszony rybi brzuch. Tak samo rozmiękły uda i łydki. Dłońmi wyczuła zanik policzków, zapadających się na jamie ustnej. Zmartwiła się tym, lecz nie więcej niż kiedyś dawniej źle uszytą suknią. Zwykła wtedy mówić, że suknia jest do wyrzucenia. I teraz powiedziała podobnie: — Jestem już do niczego. — Uśmiechnęła się z rezygnacją, lecz ten pierwszy tutaj uśmiech nie zatrzymał się w kącikach ust, tylko rozszerzał się, nie napotkawszy na opór mięśni. I to przyjęła z rezygnacją, choć raczej smutno:

— Wyglądam pewnie ohydnie.

Było to „zdanko” pani Zdankowej, masażystki. Rozpoczynała nim serię dwudziestu zabiegów. Obrzydając na wstępie ciało,

mogła potem chwalić się: — Nie trzeba Woronowa. Odmłodziłam panią o dwadzieścia lat. — Pani Letycja Zdankowa była wprawdzie chuda i koścista, ale ręce miała „aksamitne” i Maria, poddając się tym wielkim, sprawnym dłoniom, wierzyła w magię gładzenia, mięsienia, klepania. Lśniąc od talku, który pachniał jaśminem albo fiołkami, leżała lekko dysząc, podczas gdy Letycja zdradzała tajemnice ciał ministrowych, generałowych, dyrektorowych. Wiedziała o najintymniejszych sprawach, zapewniając, że zna je nie z wyznań, ale z samego tylko dotykania skóry. Maria pytała trochę ubawiona a trochę zaniepokojona: — A co pani „wydotykała” u mnie? — Letycja sznurowała usta, nad którymi, jak mały wąsik nagromadziły się kropelki potu, i orzekała: — Pani jest nierozbudzona, bezgrzeszna. Za spokojnie pani żyje. Miłość nie powinna być na miarę, czyli według małżeńskiego wyrachowania. — Odchodząc, już ode drzwi szeptała demonicznie: — Miłość musi być kradziona, narażana na niebezpieczeństwo.

Po rozejściu się z Adamem, skończyły się seanse z panią Letycją. Spotykana na ulicy, udawała, że nie widzi Marii. Raz jednak Maria umyślnie ją zaczepiła i Letycja, kłamiąc radość, zapiała komplementem: — Ależ pani odmłodziła! — Nie żałowała pochwał, wiedząc, że Maria nie zamówi serii odmładzających zabiegów. Maria natomiast nie darowała sobie tej odrobiny złośliwości: — Odmłodziłam, bo nie używam masażu. Ale pani i bez dotykania mojej skóry wie, że rozeszłam się z mężem i że nie mam już na to pieniędzy.

Były to czasy przyjaźnienia się z Mostami i doprawdy — czasy wyrzeczeń. Teraz oceniała to Maria inaczej: — Nie byłam głodna, miałam się w co ubrać i gdzie mieszkać. — Wspomniała też, że w tych dwóch latach była przytulność spokoju i nieskrępowana wolność. Jeżeli trochę przeszkadzała gadatliwość Zofii, jeżeli czasem gniewały jej krytyczne uwagi — było w tym jakby uprzedzenie tego, co potem się stało. Zdradziła przecież Zofię. Zdradzili ją oboje. Kiedy raz napomknęła o tym, Józef zachnął się: — Po co psuć sobie kradzione, skrzepiałe chwile? — Nie był więc we wszystkich sprawach tak skrupulatny i uczciwy! Maria nie zgodziłaby się jednak z Letycją — że miłość powinna być kradziona i narażona na niebezpieczeństwo. Z głębokim wstydem przed sobą przyznała się: — To dlatego, że nie kochałam Józefa.

Wyznanie było szczere i uczciwe, ale napełniło smutkiem. Oszukiwała zatem Józefa i oszukiwała siebie. Pobudliwość brała za uczucie, a to, że Józef jej pragnał, było dla niej rekompensatą za odejście Adama i za wywyższanie się Zofii. W tym wypadku zestawienie rachunkowe miało saldo. Niechże i to podkreśli czerwona linia, niechże i to już będzie „w porządku”.

Nie było jednak w porządku, bo obrachunek, nie dając zadowolenia, psuł ład myśli. Może nawet dokuczał sumieniu. Maria wołała nie zgłębiać tego i zakpiła z siebie: — Wyglądam, jak straszdyło. I akurat o tych sprawach...

Naciągając zablocone pończochy, żeby je zwinąć pod kolanami w obwarzanek zastępujący podwiązki, znalazła wesz. Powinna ją była zabić, ale darowała jej życie za to, że nie ugryzła. Strząsnęła ją tylko na ziemię i z zajęciem przyglądała się niezręcznemu gramoleniu się wszy po grudkach błota. — O, teraz wdrapuje się na Mount Everest, a teraz już tylko na Mont Blanc... Wprędce straciła ją z oczu, gdyż kolorem nie różniła się tak wiele od szarych „gó”. Podejrzewała, że wesz wlaża na nią z powrotem. Skóra swędziła coraz w innym miejscu i Maria drapała się z rosnącą pasją, dopadając znieczuła pleców, szyi, piersi. Za paznokciami gromadził się brud dawno niemytego ciała. Ale Maria nie brzydziła się już. Nie czuła też gnilnego zapachu parazytów i nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej ubranie wydziela woń padliny. Zanik wrażliwości zmysłów dawał również niejako uspokojenie i pomagał Marii w organizowaniu „równowagi duchowej”.

W tych kilku dniach, nie wzywana na przesłuchanie, Maria zmechanizowała system obrony przed szybko postępującym wyczerpaniem. Przeciw osłabieniu stosowała oszczędność ruchów, i nie dbając o stukanie dozorczy do drzwi, prawie ciągle leżała, skrzyżowawszy na piersiach ręce tak, jak to robią zmarłym. Była to poza, wyrażająca najlepiej spokój i bezwład. Zamknawszy oczy, starała się nie podniecać wspomnieniami, nawet przyjemnymi. Okazało się jednak, że myślenie jest zbyt samowolną funkcją, bo nawet we śnie odbywała się ta bezustanna praca mózgu, wysilającego się bodaj na bezsensy.

Marii udało się wreszcie zaspokoić to „perpetuum mobile” — cyframi. Liczyła więc swoje oddechy, najpierw do dziesięciu, potem dodawała dziesiątki, które, uzbierane w setkę, dodawała do następnych setek aż do tysiączki. W toku liczenia ogarniała ją senność. Budząc się, pamiętała jednak osiągniętą już cyfrę i wysnuwała z niej wróżbę na „dobrze” albo „źle”. Przez jakiś czas cieszyła się albo smuciła wynikiem obliczenia, nie precyzując zresztą, co jest „dobrze”, a co „źle”.

Swojej sprawy, czy też ciągle jeszcze tak samo „sprawy Józefa” nie obejmowała bowiem wróżbami. Sprawa ta jakby nie mieściła się w wązkiej i już prawie nieczynnej rzeczywistości. Natomiast oddechy, oznaczone mnogością cyfr, potwierdzały istnienie. Maria, licząc, wiedziała, że trwa, że żyje w czasie bardziej różnym. Czas i życie były zatem ilością ciągle jeszcze dającą się ująć w jeden nieomylny sprawdzian — w cyfrę. Aby jednak nie trucić pamięci. Maria, doszedłszy do pięciu tysięcy, zaczynała na nowo od jednostki. Nabierała wtedy tchu i czuła pełnię sił, jak zawodnik na starcie. Do pięciu tysięcy docierała zmęczona, tak właśnie jak do mety.

W momencie, gdy Marię wywołano, cyfra już przekroczyła pierwszą tysiączkę. Maria liczyła dalej, stosując się jednak nie do oddechów, lecz do kroków, które narzucały się wyraźnym rytmem. Przed drzwiami dotarła już do drugiej tysiączki, a wszedłszy do pokoju sędziego, urwała na 1939. Bez zdziwienia stwierdziła, że to przecież data bieżącego roku. Chciała także ustalić datę dnia i miesiąca, ale nie potrafiła wyliczyć się z minionego czasu. Poczuli się z tego powodu jakby zagubiona nie tylko w czasie, ale i w przestrzeni.

Lampa ogarniała blaskiem, przed którym nie było ucieczki. Toteż Maria uległa panice i przerażonym wzrokiem podbiegała do stojących w cieniu klosza. Było czterech mężczyzn. Czwarły, którego Maria widziała po raz pierwszy, stał nieco w tyle. Pośtać miał krępą i jego kwadratowa czaszka jeżyła się szczotką ciemnych włosów.

Usłyszawszy nazwiska dziewcząt z jej „kontaktu”, oraz nazwiska obu aresztowanych współpracowników Józefa, Maria skupiła się. Wymieniono nadto jeszcze kilka osób, nieznanych Marii. Żądano od niej potwierdzenia udziału tych ludzi w robocie Mosta. W pierwszej chwili Maria poczuła się jakby mniej zagubiona. Znajome i nieznanome nazwiska wspierały ją. Nie była już tak osamotniona wobec tych czterech mężczyzn, wpatrujących się w nią uważnie i wyczekująco.

Odetchnęła głęboko, jak ktoś, kto zamierza wygłosić dłuższe przemówienie. Zabłudów zrobił zachęcający gest, Worobiew skłonił głowę na znak uznania. Ale Maria oddychała głęboko, jak człowiek dźwigający nadmierny ciężar. Czyż nie dźwigała w tej chwili ludzi Mosta? Wyobrażała sobie przecież, że to ona obciąża sobą Mosta, za nic i za nikogo nieodpowiedzialna, nawet za siebie. Wyparła się, aby było jej i lżej i łatwiej. A teraz obśpalił ją i mogłaby się skryć za nimi, jak za obronnym wałem. Nie dlatego jednak zebrali się teraz tutaj, aby jej pomóc. Sami domagali się ratunku, zdani na jej łaskę i niełaskę. Powinny naby rozważać swoją decyzję, ale Worobiew nalegał, a Zabłudów zachęcał:

— No? No!

Wtedy stało się tak, że oddech Marii się zaciął. Bliska uduśczenia, z oczami wysadzonymi na wierzch, nabrzmiewając strachem śmierci, wykrztusiła nawiątkowo:

— Nie znam. Nie wiem. Nie widziałam. Nie słyszałam.

— To tak się znowu zaczyna? — zdziwił się Worobiew. Zaczekał, zagwizdał, pokręcił głową.

Maria poczuła w sobie oznaki życia na skutek myśli, która wyłożyła się prosto i wyraźnie: — Na tamtym przesłuchaniu powiedziałam jej wszystko. Teraz dziwi się, że zaprzeczam. — Była zatem w matni. Spłoszonymi oczami daremnie szukała to okien, przez które można by wyskoczyć, to drzwi, aby uciec. Wiedziała, że nic takiego się nie uda, że trzeba tu siedzieć kamieniem i

zapadać w bezwład. Na wargach osiadał chłód, oddech rzeził w wyschniętym przełyku.

— Kładź się! — krzyknął Krylenko. — W tej chwili kładź się na podłogę!

Maria drgnęła i na tyle oprzytomniała, że rozkaz ten wydał się jej niedorzeczny. Spojrzawszy po kolei na wszystkich czterech, widziała wysoko podniesione brwi Worobiewa, jego szeroko otwarte, zastygłe oczy. Zabłudow patrzył z ukosa i poruszał wargami, jakby chciał coś powiedzieć. Krylenko purpurowy z gniewu, bełkotał, śliniąc się. Natomiast krępy wyszedł z cienia i po chwili był już koło Marii. Teraz już tylko na niego patrzyła. Kiedy podniósł rękę, cofnęła się odruchowo. Poczula jego ciężkie ręce na swoich ramionach, potem twardy chwyt pod pachami. Szarpnęła się. Ale już Zabłudow wykręcił jej ramiona do tyłu, mówiąc zdyszczanym głosem:

— Położyć się!

Głos Marii brzmiał podobnie:

— Co robicie! Ja nie chcę!

Już jednak leżała na podłodze, twarzą w dół. Próbowwała dźwignąć się, lecz grzbiet ugiął się pod butem Zabłudowa. Zdawało się Marii, że choć leży tak płasko i twardo, zanurza się w rozstępujące, szare błoto. Zamierzała wołać: „ratunku!” i zamiast tego powiedziała: „liczyć!” Śpiesząc się, myląc, liczyła, sumowała dziesiątki. Ogłupiała od zamętu cyfr, przypomniała sobie, że nigdy nikomu nie zda z tego sprawy, że tylko przed sobą jest odpowiedzialna za zgodność rachunku. Trzeba zatem podkreślić czerwoną linią... Dla siebie... Dla porządku...

Znaglią odzyskana świadomość była bólem. Maria zaskrzeczała.

Herminia NAGLEROWA.

“Kronika”

niezależny tygodnik demokratyczny.

Adres redakcji i administracji:

Eppstein-Taunus, Hotel Bienberg, US Zone, Germany.

PRZEDSTAWICIELSTWA:

FRANCJA: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en

l'Île, Paris IV^e (Metro: Sully Morland). Prenumerata roczna 480 frs., półroczna 240 frs. Cena pojedynczego egz. 10 frs.

Prenumerata zagranicę wpłacana w markach na terenie Niemiec kosztuje rocznie 52 DM.

Archiwum polityczne

Sytuacja międzynarodowa z perspektywy paryskiej

Zagadnienie wojny i pokoju, ściślej mówiąc ewentualnego terminu wybuchu III-ej wojny światowej nadal dominują w dociekaniach i obawach opinii publicznych. Alarmy wojenne raczej jeszcze się wzmożyły. Dlatego też powracamy do rozważań rozpoczętych w numerze 12 Kultury.

Zaostrzająca się licytacja o Niemcy, dotycząca bezpośrednio interesów polskich i dokonywujący się pogrom Chin Kuo-Min-Tangu wymagałyby obszerniejszego zanalizowania. Kampania chińska, w oczach wielu może mieć, jak bitwa na polach katalońskich, znaczenie wydarzenia, które zmieniło bieg historii świata. Jeśli wniosek taki byłby jeszcze przedwczesnym to fakt powołania 200 milionowego (na razie) czerwonego państwa chińskiego głęboko wstrząsa dotychczasowym układem sił w Azji, stawiając Indie wobec nowych zadań i nowych niebezpieczeństw. Na nową rolę oczekiwać musiałyby i Japonia, o ile komunizm azjatycki, choćby nie całkiem cystego stempla moskiewskiego nie miałby całkowicie zatriumfować nad największym kontynentem świata.

W artykule niniejszym chcielibyśmy poruszyć jeden tylko aspekt sytuacji międzynarodowej. To jest ewentualnych szans rychłego konfliktu. Wydają się one nam znikome. Rosja Sowiecka na razie nie może zaryzykować napaści i perspektywy długiej, niszczącej wojny. Zachód ze Stanami Zjednoczonymi i opinia publiczna na Zachodzie wojny nie chcą i nie są do niej obecnie przygotowane.

Pozostające do dyspozycji Rosji siły zbrojne są istotnie olbrzymie. Według aproksymatywnych obliczeń specjalistów, Rosja posiada około 220 dywizji, mniej więcej po 10.000 ludzi każda. Do tego dodać należy co najmniej 20 dywizji MWD, dawnego N.K.W.D. W cyfry powyższe wchodzi już 34 nowo-

czesne dywizje pancerne, których liczba już w najbliższym czasie ma być poważnie zwiększona.

Artyleria jest tradycyjnie w armii rosyjskiej jedną z najlepiej zorganizowanych broni i sama produkcja roczna armat różnego typu, obliczona jest na dziesiątki tysięcy. Potężna awiacja, zwłaszcza jeśli chodzi o myśliwską, wygląda skromniej w zakresie ciężkich bombowców długodystansowych. Efektywność awiacji obliczana są na 600.000 ludzi do czego dochodzi jeszcze około 150.000 dobrze wyszkolonych spadochroniarzy.

Stwarza to niewątpliwie ogromną przewagę siły sowieckiej nad obecnie stojącymi do dyspozycji siłami wojskowymi Zachodu. Jednakże jeśli chodzi o marynarkę, to mimo ogromnych postępów poczynionych, zwłaszcza jeśli chodzi o najnowszy typ łodzi podwodnej, (łodzi dalekiego zasięgu — 350 jednostek!) Siły rosyjskie w porównaniu z ewentualnym przeciwnikiem są w tej dziedzinie zupełnie nieznaczące.

Awiacja mogłaby decydować o zwycięstwie tylko w wypadku gdyby była technicznie zdolna osiągnąć niewralgiczne centra Stanów Zjednoczonych. Nie jest to oczywiście możliwe przynajmniej w najbliższych latach ze względu na brak lotnictwa długodystansowego. Aktualna sowiecka przewaga wojskowa mogłaby zresztą zaważyć na wypadkach tylko w przewidywaniu wojny krótkotrwałej. Nie ma jednak żadnych danych aby tę ewentualność brać pod uwagę. Fachowcy są zgodni, iż posiadanie przez Stany Zjednoczone monopolu broni atomowej, której skuteczność w stosunku do Rosji, dzięki rozrzuconiu jej przemysłu, jest o wiele mniejsza, niż jeśli ona miałaby być zastosowana wobec Stanów Zjednoczonych, a tym bardziej Anglii, bynajmniej nie przesądza o krótkotrwałości zderzenia wojennego.

Jeśli w warunkach obecnych nie ma szans szybkiego zwycięstwa Ameryka, to tym bardziej nie posiada ich Rosja, nie rozporządzająca dotąd bronią atomową.

Trzecia wojna światowa, byłaby więc mimo olbrzymiej siły niszczącej nowoczesnej broni wojennej, wojną długotrwałą. Tu z całą bezwzględnością występuje relatywna słabość sowieckiego potencjału gospodarczego. Dysproporcja produkcji zasadniczych dla prowadzenia wojny współczesnej przemysłów w dziedzinie stali, węgla, a zwłaszcza ropy stwarza dla Rosji sytuację wysoce niekorzystną. W zestawieniu z planami sowieckimi, ogłoszonymi po zakończeniu wojny, odbudowa i rozwój przemysłu sowieckiego postępuje w sposób niezadawalający i o wiele powolniejszy niż przewidywano. W tak zwanych przemysłach kluczowych, obecna produkcja sowiecka albo nie osiągnęła jeszcze albo ledwo przekroczyła poziom produkcji z 1940 r. Tak np. wytwórczość surowki żelaznej, osiągnąwszy w 1940 r. 15 milionów ton, w 1947 wynosiła zaledwie 13.900 tys. ton. W zakresie stali w 1940 r. wyprodukowano 18.300 tys. ton, a w 1947 — 16.100 tys. ton. Jedynie węgiel z podstawowych gałęzi produkcji, wy-

kazał pewną nadwyżkę: w 1940 — 166 mil. ton, w 1947 — 175 mil. ton.

Najdramatyczniej wygląda jednak zagadnienie produkcji ropy naftowej. W r. 1940 wyprodukowano 31 mil. ton i to poniżej przewidywań; już przed wojną szybkie tempo wzrostu produkcji naftowej, zwłaszcza z okresu pierwszych piatiletek uległo zahamowaniu. W 1947 r., według aproksymatywnych obliczeń cały przemysł naftowy sowiecki osiągnął ledwo 26 mil. ton. Od kilku lat czynniki rządowe zaalarmowane są wyczerpywaniem się produkcji ropy w Baku, którą niełatwo będzie zastąpić najszybszym nawet rozwojem produkcji nowych zagłębi na wschodnim brzegu Morza Kaspijskiego, produkcją Sachalinu etc. Nawet planowany wzrost o 9 mil. ton produkcji naftowych źródeł sowieckich poza Zagłębiem bakińskim, który planiści sowieccy chcieliby osiągnąć w 1950 r. (w zestawieniu z produkcją 1940) niewiele może zmienić w tym niekorzystnym stanie rzeczy.

Słabość sowieckiego przemysłu naftowego występuje z całą jaskrawością, gdy zestawimy owe 26 mil. ton ropy z produkcją 1947 r. Stanów Zjednoczonych i krajów „otoczenia kapitalistycznego”, Same Stany Zjednoczone produkują około 255 mil. ton, Wenezuela, której wytwórczość wzrasta niesłychanie szybko — 63 mil. ton, Iran 20,2 mil. ton, do czego dorzucić należy szereg „pomniejszych” producentów ropy z Arabią Saudyjską na czele.

Pozycja geograficzna Rosji, z punktu widzenia militarnego oczywiście korzystniejsza jest niż jej przeciwników. Rozrzucenie przemysłu świadomie decentralizowanego i przesuwanego do mało dostępnych rejonów wschodnich, surowości klimatu i skupienie na jednolitym, dobrze przez naturę bronionym terenie maksymalnie ułatwia obronę wobec ataku.

Natomiast osiągnięcie głównego przeciwnika w jego niewralgicznych ośrodkach, tj. wielkich miast i centrów przemysłowych, stawia przed strategią sowiecką niezmiernie ciężkie zadania.

W ich perspektywie Europa Zachodnia na zachód od Renu wydaje się relatywnie drugorzędym celem ewentualnej sowieckiej strategii ofensywnej.

Jej celem najważniejszym zdaje się być północny kierunek uderzenia; przygotowania zarówno sowieckie, jak i amerykańskie przykładają do tego ewentualnego terenu operacji jaknajwiększą uwagę.

Perspektywa zastosowania długodystansowego lotnictwa zmieniła niejako geografie kuli ziemskiej. Połączenie przez biegun, do niedawna niedostępne, skróciło o poważny ułamek odległości między centrami komunikacyjnymi Europy, Azji i Stanów Zjednoczonych. New York od Moskwy — przez Alaskę i biegun północny dzieli 7.600 klm., gdy dotychczasową drogą na Islandię odległość ta wynosiła 8.800 klm. Z Pekinu lub Syberii Wscho-

dniej ta redukcja odległości od centrów północno-amerykańskich jest jeszcze większa. Między Pekinem a New Yorkiem via Ocean Spokojny i San Francisco dystans przekracza 21.000 klm. gdy Pekin - New York — via biegun północny redukuje tę odległość o przeszło połowę, do mniej więcej 10.000 klm.

Rosjanie pierwsi zwrócili na Arktykę uwagę z punktu widzenia doniosłości bazy wypadowej tego regionu. Od Petsamo aż po Kamczatkę tworzone są nowe regiony przemysłu, jak Kola z produkcją niklu, miedzi i fosfatów, jak zagłębie węglowe i produkcja ropy na Peczorze, jak kopalnie węgla, cyny, ołowiu i platyny, na niekończących się terenach północy syberyjskiej. Rozwój sieci komunikacyjnych, a przede wszystkim lotniczych, w tych regionach jest istotnie imponujący.

Amerykanie nieco później, ale z podobnym rozmachem rozpoczęli inwestowanie olbrzymich kapitałów w rozwój lotnisk, linii lotniczych i baz wojskowych w rejonie własnej Arktyki, której najbardziej wysunięte punkty na Alasce są odległe o 90 klm. od wybrzeży Syberii północno-wschodniej.

Tereny quasi neutralne jak duńska Grenlandia i norweski Spitzberg są terenami pożądanymi ze strony obu największych potęg świata. Wszystko zdaje się wskazywać, iż północ z punktu widzenia ewentualnej ofensywy rosyjskiej, przeciw Stanom Zjednoczonym, będzie głównym terenem operacji, który jednak dla techniki sowieckiej z pewnością nie może być dostępny w latach najbliższych.

Drugim, o przeważnie obronnym znaczeniu, terenem uderzeniowym sowieckim może być Bliski Wschód na obszarze broniącym dostępu do bakińskiego zagłębienia naftowego.

Nie tylko chodzi o obronę najważniejszego, dla prowadzenia wojny ośrodka przemysłowego Rosji, ale i o teren wypadowy na Bliski Wschód, gdzie szybka okupacja Persji a ew. i Iraku mogłaby niemal podwoić możliwości produkcyjne sowieckie w dziedzinie ropy; sukcesy na tym terenie stwarzałyby też możliwości paraliżowania linii komunikacyjnych Morza Śródziemnego i Suez. Stąd przygotowywanie drugiej linii obronnej na terytoriach brytyjskich Nigerii i Kenii. Wreszcie jest to teren, który na wypadek powodzenia ofensywy sowieckiej, zagrażałby Indiom, coraz bardziej wystawionym na niebezpieczeństwo od północnego wschodu w wyniku sukcesów czerwonego rządu chińskiego.

Trzeci wreszcie zasadniczy teren operacyjny, na którym zresztą na szeroką skalę zakrojona akcja rozpoczęła się z chwilą kapitulacji Japonii, to teren Chin, gdzie mimo doniosłych sukcesów sowieckich, likwidacja Chin Kuo-Min-Tang'u potrwa zapewne jakiś czas i gdzie w rezerwie Stanów Zjednoczonych pozostaje potężna siła uderzeniowa jaką jest stumilionowa niemal masa japońska.

W tych warunkach dość powszechne przeświadczenie o nieuchronności niezwłocznej niemal okupacji Europy Zachodniej

przez Sowiety, w razie wybuchu wojny, nie znajduje dostatecznego uzasadnienia. Ogromne, lecz bynajmniej nie przesądające o zwycięstwie siły, jakimi rozporządzają Z. S. S. R., wydają się w każdym razie niedostateczne dla podjęcia ofensywy na tak kolosalnie rozciągniętych i ekscentrycznych liniach ewentualnego ataku. Uderzając na Europę Zachodnią i okupując przeludnione, politycznie wobec Sowietów wrogo nastrojone narody, zmuszona jednocześnie do skoncentrowania największych sił na zasadniczych terenach swoich operacji wojennych, Rosja Sowiecka popełniłaby na większą jeszcze skalę błąd strategii Hitlera. Dowództwo niemieckie w momencie swoich zwycięstw z drugiej połowy 1941 i z 1942 r. nie tylko kontynuowało wojnę na dwa fronty, rozciągając coraz bardziej linię ataku na wschodzie, ale też w trosce o swego sojusznika—włoskiego—jednocześnie rzuciło poważne siły na operację północno-afrykańską. Nawet znakomita organizacja niemiecka nie dawała sobie rady z administracją okupacyjną i kontrolą Gestapo coraz to nowych, coraz dalej położonych obszarów.

Od chwili buntu Tito, najbardziej na południowy zachód wysuniętej placówki w Europie, atak na Europę Zachodnią odbywałby się w trudniejszych jeszcze warunkach bez udziału bitnej i dobrze wyszkolonej armii jugosłowiańskiej, którą musiałyby zastąpić dalsze dywizje sowieckie. Jedynym ważnym punktem gospodarczo i strategicznie w Europie Zachodniej byłoby, z pewnością Zagłębienie Ruhry, Holandia i Belgia, nie tylko ze względu na zawarte tam bogactwa surowcowe i przemysł, ale także jako baza wypadowa dla lotnictwa i broni nowoczesnej w ostrzeliwaniu i niszczeniu Wielkiej Brytanii.

Rozszerzyłyby to zbyt ramy niniejszego przeglądu, gdybyśmy przytoczyli równocześnie stan zbrojeń Stanów Zjednoczonych i uczestników Paktu Brukselskiego. Cyfry te w przeciwieństwie do sekretu otaczającego zbrojenia sowieckie są w głównych swych danych ogłoszone i szeroko dyskutowane. Przypomnijmy tylko, że Stany Zjednoczone są zaledwie u wstępu swego wysiłku dozbrojeniowego a Europa Zachodnia z Anglią i Francją na czele są rozbrojone i wiążą możliwość maszynowego dozbrojenia z ewentualnym nowym specjalnym kredytem amerykańskim.

Można te konstatacje uplastyczyć zacytowaniem niedawnej mowy b. premiera P. Reynaud w Lille, który stwierdził, że siły zbrojne Francji są w chwili obecnej słabsze niż neutralnej Szwajcarii. Możemy tylko dodać, że wyłączwszy flotę, w innych rodzajach broni Szwajcaria posiada armię mniej więcej trzykrotnie silniejszą niż Francja.

Obecne warunki obronne Zachodniej Europy są zresztą więcej niż skromne. W praktyce uczestnicy Paktu Brukselskiego mogliby wystawić na stopie bojowej 16 dywizji, ale i ta cyfra

jest kwestionowana. Szczególnie lotnictwo jest słabym punktem w tej obronie. Zwłaszcza jeśli chodzi o Francję. W tym stanie rzeczy dostarczenie 5 (!) samolotów à réaction Francji przez Wielką Brytanię uważane jest za prawdziwy ewenement.

Wydaje się więc, iż trudności wewnętrzne Sowietów są ogromną szansą dla świata zachodniego, który rozbrajał się w takim tempie, iż gdyby atak sowiecki nastąpił w 1947 lub na początku 1948 r. to zaskoczenie byłoby kompletne i jeżeliby nawet nie zapewniło zwycięstwa Sowietów to, w każdym razie, uczyniłoby wojnę jeszcze bardziej długotrwałą i niszczącą. Ale, jeśli wojskowo świat zachodni jest zupełnie do wojny nieprzygotowany, to dotyczy to i dziedziny dyplomatycznej: powstawanie bloku zachodniego wychodzi zaledwie ze swej fazy początkowej.

Mowa Prezydenta Trumana z 12 marca 1947 r. i ogłoszony wkrótce projekt planu Marshall'a były pierwszymi symptomami, iż polityka Stanów Zjednoczonych zamierza postawić tamę ekspansji sowieckiej w Europie i przystąpić do reorganizacji antykomunistycznych sił w świecie.

W przeciwieństwie do państw totalnych, demokracje porozumiewają się i działają niezmiernie wolno. Dopiero w lipcu 1948 nastąpiły pierwsze rozmowy w Washingtonie, zmierzające do zorganizowania Unii Zachodniej czy też Paktu Atlantycznego, słowem sojuszu obronnego na miejsce ograniczonej do terenu gospodarczego współpracy i jednostronnej pomocy amerykańskiej dla zrujnowanych krajów Europy Zachodniej. Pierwsze zresztą rozmowy w Washingtonie wykazały, że teren nie jest dostatecznie przygotowany do powiązania Stanów Zjednoczonych z Europą Zachodnią systemem sojuszów i paktów wojskowych.

Okazało się przede wszystkim, iż projektowane szerokie porozumienie musi być, co do liczby swych uczestników, znacznie zwężone. Do organizującego się paktu, poza Stanami Zjednoczonymi, przystępuje więc Wielka Brytania, Francja, Belgia, Holandia, Luksemburg, a z państw amerykańskich Kanada. Próby wciągnięcia poza tą grupą 7 państw — Włoch, Portugalii, Islandii i państw skandynawskich natrafiły na różnorodne trudności.

Włochy, które wyszły pobite z Wielkiej Wojny, rozbrojone na skutek postanowień traktatu pokojowego, nie dojrzały jeszcze do decyzji związania swych losów z systemem zachodnim. Silna opozycja socjalistów p. Nenni'ego i komunistów nie gra tu roli decydującej. Wahania elementów centrowych nawet wśród chrześcijańskich demokratów i socjalistów umiarkowanych, tłumaczą się zarówno stanem rozbrojenia samych Włoch jak i nie możliwością uzyskania w obecnym stanie rzeczy jakiegokolwiek gwarancji niezwłocznej pomocy na wypadek wybuchu wojny ze strony Stanów Zjednoczonych i innych państw zachodnich.

Irlandia nie uregulowała jeszcze swych kwestii spornych z Wielką Brytanią. Szwecja ze swej strony najdalej idzie w swych zastrzeżeniach, sądząc widocznie, iż mimo swego wysoce eksponowanego położenia geopolitycznego, będzie się mogła utrzymać

poza ramami obecnego konfliktu. Natomiast otwarta jest kwestia powiększenia liczby uczestników paktu przez Norwegię, Portugalię i Islandię.

W Washingtonie, jak słychać, rozważane są koncepcje powiązania Paktu Atlantycznego z Paktem Panamerykańskim, który na początku grudnia 1948 r. wszedł w życie. Ten punkt zresztą będzie wymagał jeszcze pracowych negocjacji. Nie tylko zagadnienie składu uczestników, ale i klauzule regulujące wzajemne ich współdziałania w ramach porozumienia oraz charakter i warunki ich wzajemnej pomocy są jeszcze przedmiotem rozmów. Francja wysuwa automatyzm pomocy na wypadek zaatakowania jednego z uczestników układu. Już to samo zagadnienie wywołuje poważne trudności mimo, iż propozycja ta byłaby całkiem uzasadniona szybkością działań dyplomatycznych i techniką konfliktów wojennych współczesnej nam epoki.

Tymczasem, z punktu widzenia konstytucyjnego, Stany Zjednoczone nie mogą rozpocząć działań wojennych bez wypowiedzenia wojny, a wypowiedzieć wojnę bez uprzedniej uchwały Kongresu.

Dalszą trudnością będzie forma i zakres kompetencji organów wspólnych, które stanowią rodzaj sprawny i obradującego możliwie w permanencji Komitetu Koordynacyjnego uczestników paktu. Na razie przesądzono powstanie takiego Komitetu dla działań dyplomatycznych oraz bardziej rozbudowanego Komitetu dla spraw wojskowych. Precedens w postaci wspólnych organów, powołany w wyniku układów brukselskich, w którym uczestniczyły 5 krajów Europy Zachodniej, okazał się niedostateczny. Przyszłe organy Paktu Atlantycznego będą więc miały szersze jeszcze kompetencje.

Mimo tych rozlicznych trudności, zainteresowane państwa chciałyby doprowadzić najpóźniej z początkiem kwietnia 1949 do podpisania odpowiednich układów.

Jest zagadnieniem bardzo istotnym, co zainteresowane państwa, a przede wszystkim Stany Zjednoczone, będą mogły dokonać jeszcze przed upływem tego terminu. Zależać to będzie w pierwszym rzędzie od zbierającego się w styczniu Kongresu Amerykańskiego. O najważniejszej bodaj stronie wojskowej decydować będą zarówno sumy, które kongres uchwali dla budżetu armii lądowej, marynarki oraz lotnictwa, jak i ewentualne kredyty dodatkowe poza planem Marshall'a, przeznaczone na dobrojenie krajów Europy Zachodniej, w pierwszym rzędzie zaś Francji. Na razie chodziłoby o sumę do 2 miliardów dolarów na 1949.

Suma ta wydaje się stosunkowo skromna w zestawieniu z imponującymi cyframi budżetu wojskowego Stanów. Obecny 15 i pół miliardowy budżet, zdaniem kół wojskowych, nie wystarczy i winien być podniesiony przynajmniej do 21 miliardów. Są jednak, zwłaszcza w łonie partii demokratycznej, silne sprzeciwy przeciw każdemu wydatniejszemu podniesieniu i tak już, zdaniem tych kół, bardzo wysokiego budżetu wojskowego. Tym bar-

dziej jeszcze wątpliwy jest los owych dwóch miliardów, przeznaczonych na dobrojenia Europy.

W świetle tych zamierzeń i przygotowań jasne jest dążenie dyplomacji zachodnio-europejskiej do odraczenia wszelkich decyzji dla zyskania na czasie i przywrócenia równowagi, jaką gruntownie zachwiała lekkomyślna i beładnie przeprowadzona demobilizacja Wielkiej Brytanii, a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych.

Rozpaczliwa jałowość niedawno przerwanej sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych, odbywającej się przez pierwsze sześć tygodni pod kątem wyczekiwania na wynik wyborów amerykańskich, a przez dalsze sześć pod wrażeniem niespodziewanego wyboru Prezydenta Trumana, była jednym tylko jeszcze dowodem, iż polityka anglosaska nie chce podejmować decyzji w momencie, w którym stosunek wzajemny jej sił wobec bloku sowieckiego jest ciągle jeszcze bardzo niekorzystny.

Byłoby zawodne bawić się w prorocтва; można jednak z pewną dozą prawdopodobieństwa przewidywać, iż najmniej okres 6-miesięczny, do czerwca lub lipca 1949, potrzebny będzie na to, by przygotowania mocarstw zachodnich postąpiły na tyle, by rozmowy z Sowietami, przerwane praktycznie od grudnia 1947, tj. od ostatniej konferencji londyńskiej Wielkiej Czwórki, mogły być wszczęte na nowo.

Od polityki sowieckiej będzie przede wszystkim zależeć, czy pójdą one po linii przejściowego „appeasement'u”, czy przyniosą dalsze zaostrzenie sytuacji.

W położeniu Francji nie zaszły poważniejsze zmiany. Można tylko stwierdzić, iż rządząca „trzecia siła” w coraz mniejszym stopniu panuje nad sytuacją, a jej rządy nie są w stanie przewyciężyć nie tylko rosnącego kryzysu finansowego, ale nawet zdobyć się na wspólny program radykalniejszej naprawy. Mało zharmonizowany zespół „trzeciej siły” od reakcyjnego P.R.L. porzucający, a na doktrynerach polityki kierowanej skończywszy, łączy chyba tylko mniej lub więcej szczerze przywiązanie do systemu parlamentarnego. Jest to stanowczo zbyt mało, aby rządzić w okresie, gdy przeciwieństwa socjalne stają się coraz ostrzejsze i gdy wzrastają siły podwójnej opozycji R.P.F. i komunistów.

Coraz widoczniejsza od półtora przeszło roku prawda, iż we Francji istnieją tylko dwie siły dynamiczne: de Gaulle i Partia Komunistyczna — nigdy nie była tak oczywista jak obecnie.

Komuniści jednak niosą na sobie coraz bardziej krępujący ich ciężar posłuszeństwa dyktandu moskiewskiemu, nie liczącemu się zupełnie z interesami, koniecznościami taktycznymi i specyficznymi warunkami działania na terenie Francji.

Trzecie z kolei załamanie się od czerwca 1947 r. prób strajkowych na skalę strajku upowszechnionego i dotkliwe fiasko strajku górników oraz analogicznych prób, podejmowanych w

metalurgii, w kolejnictwie, w portach i dokach, są świadectwem cofania się wpływu K.P.F., która wciąż zdaje się wahać między wariantem półrewolucyjnej polityki sabotażu i przygotowań do wojny domowej, a taktyką „patriotycznej”, „praworządnej” partii — organizatorki szerokiego porozumienia demokracji w stylu dawnego frontu „narodowego”.

Gen. de Gaulle za to posiada wolne ręce w swej akcji, wyzyskując nie bez zręczności liczne błędy rządzącej koalicji, zarówno w polityce wewnętrznej jak i zagranicznej. Ostatnie próby porozumienia z pewnymi elementami „trzeciej siły”, a w szczególności z izolowanym na skutek nieporozumień z socjalistami i radykałami chrześcijańsko-społecznym stronnictwem M.R.P., osławionym na domiar masową utratą swej klienteli wyborczej — wskazuje na większą niż przypuszczano ogólnie elastyczność taktyki gen. de Gaulle'a.

Przy wszystkich trudnościach rozwoju R.P.F., braku sprawnej organizacji, ogromnego ubóstwa kadr partyjnych i nieposiadaniu dostatecznie sprecyzowanego programu, o rozwoju ruchu R.P.F. decyduje przede wszystkim nazwisko gen. de Gaulle'a, w którym poważna część opinii widzi jedyne rozwiązanie impasu, w jakim znalazła się sytuacja wewnętrzna Francji.

GAMMA.

WSZYSCY JUŻ WIEDZĄ

że na najlepiej zaopatrzoną księgarnią we Francji jest

SKŁADNICA „LIBELLA”
KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e). Métro: Sully-Morland

● ŻĄDAJCIE BEZPŁATNYCH KATALOGÓW ●

Anglia po 3-ach latach socjalizmu

W 1913 roku E. Halévy, głośny historyk socjalizmu europejskiego pisał: „Jestem przekonany, że w socjalizmie ukryty jest sekret przyszłości. Nie potrafię jednak powiedzieć czy ta tajemnica sprowadza się do tego, iż idziemy ku Europie kantonalnej na wzór szwajcarskiej federacji czy też ku cezaryzmowi europejskiemu”.

Dzisiaj, po doświadczeniach trzech dziesiątków lat, większość obserwatorów zapewne łączy postępy socjalizmu z nawrotem do cezaryzmu. Demokratyczny socjalizm wygląda blado i mizernie przy swych butnych, totalitarnych kompanach czy współzawodnikach. Nawet w Anglii, gdzie na pewno pozostaje on „demokratyczny”, nic z ewolucji odbywającej się w naszych oczach nie przywodzi na myśl porównań z pacyfistyczną Szwajcarią, jej powolnym i tradycyjnym trybem życia; jesteśmy i tutaj świadkami ogromnego wzrostu zakresu działania państwa i skurczenia się pola aktywności jednostki, jako znaków wyróżniających nowej epoki.

W Anglii ciągłość dziejowa nie została od wieków przerwana; stąd ani wojna ostatnia ani tym bardziej zwycięstwo wyborcze Labour Party nie stanowią ostro odcinających się słupów granicznych. Tak jak sylwetka architektoniczna Londynu przetrwała na ogół niezmienną spustoszenia blitzu, podobnie i armatura społeczna, z grubsza stoi jeszcze: prasa dalej z lubością umieszcza fotosy rodziny królewskiej, gwardziści karakoluja przy karocach z okazji galówek, w parlamencie odwieczna procedura jest dalej przestrzegana, sędziowie sądzą w starych perukach, polowania na lisa stanowią wciąż ośrodek życia towarzyskiego po hrabstwach, policjanci zachowują swe wzorowe maniery, Anglicy dalej mruczą swe „sorry” i rozprawiają o pogodzie. Ale za tą niezmienną fasadą zaszły przeobrażenia głębokie, choć nie całkiem wymierne.

To co nastąpiło na pewno, to duża niwelacja dochodów i majątków. Jest nieprawdą, że Anglików bogatych już nie ma, i tak samo wydaje mi się przesadą, że dzisiaj cały kraj zubożał w porównaniu z okresem przedwojennym. Proletariat polepszył swą dolę i relatywnie i bezwzględnie. Relatywnie — bo zwiększył się na pewno jego udział w dochodzie społecznym. Bezwzględnie — bo czas pracy jest wszędzie krótszy, urlopy (płatne) na

ogół dłuższe, dyscyplina fabryczna łagodniejsza, traktowanie przez pracodawców znacznie lepsze i uprzejmiejsze, co np. w stosunku do służby domowej, hotelowej, restauracyjnej itd. jest momentem nie pozbawionym poważnego znaczenia. Oczywiście wzrosły blisko dwukrotnie płace; wobec jednak spadku siły nabywczej pieniądza, ograniczeń żywnościowych, braków itd. zachodzi pytanie, czy i w jakim stopniu te podwyżki wyrażają istotny wzrost siły nabywczej. Sądzę, że w niektórych wypadkach wzrost ten jest niewątpliwie: jest nawet znaczny, jeśli chodzi o pewne grupy uprzywilejowane, a więc zecerów (wzrost zawrotny — dobry zecer zarabia 60 funtów miesięcznie), górników, niektórych rzemieślników, robotnice w ogóle i młode dziewczyny w szczególności (zwłaszcza maszynistki, które przed wojną były wyzyskiwane). Płace robotnicze w Anglii pozostają nadal daleko w tyle poza Ameryką, są jednak znacznie wyższe niż we Francji. Ich wartość realną obniża podatek dochodowy, obecnie potrącający co tydzień i wcale dotkliwy dla wyższych kategorii robotników wykwalifikowanych; jeszcze bardziej wysokie ceny piwa i papierosów, które to dwa artykuły pochłaniają zawrotną proporcję rodzinnych budżetów; a wreszcie również wysokie opłaty (podatek widowski) od kina i meczy footballowych, które dla mas stanowią główną i ulubioną rozrywkę. Z drugiej strony klasa robotnicza jest głównym beneficjentem subsydiowania przez skarb ceny podstawowych środków żywnościowych: te subsydia wyrażają się cyfrą pół miliarda funtów rocznie, czyli do racji każdego mieszkańca Zjedn. Królestwa skarb dopłaca 10 funtów rocznie, około 4 szylingów tygodniowo.

Jak dotąd, wszystko jest bardzo pięknie. Jestem oczywiście zwolennikiem wysokich płac, taniej żywności i pełnego zatrudnienia. Dodajmy, że wszystkie ankiety zgodnie dochodzą do wniosku, iż przeciętny robotnik interesuje się właśnie tymi trzema problemami: one to decydują o jego stosunku do Labour Party. Kwestia nacjonalizacji go nie interesuje, a budowa socjalizmu jest dla jego praktycznego umysłu zagadnieniem obcym, wynysionym przez jakichś podejrzaných cudzoziemców.

Dobrobyt robotnika angielskiego, bardzo względny oczywiście, ale jednak realny w porównaniu z sytuacją na kontynencie a również i z warunkami w Polsce przed wojną, wyraża się przede wszystkim w tym, że nie cierpi głodu, choć jada zawsze mało i źle w porównaniu ze swym francuskim kolegą: jest to jednak w dużej mierze rezultatem jego braku kulinarnych zainteresowań. Można dzisiaj w Anglii nabywać świetny chleb pszenny bez kartek; ludność nawet zamożna woli standartowy chleb z którego robi się toasty, choć jest niestrawny i niesmaczny. Warzywa jest nadmiar, a że są okropne — to wina ich opłakanego przyrzadzania, nie gatunku. Herbata jest nadal doskonała i stanowi fundamentalne pożywienie narówni z chlebem. Masło jest wciąż straszne, ale Anglik różnicy nie zauważa. Jedyny brak w dziedzinie żywności, który ludność poważniej odczuwa — to mięsa, owego prawie surowego roastbeef'u, pokrajanego na cieniutkie,

żyłaste płatki. Na ogół można twierdzić, że ludność jest całkowicie ze swej „diety” zadowolona. (To nie jest przypadek, że pożywienie nazywa się w Anglii oficjalnie „diet”).

Dobrobyt Anglika zawsze wyrażał się głównie w czym innym niż w jedzeniu. Anglik lepiej mieszka. Co najmniej połowa ludności mieszka w własnych domkach, prawie zawsze z jakimś choćby mikroskopijnym ogródkiem. Dla poziomu wymagań w tej dziedzinie charakterystyczne jest, że powszechnie uważa się mieszkanie młodego małżeństwa z jednym niemowlęciem w jednym pokoju za tragedię wołającą o pomstę do nieba — sytuacje takie były regułą w Polsce nawet w rodzinach inteligentkich, cóż dopiero robotniczych. We wszystkich domach są łazienki, z których ludność korzysta bardziej umiarkowanie niż można by z legend przypuszczać. Nawet w ubogich mieszkaniach będzie zwykle choć jeden fotel klubowy, miękki, wygodny. Najgorzej wygląda kwestia opału — ale tutaj znowuż winne są narodowe upodobania: Anglicy, choć narzekają niezmiennie na klimat i reumatyzmy, uparcie trwają przy swych kominkach, które żadnego porządnego ogrzewania nie dają, okna trzymają wiecznie otwarte i w rezultacie marzną potwornie, zarówno w mieszkaniach jak i w sklepach, biurach, fabrykach itd. Pamiętam — że gdy kiedyś musiałem czekać w biurze paszportowym, podziwiałem, że dwaj urzędnicy za „okienkiem” w postaci żelaznej balustrady mogli w takiej temperaturze wytrzymać i uniknąć zapalenia płuc.

Dalszym „luksusem” Anglika jest komunikacja: autobusy, koleje, kolejki podziemne są doskonałe, komfortowe, dość szybkie, tanie. Anglik dojeżdża do swego miejsca pracy nierównie wygodniej niż jego kontynentalny kolega. Jego zamożność wyraża się również w istnieniu doskonałych, praktycznych i względnie tanich ubiorów roboczych; i tak np. różnych butów ciepłych, gumowych, watowanych itd. dla różnych zajęć w deszczu czy zimnie jest imponująca różnorodność. Obdartus jest tu nader rzadkim zjawiskiem, nawet robotnicy fizyczni wyglądają schludniej niż na kontynencie.

Od lata br. powstała bezpłatna angielska służba zdrowia, kasa chorych na gigantyczną skalę. Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie, ale jako laik stwierdzić mogę, iż w Polsce ludność od kas chorych stroniła jak mogła, każdy starał się wymigać się z tych bezpłatnych dobrodziejstw; tutaj jednak musi być ta służba zdrowia naprawdę sprawna i dobra, skoro nawet inteligenci, ludzie dość zamożni, odczują się na odpowiednie listy wpisują i korzystają z niej nawet gdy chodzi o dentystów, których usługi wymagają wyjątkowo wiele indywidualnego zachodu. Reformy socjalne robią w Anglii wrażenie zawsze bardziej konkretne niż na kontynencie.

To sanio powiedziałbym o innych ubezpieczeniach społecznych. W Polsce wszyscy płaciliśmy składki na „Z.U.P.” — przyznając iż nie widziało się i nie słyszało o ludziach pobierających z tej instytucji zasiłki. Tutaj wszyscy prawie mieszkańcy

powyżej 65 lat pobierają „old-age pensions”: niewiele to, ale te 25 czy 30 szylingów tygodniowo niejednego staruszka czy staruszkę utrzymują przy życiu.

Klasa robotnicza wykorzystwała również poprawę swej doli dla zwiększenia swej płodności. W roku 1947 stopa urodzin była o 50% wyższa od stopy w 1939 — w roku bieżącym lekko zmalała, ale nadal utrzymuje się na b. wysokim, jak na Anglię, poziomie. Oczywiście — dzisiaj, kiedy prawie każde macierzyństwo jest „świadome”, jest to swoisty luksus. Podobnym zbytkiem, to kosztowniejszym, jest przedłużanie życia ludzkiego, które w warstwach mieszczańskich od dawna przekroczyło normę siedemdziesiątki, a obecnie zbliża się do tej granicy i wśród pracujących. Liczba osób powyżej 70-ki wzrosła dwukrotnie w ciągu ostatnich 20 lat. Na dłuższą metę sprawa ta może nabrać kapitalnego znaczenia. Niedawno prasa zanotowała fakt następujący: zmarł emerytowany policjant w wieku lat 98, wstąpił na służbę, mając lat 18, po 30 latach został spensjonowany i przez pół wieku pobierał pełną emeryturę. Oczywiście, był to wypadek wyjątkowy, ale jest rzeczą jasną, że na takie zbytki kraj nie może sobie pozwalać. Jeśliby każdy miał dożyć stu lat — to, oprócz nieletnich, kraj musiałby jeszcze utrzymywać jedną trzecią ludności, złożoną z niedoświadczonych i nieproduktywnych starców. Jeśli medycyna będzie nadal przedłużać wiek ludzki, a nie znajdzie środków na przedłużenie zdolności do pracy choćby do lat 75-ciu — to idziemy ku groźnej katastrofie.

Wrogowie reform rządu Labour Partii podnoszą larum, że robotnik angielski został rozleniwiony deszczem dobrodziejstw, że pracuje gorzej i niechętniej niż przed wojną itd. Skargi te są tak powszechne, że trudno przypuszczać, by były całkiem niezasadnione. Czy nie są jednak przesadne? Nie stykam się z proletariatem fabrycznym, nie mogę więc wyrazić tutaj zdania; — lecz z naocznej obserwacji, a więc np. służby autobusowej, obsługi sklepowej itd. mogę stwierdzić, że w tych dziedzinach przynajmniej zarzuty lenistwa są bezzasadne: sklepówki np. orzą tak jak nigdy w Polsce nikomu orać się nie śniło. Jeśli co zawodzi, to raczej techniczne wyekwipowanie przemysłu, nieraz przestarzałe, to zwłaszcza restrykcyjne praktyki związków zawodowych, które utrzymują szkodliwe i kosztowne monopole (np. w drukarstwie).

Natomiast reformy Partii Pracy zawiodyły zupełnie, jeśli chodzi o uczynienie z robotnika czegoś więcej, niż siły roboczej, dania mu poczucia godności i radości pracy. Nic się pod tym względem nie zmieniło, zwłaszcza w górnictwie, gdzie oczekiwano, iż nacjonalizacja kopalń węgla wpłynie decydująco na mentalność i postawę robotników. Nawet tak pilna reforma jak zamknięcie nieopłacających się kopalń i skoncentrowanie wydobycia w zasobniejszych okęgach (jeden z głównych argumentów zwolenników upaństwowienia tego przemysłu) okazało się nie do przeprowadzenia z powodu oporu górników, którzy nie chcą zmieniać swych siedzib i przeniesić się choćby do sąsiednich mia-

steczek. Realizacja socjalizmu bez poważnej dawki przymusu zawodzi: same apele nie wystarczają.

Minusy procesu socjalizacji występują znacznie bardziej jaszkrawo w innych dziedzinach i są tak znaczne, iż kto wie, czy nie przeważają szali.

Wzrost znaczenia klas niższych wyraził się między innymi niezmiernie silnym wzrostem nacjonalizmu i wybitnej niechęci do cudzoziemców. Pomimo całej frazeologii o braterstwie ludów i solidarności klasy robotniczej całego świata, robotnik angielski jest nierównie bardziej izolacjonistyczny od angielskiej klasy średniej, a już zwłaszcza warstw wyższych. Churchill spędza swe wakacje we Francji, Attlee i Bevin w najlepszym razie pojedają do Irlandii. Konserwatyści mają jakieś zrozumienie dla potrzeb Francji, choćby jej eksportu win, delikatesów i damskich świecidełek; Cripps spokojnie żąda by Francuzi zaopatrywali Anglię w tanią wołowinę, kartofle i bekon. Konserwatyści wiedzą przynajmniej, że jakaś Europa istnieje; robotnik angielski interesuje się trochę tylko czterema krajami: Stanami Zjednoczonymi, Kanadą, Australią i Nową Zelandią, dokąd ewent. może wyemigrować. Francuzów nienawidzi, Włochami gardzi, Niemców się boi, Argentynie chętnie by wypowiedział wojnę. Anglicy zawsze przesadzali swój kosmopolityzm i „friendship” z innymi ludami; ale takiego sabotażu Zachodniej Europy (nie mówiąc już o Wschodniej), takiej orgii niechęci do wszystkiego co nieangielskie (wyraża się to m. in. i silnym antysemityzmem) nie było tu chyba nigdy. Tubylcy zawsze przececali swój „sense of humour”; dzisiaj jednak znikł on bez śladu: najłżejsza krytyka, choćby kuchni angielskiej czy brytyjskich filmów, wywołuje wściekłość, humory, grymasy, opryskliwe uwagi.

Co jeszcze ważniejsze, dawna angielska klasa rządząca miała pewien instynkt polityki zagranicznej, ściśle egoistyczny na pewno, ale względnie trafny (pomijając fatalne pomyłki w latach 1918-39 w stosunku do Niemiec). Klasa robotnicza, która zajęła jej miejsce, wydaje się nie mieć żadnego. Pasywnie *et d'une façon maussade* zraża sobie wszystkich. Nie zdobyła się na wysiłek utrzymania Indii, Burmy i Palestyny; ale Anglia, wycofując się z tych krajów, nie zjednała ich sobie niczym, i na przyjaźń tych narodów liczyć nie może. Podobnie jest z Chińczykami, Malajczykami, murzynami. Jest to dziwny paradoks: rząd angielski utrzymuje drogim sumptem na studiach w Anglii tłumy kolorowej młodzieży z kolonii, a jednocześnie nietyle złym, co niechętnym i pogardliwym traktowaniem zupełnie ją sobie zraża: w rezultacie z Anglii do tych kolonii wracają radykalni inteligenci, pół-bolszewicy, którzy podważają panowanie brytyjskie. To samo da się powiedzieć o emigrantach. Dużo ich tu jest, Anglicy ich nie szykanują, a jednocześnie nie umieją sobie ich przyjaźni zaskarbić. Nawet Amerykanie, Kandyjczycy itd. skarżą się na nieznośny, mrozący, męczący angielski „superiority complex”, poczucie wyższości przesadne w stosunku do obecnych sił i możliwości Zjednoczonego Królestwa.

Impas polityki Bevina, jego jałowość, apatyczność, krótkowzroczność nie są przypadkiem tylko: wyrastają z właściwości angielskiej klasy robotniczej, jej niezdolności do prowadzenia polityki imperialnej, jakiegokolwiek polityki w wielkim stylu.

To samo można powiedzieć i o polityce gospodarczej. Zaciśkanie pasa Cripps'a na krótką metę ratuje funta przed dewaluacją, ale na dłuższą falę nie zapowiada dobrobytu ani dla Anglii, ani dla Europy, ani dla świata. Anglicy nie mogą prowadzić polityki dobrej dla małego, ubogiego kraju, jak Polska (zresztą i w Polsce dała deflacja słabe wyniki), muszą z racji swych możliwości widzieć sprawy en grand. Z punktu widzenia globalnego mają dwie drogi do wyboru: albo rzucić się zdecydowanie w objęcia zachodnio-europejskiej unii celnej i gospodarczej (nie ma ani żdźbła prawdopodobieństwa, by ktokolwiek tutaj tę ewentualność w najskromniejszych bodaj rozmiarach rozważał), albo przenieść połowę swej ludności do dominiów, a tutaj zostawić rodzaj północnego Gibraltaru dla pilnowania szlaków morskich dookoła Europy. I tej ewentualności rząd rozpatrywać nie chce. W rezultacie nie wyobrażam sobie by Anglia miała przeżyć okres prawdziwie wysokiej koniunktury, rozkwit analogiczny do Stanów; wskaźniki może i będą rosnąć, ale poziom życia niewiele się podniesie; kapitalizacja będzie wciąż skromna, co sprawi, że zasobów dla finansowania reszty świata nikt tu nie znajdzie, nawet kolonie będą musiały się oglądać za zastrzykami z Nowego Jorku, a ten marazm i względne ubóstwo będą ciążyły na rozwoju Europy, której sytuacja może łatwo przypominać naszą połączony kontynent między obu wojnami.

Nawet i Anglia, choć tak uprzemysłowiona, nie składa się z samych robotników: jakżeż wyglądają inne warstwy społeczne w ustroju na pół-socjalistycznym, który tu zapanował?

Istnieją nadal wielkie fortuny i wielkie dochody, ale podatek dochodowy zabiera nieprawdopodobną część intraty, a podatek spadkowy zapewnia, że w przyszłym pokoleniu liczba milionerów będzie znakomicie mniejsza. W jednej np. rodzinie londyńskiej zmarli w przeciągu paru lat dziadek, starszy syn (bezdzienny) i młodszy syn, po którym tytuł i majątek przeszły na małoletniego synka; fortuna rodowa na tych kolejnych spadkach zmalała z 3 milionów funtów do pół miliona. Można wzruszyć ramionami i powiedzieć: mamy też czym się martwić! Opodatkowanie bogatych na jednak i jaskrawo ujemne skutki: wywołuje ruinę starej arystokracji politycznej i ziemiaństwa, które tradycyjnie Anglią rządziły; wielkie pałace zostają zamieniane na szkoły, kolekcje obrazów wędrują do Ameryki, parki znikają, i co najważniejsze, powstaje nieprzewidywalna pokusa malwersacji podatkowych. Zło to nie doszło do rozmiarów notowanych we Francji: tym niemniej moralność podatkowa, jeszcze niedawno najwyższa na świecie, gwałtownie się załamuje. Z całą pewnością różni potentaci finansowi, więksi i mniejsi, składają fałszywe zeznania podatkowe; celują w tym Żydzi, ze skutkami, które łatwo odgadnąć. Kapitalizacja na tym też cierpi, oszczęd-

ność spada. Wzrasta chęć do spekulacji, hazardu, szybkich a podejrzaných geszeftów. Angielska solidność doznała poważnego ciosu. Przeciężenie podatkowe może tu wywołać skutki podobne do tych, które inflacja sprowadziła na Francję: nadużycia, przekupstwa, grynderkę, życia w kolizji z prawem, w ostatecznym rachunku dekapitalizację. Trybunał w sprawie afer naszego genialnego „rodaka” Wulkana-Stanley’a, był pierwszym dzwonkiem alarmowym. Ustrój kapitalistyczny nie może istnieć bez moralności podatkowej, bez pewnego poziomu moralnego warstw zamożnych. Ustrój gospodarczy Anglii zaczyna bardziej upodobniać się do stosunków w Polsce czy Niemczech przedwojennych, odbiegać od pojęć, które w ciągu wieków opromieniły londyńską City blaskiem powagi, pomnożyły jej zasoby nieograniczonym kapitałem zaufania.

Podobnie przedstawia się i sytuacja warstw średnich. Przed wojną sędzia pobierający 5 tys. funtów rocznie i płaćący około 1 tys. ft. podatku dochodowego, był człowiekiem bardzo bogatym. Dzisiaj na rękę pozostaje mu około 2 tys. ft. (zamiast 4), a siła kupna funta zmalała o połowę, faktycznie więc jego uposażenie zmalało o 75%. To samo dotyczy wszystkich urzędników, dotyczy rentierów, dotyczy pisarzy, dotyczy lekarzy, którzy obecnie stali się przeważnie urzędnikami ministerstwa zdrowia. Standard życiowy tych warstw się obniża. Rośnie przepaść między nimi a warstwą businessmenów. Korupcja podnosi głowę. Fama ją zapewne przesadza, ale jest faktem, że coraz głośniej ludzie o niej mówią. Jeśli zaś administracja jest skorumpowana, to jakżeż można przez czas dłuższy uniknąć czystek, rugów i innych objawów państwa „okresu schyłkowego”, by użyć terminologii mego znakomitego kolegi P. Hostowca.

Biurokracja wzrosła w dwójnasób od 1939 r. Jak dotąd, działa dość sprawnie — ale powoli. Opóźnia procesy gospodarcze. Zdobywanie różnych pozwoleń itd. stanowi już specjalny zawód, jak i w Polsce. Rząd czy nawet poszczególne departamenty mogą faworyzowaniem jednych czy drugich, rozdawać fortuny lub ludzi niszczyć. Ileż tu pokus! Uzależnienie świata gospodarczego od rządu jest już dzisiaj całkowite: na razie rząd szych możliwości nie nadużywa, ale czy długo wytrwa na drodze cnoty?

Inicjatywa i przedsiębiorczość poszczególnych Anglików, a w szczególności kupców i przemysłowców wybitnie zmalały. Wzrosła apatia, oglądanie się za pomocą państwa, unikanie wysiłku. Na każdym kroku, w każdym interesie odczuwa się twardy gorset reglamentacji. Obywatel traci poczucie odpowiedzialności, nawet pojęcie wolności staje się pewnego rodzaju fikcyjnym bóstwem, któremu wszędzie palą kadzidła, ale które z życia codziennego ucieka i znika. Państwo staje się merkantylistyczne i paternalistyczne. Coraz bardziej tylko już „grube ryby” mogą marzyć o wywieraniu wpływu. Prasa jest mniej niezależna niż dawniej. Finansiści stracili wszelki wpływ, banki zależą od Banku Angielskiego, ten zaś od Treasury. Związki zawodowe są trzymane mocno w karchach przez centralę T.U.C. W obu par-

tiach politycznych dyscyplina została zaostrzona, „buntownikom” jest coraz trudniej dojść do głosu. Obywatel staje się śrubką w olbrzymiej maszynie, jest bezradny wobec sił, które go otaczają.

Na tej omnipotencji państwa rośnie szarżyzna, zanik radości życia i zobojętnienie. Apele do sumień nie budzą echa: bezeczeństwa sowieckie przechodzą np. bez wrażenia. Wszystkie kampanie, zmierzające do zmobilizowania opinii na rzecz jakiejś sprawy kończą się przegraną; nawet komunistom i fellow-travellerom nie udało się podniecić kraju przeciw reżimowi greckiemu, akcja na rzecz „dobrych Niemców” też ugrzęzła, o innych próbach szkoda wspominać. Anglicy są zmęczeni — rząd obecny ma znacznie bardziej dyktatorską władzę niż gabinety Baldwin’a i Chamberlain’a, bez mała tyleż co Churchill w chwili gdy Anglia znajdowała się pod ostrzałem niemieckim, walczyła o swoje życie.

Tu leży sedno rzeczy. Anglia wyznaje religię materialistyczną od zarania XIX w. Ale liberalizm i jego pierwszy artykuł-credo — wolny handel — potrafił stać się namiastką religii, natchnął tłumy prawdziwą wiarą i duchem prozelityzmu. Głosząc wolny handel i ustrój parlamentarny, Anglia zwycięsko kroczyła po świecie. Dzisiaj Bevin i Dalton oficjalnie twierdzą, że socjalizm powtórzy ówczesne triumfy, że pod jego egidą Europa się zjednoczy a obawy totalitarne pękają. Lecz nikt w to nie wierzy. Anglicy godzą się z socjalizmem nie dlatego, by wiele sobie po nim obiecywali, lecz dlatego, że przestali ufać wszystkim innym formułkom i programom. Są psychicznie starzy. Są wyjąłowieni. Są cyniczni i rozgoryczeni. Są w stanie powiedzieć czego nie chcą; nie potrafią oni tylko sformułować ale nawet ustalić czego pragną.

Myślę, że Anglia przy obecnym pół-socjalizmie pozostanie. Nie oczekuję odwrócenia obecnego kierunku nawet w razie nieprawdopodobnego zwycięstwa wyborczego konserwatystów. Churchill się starzeje, a poza nim torysi mają same rozpaczliwe miernoty, z Eden’em na czele. Anglia nie może odwrócić się od socjalizmu, bo przestała wierzyć w Anglika (nie mówiąc już o człowieku).

Anglia podźwignąć się bez Europy nie może, a podźwignąć jej nie umie i nie chce. Wchodzi w zakres skostnienia i będzie czujnie przeciwdziałać, by nasz kontynent się nie obudził. Będzie gderliwą ciotką, nie Prometeuszem.

Od strony czysto politycznej, trudno oczekiwać większych zmian, ale trzy czynniki, niezależne od polityki wewnętrznej, mogą obecny okres zmurszenia i starzenia się przerwać względnie głęboko zmodyfikować. Są to: wojna, emigracja i zmiany religijne.

Jeśli chodzi o wojnę, to obecny stan zagrożenia, który Anglicy świetnie wyczuwają, sprzyja najgorszym tendencjom obecnej ewolucji — omnipotencji państwa, przeciężeniu podatkowemu, reglamentacji całego życia, mordowaniu indywidualnej woli,

roli i wolności. Zniknięcie niebezpieczeństwa rosyjskiego rozbiłoby okowy, które Anglicy sami sobie nakładają, Foreign Office i Scotland Yard przestałyby myśleć za całą wyspę. Oczywiście, o ileby do wojny doszło dopiero po uzyskaniu przez Rosję bomby atomowej, to Anglia z wojny zwycięskiej wyszłaby mniej więcej tak, jak Francja z Libération.

Migracja. Z Anglii obecnie emigruje około stu tysięcy osób rocznie; ubytek ten jest wyrównywany przez przybyszów z Irlandii, kontynentu i Imperium (murzyni z Indii Zachodnich itd.). Cyfrowo są to ruchy zbyt słabe, by silnie wpłynąć na przebieg wypadków. Ale gdyby emigracja osiągnęła poziom pięciuset tysięcy ludzi rocznie (a jest to możliwe i nawet łatwe), to skutki byłyby poważne. Państwo-moloch musiałoby porobić koncesje na rzecz obywatela. Musiałoby czymś go przyciągnąć, dbać o jego zadowolenie, przestać go uważać tylko za surowiec statystyczny, podatnika, rekruta i siłę roboczą. Emigracja była zawsze czynnikiem silnie liberalizującym ustrój społeczny.

Wreszcie ruchy wyznaniowe. Anglicy są naprawdę narodem głęboko religijnym, choć dzisiaj przeważnie indyferentnym. Są, ponieważ zainteresowania teologiczne są tutaj zawsze najżywsze — i dysputy religijne są jedyną formą intelektualnej dyskusji, na którą można Anglika namówić. Obecne skostnienie Anglii silnie się łączy z uwiązaniem oficjalnego kościoła anglikańskiego. Wielka epoka liberalizmu wiązała się silnie z rozwojem sekciarstwa, tzw. non-conformistów. Dzisiaj i oni przeżywają okres głębokiego upadku. Wytwarza to pustkę, której dogmaty socjalistyczne nie wypełniły. Jak słusznie napisał Zweig w rozprawie, która tu wywołała ogromne echo (jedyne polski autor, który stworzył sobie tutaj nazwisko) ewangelia sproprowadzona do „full employment” i nacjonalizacji nie zaspokoila głodu duchowego ludności, a dała tylko poczucie pustki i głębokiego wewnętrznego niezadowolenia. Na razie szowinizm i rasizm dają Anglikom pewną namiastkę wiary, ale to nie wystarcza; Anglicy nie mają kompleksu niższości, bez którego nacjonalizm do stanu białej gorączki dojść nie może. Więc jedno z dwojga: albo protestantyzm się jakoś odrodzi, albo też nastąpi wielki renesans katolicki.

Ten jest możliwy. Bardziej możliwy tutaj niż we Francji czy w Polsce. Istnieją dwa warunki takiego odrodzenia: znakomite duchowieństwo i żarliwi, surowi, pełni zapału i prozelityzmu fanatycy, głównie wśród konwertytów. Liczba nawróceń — wielu głośnych — wzrasta, a ostatnio ślub katolicki pierwородnego syna arcybiskupa Canterbury, anglikańskiego prymasa, stał się sensacją na miarę omalże abdykacji Edwarda VII. Nawrócenie Anglii zabiłoby duchowy izolacjonizm brytyjski, nareszcie uczyniłoby Anglię częścią Europy, przekreśliłoby podstawy angielskiego rasizmu. Na razie Anglicy wolą socjalizm, bo czują dobrze, że wobec perspektywy tak ogromnej rewolucji, obecne przewroty gospodarcze są dziecinną zabawką, która odrębności Anglii w niczym nie zagraża.

W. A. Zbyszewski.

Najnowsza historia Polski

Gdyby w 1933 r. usłuchano Józefa Piłsudskiego

Druga wojna światowa zaczęła się 1 września 1939. Ale decyzja tej wojny zapadła o sześć lat wcześniej. Rok 1933 jest rokiem kluczowym w historii współczesnej, gdyż wówczas musiało rozstrzygnąć się czy niebezpieczeństwo grożące światu zostanie zduszone w zarodku, czy też pozwoli mu się tlić tak długo, aż wybuchnie pożarem światowym. Rok 1933 jest rokiem największej historycznie okazji ocalenia pokoju śmiesznie małym kosztem i zarazem rokiem tragicznego bankructwa polityki, która tę okazję zmarnowała. Wprawdzie i później jeszcze pojawiały się okazje nie bylejakie, ale z pewnością moment roku 1933 był jedyny w swym rodzaju.

30 stycznia 1933 Adolf Hitler objął władzę nad Niemcami. W tym dniu świat powinien był powiedzieć sobie, że Niemcy wkraczają na drogę wojny i że uderzą, gdy tylko będą gotowe. Przecież Hitler bynajmniej uprzednio nie ukrywał swych intencji; z rozbijającą szczerością wyłożył swój program w *Mein Kampf*. Ale cóż, nie chciano mu wierzyć. Wolano wmawiać sobie, że co innego książka agitatora, a co innego działalność odpowiedzialnego szefa rządu.

Hitler natychmiast przystąpił do rozbudowy zbrojeń niemieckich. Oczywiście nie po to by odbierać defilady na Parteitagen w Norymberdze! „Być może będę oskarżony o to, że ciągle chcę walczyć. Widzę w walce przeznaczenie każdej istoty. Nie po to zorganizowałem siły zbrojne by nie walczyć. Decyzja uderzenia zawsze tkwiła we mnie” — powiedział Hitler na tajnej odprawie wyższych dowódców 23 listopada 1939. Ale nie trzeba było z pewnością jego wyznań by zdać sobie z tego sprawę, że wojna była jego celem jego racją bytu. Zbrojenia były oczywistym i jawnym przygotowaniem do wojny. Wolano jednak w siebie wmawiać, że Hitler zbroi się tylko w imię honoru narodowego i „równości praw”.

W tym momencie i jeszcze przez czas dłuższy Hitler oczywiście wojny nie chciał. Wiedział, że upłyną lata zanim Niemcy będą gotowe i że tymczasem wojna groziłaby niemalże natychmiastową katastrofą. Toteż po dojściu do władzy Hitler nie tylko nie chciał wojny, ale nawet bał się jej panicznie. Drżał ze strachu, że jego przeciwnicy nie pozostawią mu czasu na przygotowanie się i uderzą prewencyjnie na Niemcy. Wiedział, że byłby to koniec jego rządów i jego marzeń o odwecie.

Dlatego też wówczas, jak zresztą i w następnych latach słowo „pokój” nie schodziło z jego ust, tak jak dziś nie schodzi z ust Stalina. W każdym przemówieniu ponawiane są zapewnienia o pokojowych zamiarach Trzeciej Rzeszy. A Zachód jest tak złąkniony pokoju, że stara się w nie wierzyć.

Ostrzeżeń nie brak. Są ludzie którzy mają odwagę powiedzieć, że jeszcze pokój może być uratowany i że nawet nie trzeba wojny prewencyjnej: wystarczy gotowość użycia siły. Niemiecki emigrant Leopold Schwarzschild pisze w książce wydanej na początku 1934: „...Ostatnia to chwila dla uświadomienia sobie, że w razie groźby wojny brutalne zadokumentowanie siły jest jedynym sposobem zapewnienia pokoju... Metoda jest prosta. Opiera się na fakcie, że Niemcy nie będą przez szereg miesięcy w stanie stawić czoła skoncentrowanej sile wojskowej Francji, nie mówiąc już o sile grupy państw. W ciągu tego krótkiego okresu niekompletnych zbrojeń i tylko w tym okresie — musiałyby one z absolutną pewnością ponieść drugoczą klęskę, jeśliby głos uzyskały armaty. To w sposób kategoryczny zapewne gwarantuje że armaty nie zaczną grać... Co jest konieczne dla przezwyciężenia tej groźby, która ciąży nad Europą? Rzecznicy wojny w powietrzu i na lądzie mogą ustalić listę: Europa która rozumie wymagania chwili, która wie jak przemawiać w sposób zrozumiały do nowych władców Niemiec, osiągnie wszystko co chce ostrzem swych bagnatów, — bez potrzeby użycia choćby jednego bagnetu, bez przelania jednej kropli krwi. Siłą, a jednak bez wojny może być zatrzymane staczenie się Europy ku wojnie na zniszczenie. Ale tylko siłą. I tylko w ciągu kilku jeszcze miesięcy. Wojna nie musi nastąpić natychmiast po upływie tych kilku miesięcy; może ulec odroczeniu na czas dłuższy, być może nawet na lata. Jednakże gdy tych kilka miesięcy upłynie, niczemu już nie będzie można zapobiec”.

Siłą, a jednak bez wojny.... Te słowa określały wielką okazję pierwszego okresu rządów Hitlera. Ocena Schwarzschilda, w pełni słuszna jeszcze w roku 1934, a nawet — wbrew jego przekonaniu — w dwu latach następnych, tym bardziej odpowiadała prawdzie gdy chodziło o rok 1933. Najlepszy pod każdym względem moment dla zrobienia użytku z siły w imię pokoju przypadł wówczas.

Mężem stanu, który w pełni zdawał sobie z tego sprawę, był Józef Piłsudski. On też wkrótce po objęciu przez Hitlera władzy

podjął inicjatywę zlikwidowania w zarodku niebezpieczeństwa grożącego Europie.

Inicjatywę tę określa się zazwyczaj mianem „wojny prewencyjnej”. Ale określenie to jest niesłuszne. Odwołanie się w tym momencie do argumentu siły nie oznaczało jeszcze bynajmniej wojny, której Niemcy nie byli w stanie prowadzić. Oczywiście pewne ryzyko wojny istniało, ale można śmiało powiedzieć, że Piłsudski proponował wówczas nie wojnę prewencyjną, lecz międzynarodową akcję policyjną.

Inicjatywa Piłsudskiego osnuta jest mgłą tajemnicy. I to tajemnicy tak wielkiej, że obawiać się trzeba, iż nigdy nie poznamy całej prawdy o tej historycznej próbie uratowania Europy. Nie jesteśmy w stanie powiedzieć z całą pewnością kiedy inicjatywa ta miała miejsce: podawane są różne terminy od stycznia do maja 1933, a także inne na jesieni tego roku. Nie możemy też ustalić definitywnie formy, w jaką propozycja akcji prewencyjnej została ubrana. Ludzie, którzy znają szczegóły, nie żyją, przynajmniej jeśli chodzi o Polaków. A Francuzi i ewentualnie Anglicy, którzy by mogli uchylić rąbka tajemnicy, jak dotąd milczą.

W archiwach dyplomatycznych polskich nie pozostało żadnego śladu tej inicjatywy. Ale temu nie należy się dziwić: chodziło o sprawy najtajniejsze z kategorii tych, które niechętnie powierza się papierowi. Przy tym, Piłsudski nie miał zaufania do nawet najbardziej oddanych dyplomatów. Wolał posługiwać się wojskowymi. Toteż w tym zwłaszcza wypadku ministerstwo spraw zagranicznych samo nie wiedziało o podjętej przez Piłsudskiego inicjatywie.

W Paryżu również dyplomaci nie wiedzieli o niczym. Propozycja polska skierowana została nie na Quai d'Orsay, lecz przedłożona czynnikiowi wojskowemu. Nie można więc szukać jej śladów w archiwach francuskiego MSZ. Ówczesny minister spraw zagranicznych Paul Boncour stwierdza, że nigdy o niej nie słyszał.

Choćbyśmy jednak nigdy nie mieli dowiedzieć się szczegółów i uzyskać pełnego obrazu tej inicjatywy, jedna rzecz nie ulega wątpliwości: sam fakt, że taka propozycja została uczyniona nie może być kwestionowany. Istnieje szereg relacji dziennikarskich powołujących się na źródła dobrze poinformowane, a zawarte w nich informacje nigdy nie spotkały się z zaprzeczeniem. Toteż nawet najzawziętsi wrogowie Polski i Piłsudskiego nie kwestionują, że inicjatywa miała miejsce.

Tak np. sowiecka oficjalna *Historia Dyplomacji* pisze: „W marcu 1933 r. polski marszałek Piłsudski informował rząd francuski, że Niemcy naruszając Traktat Wersalski usilnie się zbroją, marząc o odwecie. Marszałek proponował przeciwdziałanie temu niebezpieczeństwu; wyłącznie dyplomatyczne wystąpienia nie odniosą skutków wobec Berlina. Piłsudski oświadczał, że wojska polskie gotowe są w każdej chwili wystąpić przeciwko

Niemcom, jeżeli Francja poprze Polskę w razie wojny polsko-niemieckiej. Francuska dyplomacja dała Piłsudskiemu odpowiedź odmowną”.

Z chwilą, gdy publikacja sowiecka o najbardziej oficjalnym charakterze, w ten sposób się wypowiedziała, nikt już w Polsce pod okupacją nie ważył się twierdzić, że inicjatywy tej nie było. Z pewnością zresztą Moskwa nie wystawiłaby Piłsudskiemu takiego świadectwa, gdyby sprawa nie była bezsporna.

Zresztą jeśli nie znamy szczegółów propozycji Piłsudskiego, to jego demonstracyjny gest z tego okresu mówi więcej, niż niejedna pisana nota. Ładowanie oddziałów polskich na Westerplatte w dniu 6 marca 1933 pozostaje w najściślejszym związku z próbą doprowadzenia do rozgrywki, która by zapewniła pokój. Znowu najbardziej miarodajnym będzie świadectwo człowieka, który nie odczuwał specjalnej sympatii dla ówczesnej polityki polskiej, ambasadora Francji w Berlinie François-Poncet'a, który w swych „wspomnieniach z ambasady w Berlinie” pisze o tym „dziwnym epizodzie”:

„W kancelariach dyplomatycznych i w Genewie zapanowało natychmiast duże poruszenie. Co znaczył ten gest, którego motywów nie rozumiano i który zakrawał na prowokację wobec Niemiec? Natychmiast interwenionowano w Polsce, zaklinając ją, by nie wywoływała konfliktu, którego wyniku nie można było przewidzieć. Po niewielu dniach oddział zaokrętował się i kontrtorpedowiec zniknął. Wielu ludzi nie rozumiało sensu inicjatywy polskiej”.

„W rzeczywistości wydaje się, że marszałek Piłsudski bardzo szybko zrozumiał niebezpieczeństwo na przyszłość, które wynikało z dojścia do władzy narodowego socjalizmu i reżimu hitlerowskiego. Wydaje się że zrozumiał, iż trzeba zdusić to niebezpieczeństwo, zmiążyć je w zarodku, zanim nie stanie się zbyt groźne i że pragnął przez stworzenie w sposób sztuczny incydentu wy badać nastroje polityczne i determinację Aliantów. Czy potrafią wykorzystać okazję, którą im ofiarował? Alianci ograniczyli się do zarzucania rządu w Warszawie swymi zakłębieniami. Piłsudski wyciągnął z tego konsekwencje...”

Można do tego dodać, że chodziło nie tylko o wybadanie nastrojów zachodu i wypróbowanie jego gotowości działania. Ponadto Piłsudski pragnął zademonstrować słabość Niemców, którzy nie byli w stanie zareagować na tak oczywistą prowokację. Ładowanie na Westerplatte, które było oczywistym naruszeniem postanowień traktatowych znaczyło: Patrząc Niemcy dziś są bezsilne; jutro, gdy się dozbiorą, będą natomiast groźne; działajmy więc póki czas. Teraz osiągnąć możemy wszystko bez przelewu krwi. Ale tego nie chciano na Zachodzie zrozumieć.

François-Poncet niesłusznie twierdzi, że Piłsudski wyciągnął konsekwencje z nieudania się tej próby. Konsekwencje wyciąg-

nał, ale dopiero znacznie później, a tymczasem nie dał za wygraną. Istotnie wszystko wskazuje, że właściwa próba nakłonięcia sztabu francuskiego do działania podjęta została dopiero po tej daremnej akcji dla obudzenia dyplomacji francuskiej i brytyjskiej. Być może Piłsudski powiedział sobie, że skoro nie rozumiano o co chodzi, trzeba przemówić bardziej jasno, choć już nie publicznie.

Spośród różnych relacji, jakie istnieją na temat inicjatywy Piłsudskiego, najbardziej wiarygodna wydaje się relacja Roberta Della w książce pt. *The Geneva Racket*, ogłoszonej w r. 1941. Nieżyjący już dziś Dell, wieloletni korespondent *Manchester Guardian* w Genewie, był jednym z największych dziennikarzy XX wieku. Należał do ludzi nieustraszonej waleczności o swe ideały i bezwzględnych gdy chodziło o prawdę. W stosunku do polityki Piłsudskiego i Becka nastrojony był zdecydowanie krytycznie: nie można więc podejrzewać go, by chciał cokolwiek upiększać, a tym bardziej by sfabrykował swe opowiadanie. Przy tym Dell podaje najwięcej szczegółów inicjatywy Piłsudskiego. Skąd je wzięł, pozostaje tajemnicą, którą zabrał ze sobą do grobu.

Oto jego relacja:

„W kwietniu 1933 marszałek Piłsudski zaproponował rządowi francuskiemu wspólną akcję Francji, Polski i Małej Ententy dla zapobieżenia dozbieraniu się Niemiec. Pierwszym krokiem byłoby zażądanie od Ligi Narodów, by zbadała zbrojenia Niemiec na podstawie artykułu 213 Traktatu Wersalskiego, który zapewniał takie dochodzenie jeśli wypowiadała się za nim większość głosów. Gdyby Francja i Anglia zgodziły się na propozycję Piłsudskiego, to większość w Radzie Ligi znalazłaby się bezwzględnie. Gdyby Hitler odmówił zgody na tę inwestycję, a odmówiłby niemalże na pewno, inne kraje zainteresowane miałyby prawo podjąć akcję na podstawie Traktatu Wersalskiego i układu haskiego ze stycznia 1930. Armie Francji, Polski i Małej Ententy zajęłyby większą część terytorium niemieckiego, prawdopodobnie Bawarię, Saksonię i Prusy Wschodnie, jak również Nadrenię. W tym czasie Niemcy były niezdolne do stawienia skutecznego oporu i jeżeliby Hitler próbował opierać się siłą, byłby szybko i z łatwością pobity. Francuski sztab generalny wypowiadał się za propozycją Piłsudskiego, ale rząd francuski odmówił swej zgody. Nie jestem w stanie powiedzieć z pewnością, że rząd brytyjski był konsultowany, ale trudno sobie wyobrazić by nie był. Gdy przejeżdżałem przez Paryż w lecie 1933 w drodze powrotnej z Londynu — gdzie przebywałem na konferencji gospodarczej — do Genewy miałem rozmowę na temat propozycji Piłsudskiego z bliskim współpracownikiem p. Daladier, który w trakcie tej rozmowy powiedział, że rząd francuski byłby się może zgodził na propo-

zycję, gdyby rząd brytyjski był skłonny posłać flotę brytyjską do Hamburga. Wyciągnąłem stąd wniosek, że rząd brytyjski był o to proszony, ale odmówił”.

Tyle Dell. Czy jego relacja jest ścisła — powiedzieć niepodobna. Jednak nie ma powodu wątpić w trafność jej, jeśli chodzi o zasadnicze linie wytyczne. Z pewnością punktem wyjścia były złamane klauzule rozbrojeniowe i z pewnością chodziło o akcję na podstawie Traktatu Wersalskiego. Dell ma także rację, gdy zakłada, że akcja proponowana przez Piłsudskiego mogła być doprowadzić do załamania się reżimu hitlerowskiego, który liczył sobie wówczas dopiero trzy miesiące życia i nie posiadał solidnych podstaw. Okazja była wyjątkowa. I zmarnowana została także w sposób wyjątkowy.

Szczegółem może najtrudniejszym do ustalenia, a niezmiernie ważnym jest dokładna data propozycji Piłsudskiego. Dell mówi o kwietniu, natomiast inni kronikarze epoki przedwojennej podają terminy wcześniejsze i późniejsze, przeważnie marzec. Jeden z nich mówi nawet o maju, łącząc inicjatywę polską z mową von Papena, który wywołał powszechne poruszenie w świecie, oświadczając że tylko śmierć na polu bitwy jest godna mężczyzny i że wojna jest dlań równie naturalnym przeznaczeniem, co rodzenie dzieci dla kobiety. Ta mowa stworzyła atmosferę niepokoju w świecie, która sprzyjałaby może propozycji polskiej. Ale wszystko wskazuje na to, że zgłoszona ona została znacznie wcześniej.

Logicznie rzecz biorąc, wydaje się najbardziej prawdopodobne, że uczyniona została w marcu, bezpośrednio po demonstracji na Westerplatte w dniu 6 marca, a przed 18 marca, kiedy to premier brytyjski Macdonald udał się do Rzymu i wyraził zgodę na nieszczęsny pakt czterech — W. Brytanii, Francji, Niemiec i Włoch. Po tej decyzji Piłsudski nie miałby już żadnego powodu sądzić, że istnieje jakaś szansa pozyskania Zachodu dla idei użycia siły wobec Niemiec: pakt czterech był przecież najbardziej oczywistym symbolem polityki kapitulacyjnej Zachodu.

Toteż po tym pakcie Piłsudski musiał dojść do wniosku, że zdany jest na własne siły. Ówczesny stan rzeczy między Polską, a Niemcami, — stan wielkiego napięcia i ciągłych incydentów — nie mógł trwać wiecznie. Polska stawała wobec wyboru: bądź wojować z Niemcami sama, nie oglądając się na Francję, bądź też szukać porozumienia bezpośredniego.

Wojna z Niemcami w tych warunkach była rzeczą bardzo ryzykowną. Przy bierności zachodu nie można było liczyć na szybką kapitulację Hitlera. To już nie byłaby operacja policyjna, lecz prawdziwa wojna. Przy swym słabym potencjale wojennym Polska nie mogła liczyć na zwycięstwo. Co najwyżej wolno było spodziewać się, że jeżeli raz do wojny dojdzie, Francja nie będzie mogła pozwolić na zwycięstwo Niemiec i zmia-

dzenie swego głównego sojusznika. Było to jednak ogromne ryzyko.

Niemniej jednak Piłsudski zdecydowany był postawić sprawę albo-albo. Dążąc do odprężenia w stosunkach polsko-niemieckich jednocześnie gotów był wojować, o ile by porozumienie skazało się niemożliwe. Podjął akcję, która była czymś w rodzaju ultimatum dla Niemiec.

2 maja ambasador Polski w Berlinie zgłosił się do Hitlera i wskazując na prowokacyjne incydenty na granicy zapytał wprost, czy Hitler chce wojny czy pokoju. Piłsudski był już w tym momencie przygotowany na obie ewentualności. W szczególności wydane były rozkazy przetransportowania na granicę 5 dywizyj.

Hitler odpowiedział, że pragnie szanować traktaty. Nie mógł odpowiedzieć inaczej, skoro wojny — nawet zlokalizowanej — jeszcze w tym momencie prowadzić nie chciał. W stosunkach polsko-niemieckich następowało odprężenie.

Ale Piłsudski bynajmniej nie rezygnował ze swej koncepcji. Czekał jedynie na sposobniejszą chwilę, a tymczasem starał się wzmocnić pozycję Polski przez poprawę stosunków z Sowietami. Wkrótce po rozmowie Wysocki-Hitler wysłał redaktora *Gazety Polskiej* Bogusława Miedzińskiego do Moskwy z misją zapewnienia Kremla, że Polska nigdy nie pójdzie z Niemcami przeciw Rosji i że pragnie dobrych stosunków sąsiedzkich. W tym czasie Hitler wygłaszał szczególnie pacyfistyczne przemówienie, obliczone na uspokojenie nastrojów po mowie von Papena.

Moment dla ponownego podjęcia idei akcji prewencyjnej wspólnie z Francją przychodzi na jesień, gdy pakt czterech nie zostaje ratyfikowany i gdy Hitler decyduje się na dalszy krok prowokacyjny, a mianowicie wystąpienie z Ligi Narodów. W atmosferze ogólnego poruszenia po tym geście z 14 października, Piłsudski raz jeszcze — jak twierdzi Dell — próbuje nakłonić Francję do działania. Ale Francja znowu odpowiada: nie.

Dopiero teraz Piłsudski decyduje się na dalszy krok wobec Niemiec. 15 listopada nowy poseł w Berlinie, Lipski, odwiedza Hitlera i nawiązując do wystąpienia Niemiec z Ligi Narodów oświadcza tonem groźby, że marszałek Piłsudski nie chce obciążać atmosfery pomiędzy obu krajami podjęciem kroków dla wzmocnienia bezpieczeństwa Polski. Dlatego zapytuje czy Hitler nie widzi możliwości skompensowania w stosunkach polsko-niemieckich elementu bezpieczeństwa, który ubywa na skutek wycofania się Niemiec z Ligi. Hitler w odpowiedzi rozwiódł się długo nad tym, jak bardzo przeciwny jest wojnie. Rezultatem był komunikat o wyrzeczeniu się siły w stosunkach wzajemnych i oferta paktu nieagresji.

Piłsudski jeszcze gotów był czekać na zmianę stanowiska Francji. Wyjechał do Wilna, aby spowodować zwłokę w rozmowach z Niemcami. Niestety z Paryża nie przyszło nic. I 26 stycznia 1934 został podpisany pakt nieagresji. Idea wojny czy akcji prewencyjnej należała do przeszłości.

Wytrwałość i cierpliwość okazana przez Piłsudskiego w ciągu prawie roku i ociąganie się z zawarciem paktu z Niemcami w nadziei, że Francja jednak zrozumie niebezpieczeństwo niemieckie, same już obalają absurdalną tezę wysuwaną na temat inicjatywy wojny rewolucyjnej przez propagandę sowiecką. Nie będąc w stanie przejść nad tą inicjatywą do porządku dziennego, wymyśliła ona teorię, według której propozycja była nie-szczera i obliczona jedynie na stworzenie „alibi” dla polityki porozumienia z Niemcami.

Tezę tę sformułowała wspomniana już oficjalna **Historia dyplomacji**, według której „propozycja wojny rewolucyjnej przeciw Niemcom była ze strony Piłsudskiego prowokacją w stosunku do Polaków, zwolenników sojuszu z Francją. Przygotowując sojusz z Niemcami, Piłsudski udawał przeciwnikom tego sojuszu, że na Francji polegać nie można”.

Twierdzenie to jest nonsensem już choćby dlatego, że o sojuszu z Niemcami nigdy nie było mowy. Niemniej przeto teza ta jest nadal lansowana w Sowietach i w Polsce pod okupacją, przy czym powtarzają ją niektórzy nie-komuniści, których nienawiść do Piłsudskiego jest silniejsza, niż dążenie do prawdy. Toteż warto ją rozpatrzyć nieco bliżej.

Gdyby rzeczywiście Piłsudski szukał jedynie pretekstu dla wykazania, że na Francję nie można liczyć i że trzeba szukać porozumienia z Niemcami, to z pewnością mógłby sobie bardzo uprościć zadanie. Wysunąłby tę propozycję jednorazowo i w obliczu odmowy natychmiast próbowałby dogadać się z Hitlerem. Tymczasem, jak widzieliśmy, próbował na wszystkie sposoby, podejmował tak ryzykowne kroki jak demonstracja na Westerplatte, nie zrażał się odmową, lecz ponawiał propozycję kilkakrotnie. Nawet gdy już miał konkretną ofertę Hitlera, jeszcze grał na zwłokę.

Z drugiej strony, jeśli chodziło jedynie o wykazanie zwolennikom sojuszu z Francją, że nie można na nią liczyć, to niewątpliwie od razu szeroko roztrąbiono o jej odmowie. Tymczasem cała sprawa trzymana była w największej tajemnicy. Dopiero po latach wychodzi ona na jaw i to w momencie, gdy sprawa należała już do historii.

Wreszcie Piłsudski miał prawo liczyć, że istnieje przynajmniej dobra szansa przyjęcia jego propozycji. Nikt nie może mu zarzucić, że przecenił Francję, ale przy całej swej rezerwie i trzeźwej ocenie polityki francuskiej, nie mógł z góry zakładać, że będzie aż tak samobójcza. Propozycja, którą formułował, była prawnie nie do zakwestionowania, gdyż opierała się na kategorycznych postanowieniach Traktatu Wersalskiego; politycznie była aktem zdrowego rozsądku; militarnie nie oznaczała niemalże żadnego ryzyka wobec druzgocącej przewagi przeciwników Niemiec. Gdy tak wszystko przemawiało za nią, przeciw niej grała jedynie nieprzygotowana opinia publiczna i paraliż woli, który w pełni jednak zarysował się dopiero w latach późniejszych. Nie

można było więc w każdym razie powiedzieć, że negatywny wyrok przesądzony był z góry.

Zresztą sami Niemcy liczyli się poważnie z akcją zbrojną ze strony swych sąsiadów. Świadczą o tym nie tylko owe ciągłe pokojowe deklamacje Hitlera, z których przebijała obawa przed przedwczesnym konfliktem, ale — rzecz bardziej konkretna — zarządzenia wojskowe. Wśród dokumentów ujawnionych w Norymbardze znajduje się m. in. zarządzenie, wydane przez gen. Blomberga, ówczesnego szefa Reichswehry, z dn. 25 października 1933, a więc w tydzień po wystąpieniu Niemiec z Ligi Narodów i w momencie gdy Piłsudski ponawiał swą propozycję. W dyrektywie tej Blomberg zaznacza, że trzeba brać pod uwagę możliwość zastosowania przez Francję sankcji wojskowych i przyciągnięcia do tej akcji Polski, Belgii i Czechosłowacji. Wylizując różne możliwości działania Aliantów, dyrektywa stwierdza w sposób znamieny, że „rząd Rzeszy zdecydowany jest przeciwstawić lokalny zbrojny opór, nie bacząc na szanse powodzenia militarnego”.

Linia obronna miała biec na zachódzie wzdłuż rzeki Roer i Renu na Czarny Las. Na wschodzie od Hotzenplotz, rzeką Osobłoka, na rzekę Odre, następnie wzdłuż Odry łącznie z obroną Pomorza niemieckiego. W stosunku do Czechosłowacji obrona była przewidziana wzdłuż granicy. Przeciwko Francji i Polsce miano się bronić „tak długo, jak się da”, natomiast w stosunku do Czechosłowacji, ustępować terenu jedynie „cal za calem”.

Jak z tego widać, Niemcy nie mieli żadnych złudzeń na temat swych szans! Okazała była rzeczywiście wyjątkowa. Uratowanie Europy mogło być dokonane za cenę śmiesznie małą we krwi, jeśli by w ogóle krew przelewać było trzeba.

W sześć lat później świat zaczął płacić za zmarnowanie tej okazji straszliwą cenę we krwi, dobrobycie i wolności. I płaci po dziś dzień.

Aleksander BREGMAN

Boy i Bartel we Lwowie w 1939 r

Studenci w pstrokatych czapczkach kroju krymek żydowskich bijali Żydów i rzucali zgniłe jaja w aktorów, grających **Cyankali**.

Studenci-demokraci bronili Żydów i **Cyankali** w imię wolności obywatela i słowa. Ale złe obyczaje są zaraźliwe i kilku studentów-demokratów postanowiło niedemokratycznie zaprotestować przeciw **Maman do wzięcia**, przykrej komedii Grzymały-Siedleckiego, granej w teatrze Letnim. Autorem pomysłu był mój przyjaciel, Stefan Koper, późniejszy sekretarz generalny wydawnictwa „Domu Prasy” i założyciel klubu dziennikarskich sprawozdawców motoryzacyjnych.

Koper i ja poszliśmy w delegacji do Boya na Smolną, poprzez zezwolenie telefonem i rekomendacjami.

— Chcielibyśmy zrobić awanturę w teatrze „Letnim” — powiedział Koper. — Chodzi o to, aby pan jako krytyk teatralny powiedział nam, który fragment sztuczki najlepiej nadaje się do demonstracji.

— Cieszę się, proszę panów, że panowie fachowo podchodzą do zagadnienia — powiedział Boy z zimną ironią, — ale smuci mnie sama idea pomysłu. To nie jest poziom, to nie jest metoda walki z kołtuństwem, proszę panów. Porzućcie tę myśl.

— Wroga trzeba bić jego własną bronią — powiedział porywczy Koper.

— Jeśli walkę z wrogami wolności rozpoczniecie od tłumienia wolności słowa, to zamienicie jedno chamstwo drugim — powiedział Boy zająkliwie z wyraźnym już gniewem. — Największą chorobą ludzkości jest fanatyczna nietolerancja. Jakże my, postępowcy, uleczy my świat, jeśli wpadniemy w tę samą chorobę?

— Czy pan nie uważa jednak, że **Maman** to świństwo?

— Piszcie o tym w swych pismach studenckich, otwórcie dyskusję. Zgniłe jajko — to nie argument. Cel jest niczym, metoda wszystkim. Nie dajcie się oslepić fanatyzmowi w metodach swego działania. Fanatyzm jest zaborczy. Zaborczość karmi się zbrodnią i niewolą.

Mądrość Boy była mądrością kultury i doświadczenia — nie mogła działać atrakcyjnie na prymitywną i niedoświadczoną młodzież naszą. Zapadła w serca, ale musiała się odleżeć. Dziś

dopiero kiełkuje. Wówczas wysłuchałem tych słów z szacunkiem, ale ich nie usłyszałem. W rok czy dwa po tej rozmowie popadłem w fanatyzm zaborczy i zachłanny, zarozumiały i zakłamany. Uwierzyłem ślepo w proroków Marxa, urzędujących w „Trzecim Rzymie”. Wszyscy, którzy nie wyznawali mej religii wydawali mi się głupcami lub łotrami. Nie było miejsca dla autorytetu tolerancyjnego Boya-mędrca w promieniu zachłannego autorytetu Lenina i Stalina.

We wrześniu 1939 zwaliły się na nasz kraj dwa imperialistyczne fanatyzmy, wykarmione zbrodnią i niewolą. Jeden w brunatnej skórze, drugi — w czerwonej rubaszce. Jeden wierzył w diabła rasy, drugi — w diabła klasy. Podały sobie ręce nad trupem naszej wolności.

Tłumy uchodźców biegły z deszczu pod rynnę. Spotkałem Boya na posiedzeniu komitetu uchodźców z Warszawy we Lwowie. W skład komitetu wchodziło wielu dotychczasowych przeciwników Boya. Ci najgłośniej przemawiali za tym, aby przyjął godność prezesa komitetu.

— Nie mam żadnych kwalifikacji, proszę panów.

— Nazwisko — powiedział przypochlebnie jeden z publicystów (nomina sunt odiosa), namiętnie zwalczający Boya przed wojną. Nieporozumienie polegało na tym, że Boya uważano za wtajemniczonego masona, a masoni — wiadomo komuniści. Któż by mógł walczyć o reformę prawa małżeńskiego, jeśli nie komunistą?

— Tu trzeba fachowego organizatora, nie nazwiska. Przynajmniej w obliczu tego wstrząsającego nieszczęścia skończmy z kultem nazwisk i niefachowości...

Ba, ale kult nazwisk naczynał się dopiero. Brygady malarzy z Daszewskim i Pareckim na czele malowały portrety, portrety, portrety. Wielkie jak domy, wąsate jak skarabeusze, gładkie jak wazelina. Bizantyjskie ikony w zieleni, czerwieni i złocie marszałkowskich mundurów.

Korniejczuk urzędował w hotelu George'a w pokoju Nr 31. Leżały przed nim na biurku dwie listy: komunistów i niekomunistów, z którymi nawiązać miał współpracę. Tę drugą listę otwierali Wanda Wasilewska, prof. Kazimierz Bartel i Tadeusz Żeleński-Boy.

Korniejczuk czytał po kolei nazwiska i pytał — czy znam, co wiem, co sądzę. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że jest to normalny bolszewicki zwyczaj prowadzenia śledztwa przeciw wszystkim przy pomocy wszystkich. Wziętny styl życia w kraju-więzieniu.

Co wiem o Boyu? Szczery demokrat, postępowiec. Stosunek do władzy radzieckiej? Jak najbardziej pozytywny — skłamałem bez zmrużenia oka.

— To jest najbardziej decydujące dla nas. Jeśli ktoś jest za władzą radziecką, to nie musi być idealnie uformowanym komunistą. Świadomość komunistyczna kształtuje się powoli. My musimy przede wszystkim wiedzieć, czy ktoś jest za władzą

radziecką czy przeciw. I to jeszcze mało, że jest za władzą radziecką — musi o tym głośno powiedzieć masom. Inteligencja jest klasą dwoistą — z jej szeregów wychodzą sprzymierzeńcy proletariatu i wrogowie proletariatu. Naszym zadaniem jest przyspieszenie polaryzacji — ostre oddzielenie sprzymierzeńców od wrogów. To jest pierwszy etap. Następny — zniszczenie wrogów i umocnienie sojuszników w wierności dla proletariatu. Wstępnym krokiem będzie akcja podpisowa wśród pisarzy i plastyków pod rezolucją, określającą ich stosunek do władzy radzieckiej. O kilku już z góry wiemy, że nie podpiszą takiej deklaracji — nie będziemy się do nich nawet zwracali. Znacze Parnickiego? (Nie znałem wówczas Teodora Parnickiego; poznałem go w cztery miesiące potem we wspólnej naszej celi więziennej Nr 61 na Zamarstynowie). Leon Pasternak, wasz poeta proletariacki, mówi o nim, że pracował z polską policją i że wydawał poetów proletariackich (Pasternak, gdy go potem zapytał wprost, czy to prawda, że składał donos na Parnickiego, kręcił się, czerwienił i przyznał, że może faktycznie postąpił „zbyt pochopnie”).

Zacząła się słynna akcja zbierania podpisów pod rezolucją afirmującą najazd bolszewicki.

W mieszkaniu Haliny Górskiej była dyskutowana kwestia — podpisać czy nie podpisać. Tadeusz Hollender namiętnie przemawiał przeciw podpisaniu. Hollender, przed wojną raczej sympatyk komunizmu i Rosji, teraz był zdecydowanym wrogiem „tych chamów”. Był autorem i kolporterem ostrych dowcipów antybolszewickich, które dziś obiegają cały chyba świat — jak ten o „potężnych czołgach socjalistycznych” z załogą, złożoną z 51 żołnierzy — jeden kieruje, a reszta popycha.

Przemawiałem, oczywiście za podpisaniem, wysuwając jako argumenty, w co jeszcze wierzyłem, że nieważne jest ich niechlujstwo, zupełnie widoczna bieda i forma, w jakiej przyszli do naszego kraju, ale ważna jest istota rzeczy — że to jest mianowicie społeczeństwo socjalistyczne, że przyszli do nas, aby faktycznie zatrzymać pochód Hitlera i że prędzej czy później zetną się z Hitlerem (jakkolwiek Korniejczuk tej ostatniej sprawy bynajmniej nie stawiał w ten sposób).

Zarówno Górską jak i Boy bardzo niechętnie zgodzili się na podpisanie rezolucji.

— Podpisuję tylko dlatego — powiedział Boy — że w tej rezolucji obiecują wolność słowa i nauki oraz walkę z dyskryminacją rasową i narodowościową, ale nie dlatego, abym wyrażał zgodę na ich metody. Wyrażam zgodę dla celów nie dla metod. Dopóki te sprawy nie ulegną zmianie, nie zgodzę się na żaden rodzaj współpracy politycznej ani pisarskiej. Mogę objąć najwyższą katedrę romanistyki.

Podpis Boya pod rezolucją, potwierdzającą bądź co bądź fakt zaboru i najazdu, wywołał uczucie wielkiego żalu w społeczeństwie polskim.

Niebawem przyszły fakty, które wstrząsnęły Boyem tak, że

chciał wycofać swój podpis. Były one wstrząsem i dla wielu z nas; starych komunistów. Ciągłe aresztowania, fakt szczerej zupełnie i coraz bardziej się pogłębiającej współpracy z Hitlerem, rabunek miasta, głód i wyzysk.

— Pomyliliśmy się wszyscy. Oszukali nas — mówił Boy z głębokim, rozdzierającym smutkiem w szarej twarzy. — To jest zwyczajny imperializm, goniący za podbojem i operujący oszukańczą, zwodniczą frazeologią. Fanatyzm Mahometa krył się za puklerzem raju niebieskiego, ich imperializm kryje się za puklerzem socjalizmu, który w ich ustach jest niczym więcej jak tylko cynizmem. Te ponure, zacięte fanatyzmem lub strachem twarze... Korniejczuk mówił, że Pilniak był szpiegiem japońskim, Trocki jest agentem hitlerowskim, Wandurski — polskim dywersantem... To kłamstwo. Prawdą jest tylko, że w tym systemie nie może żyć człowiek, który by chciał choćby w najniklejszym stopniu wyrazić jakiś pogląd krytyczny. To najstraszniejsza niewola myśli, jaką znają dzieje.

Tym razem wysłuchałem i usłyszałem słowa Boya. Działy się dookoła rzeczy, których mógł nie widzieć tylko kliniczny fanatyk lub podlec. Głód, celowo, moim zdaniem organizowany przez władzę okupacji bolszewickiej, aby robotnik skazany był tylko na chleb z łaski władzy. Strach. Terror. Delatorstwo pod pretekstem „dyscypliny bolszewickiej”.

Boy nie chciał się ewakuować z bolszewikami. Był to protest, którym wydawał na siebie wyrok śmierci. Wyrok został wykonany przez hitlerowców. Tak to hitleryzm i stalinizm nawzajem uzupełniały się w niszczeniu wolności w Europie.

Prof. Kazimierz Bartel był przewodniczącym Obywatelskiego Komitetu Obrony Lwowa od pierwszych dni oblężenia niemieckiego do wejścia bolszewików. Kwatera Komitetu mieściła się w Uniwersytecie. Przedstawiony mu przez prof. Stanisława Łempickiego, przepisywałem na maszynie komunikaty Komitetu dla radia lwowskiego. Prof. Bartel był uosobieniem spokojnej i mądrej odwagi. Jego komunikaty, jak je dziś sobie przypominam i porównuję, w tonie i treści podobne były do tego, co mówił potem swemu narodowi Winston Churchill — odznaczały się odwagą prawdy. W radio ich nie ogłaszano. Radio żyło swoim życiem, fabrykuje najbardziej fantastyczne kłamstwa „dla podniesienia ducha” — jak np. że Rumunia, Węgry i Chiny przystąpiły do wojny, że 300 samolotów angielskich bombarduje Berlin, że linia Zygryda przerwana w pięciu miejscach...

— Kaziu nie daj tym szaleńcom burzyć miasta. Powiedz Langnerowi, aby kapitulował — mówił jeden z profesorów, który urządził sobie schron w grubych murach Uniwersytetu.

— Naród nie chce kapitulacji. Jeśli naród oszalał, musimy iść z szaleństwem narodu. Kto wie, czy szaleństwo to nie jedyna rozsądna rzecz, jaka nam pozostała.

Gdym 18-go rano wpadł z okrzykiem, że armia czerwona idzie nam na pomoc, prof. Bartel powiedział:

— Nam czy naszym wrogom — to jest pytanie.

Trzy małe samochodziki pancerne z białymi chorągiewkami na daszkach i pęczkami drzewa opałowego u boków stały przed gmachem D.O.K. Czarny wysoki szczupły sierżant polski klepie po ramieniu czubarika w czarnych owijaczach, odbija czterdziestkę, przepija do niego i powiada:

— Tak ciepier my w mieście pobiedim Gitlera...

Czubarik uśmiechał się bladymi wargami — obłudnie, strachliwie.

Lwów nie wierzył, że to przychodzi wróg. Ale złudzenia szybko przysnęły. Doszły do rąk miasta ulotki, wzywające żołnierzy polskich do bicia oficerów. Na rogatce Łyczakowskiej wiarotomnie otoczono i uwięziono polskie oddziały wojskowe, którym kilka godzin przed tym obiecywano wolność i swobodę ruchów. To też gdy na bruk miejski wypełzły małe pochodziki z czerwonymi sztandarkami, tłum z chodnika patrzył smutny i nienawistny.

Bartel tak samo jak Boy o żadnej współpracy politycznej z komunistami nie chciał słyszeć.

— Jeśli zostawią mi katedrę w Politechnice, to dobrze, jeśli nie to nie. Prosić nie będę. Współpracy politycznej jestem przeciwny stanowczo. Mógłbym się zgodzić z panem, że przyszłość świata należy do socjalizmu — pojętego jako wolność najszerzych mas ludu. Ale to, co oni z sobą przynieśli i pokazali, to nie jest socjalizm. To tragiczne nieporozumienie, że wy nazywacie to „socjalizmem”. Moim zdaniem, o ile sądzić mogę ze wszystkiego, co widzę i słyszę — to niewolnictwo, w istocie swej nie różniące się od systemu faraonów. Neo-niewolnictwo. Istota ustroju niewolniczego polega na tym, że człowiek jest tylko maszyną, narzędziem, pozbawionym prawa głosu i protestu. Człowiek pracy nie może tu marzyć nawet o części takiej wolności, jaką cieszy się w ustroju kapitalistycznym. Ich system cofa rozwój ludzkości o tysiąclecia. Jest systemem najskrajniejszej reakcji. Przeżyje pan wielkie rozczarowanie.

Prof. Bartel również nie chciał ewakuować się z bolszewikami, wiedząc zapewne dobrze, że wydaje na siebie wyrok śmierci.

Pozostaje nierozstrzygnięte zasadnicze pytanie: dlaczego bolszewicy, zdając sobie sprawę z nieprzechylnego, w gruncie rzeczy, nastawienia wobec siebie takich ludzi jak Boy i prof. Bartel, nie likwidowali ich, stwarzając pozory specjalnej tolerancji, wobec ich niezależności.

Nie była to przecież dobra wola Korniejczuka wobec ludzi, którzy „przypadli mu do serca”. W systemie dyktatorskim każdy czyn każdego kacyka owinięty jest, jak mumia, w sztywne papyrusy sztywnego przepisu sztywnej doktryny.

Jeden z podstawowych przepisów taktyki bolszewickiej w walce o umocnienie władzy nakazuje „neutralizację klas nieproletariackich w okresie przejściowym”. Jednym z instrumentów tej neutralizacji jest instytucja tzw. „poputczyków”. Na poputczyków wybiera się wielkie indywidualności o wielkich na-

zwiskach, działających na masę urokiem autorytetu. Z chwilą gdy albo autorytet poputczyka spełźnie, albo proces przejściowy jest już zakończony, albo poputczyk zaczyna iść pod prąd autorytetu proroków — system pozbywa się go bez cienia żalu i bez obowiązku wdzięczności. Wielu kończy samobójstwem jak Jenson lub Majakowski.

Tacy ludzie, jak Boy i Bartel, wierni zasadom, niedostępni próżnej małostkowości zaszczytów z rąk dyktatora, prędzej czy później podzieliliby los wszystkich „wrogów ludu”.

System niewolniczy potrzebuje tylko niewolników. Przejściowo, taktycznie zezwala na pozory swobody. Wtedy działa kłamstwem obietnic, frazesem wielkich celów.

Terror dyktatury stalinowskiej od terroru dyktatury hitlerowskiej różni się tylko bardziej „naukowym” wyrefinowaniem.

Janusz KOWALEWSKI.

POD PRĄD

Pismo polskiej myśli niepodległej w Szwajcarii
(wychodzi 3 razy w miesiącu)

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
FRIBOURG 2, case postale 10, SUISSE.

DO NABYCIA:

FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île, Paris IV^e.
(cena 25 fr.).

W. BRYTANIA: Pokrzywy Londyńskie, 49, Mill Hill Grove,
London W.3.

BELGIA: Księgarnia Polska, 42, rue Defacqz, Bruxelles
(cena 7 fr.).

WŁOCHY: Jan Grochowski, via della Croce 81, Roma.

Kronika Kulturalna

Bukiniści

Słowo: bouquin można odnaleźć w każdym słowniku i oznaczać ono będzie starą książkę. Jednak w tym dźwięku polskim jest ono głuche, odarte z wszystkiego, co stanowi o jego uroku. Trzeba je przeto wymawiać po francusku, trzeba mówić bouquin i wtedy będzie miało ono wypowiedź pełną. Przypomni ów szczególnie smak książki, jakby smak starego wina, odnajdzie ono miejsce właściwe w paryskim krajobrazie.

A krajobraz ten jest pełen doskonałego ładu, jest bliski sercom, wrażliwym na niedościgłą szlachetność Notre-Dame, jest bliski pamięci stęsknionej za widokiem starych topoli, pochylonych pod Sekwaną. Jest to obraz harmonijny, jednolity w pięknie, jest ukształtowany przez warstewki czasu i odradzający się przez kolor nieba i barwę przepływającej obok rzeki. Można wypowiedzieć mnóstwo zachwyty i pochwał, można z pasją badacza wymieniać po kolei wszystkie numery domów, wskazywać, gdzie umierał Voltaire, gdzie tworzył Anatole France, ale to będzie tylko niepotrzebne odwracanie się ku przeszłości i ku ludziom umarłym.

A przecież tuż na odległość naszej ręki jest rzecz żywa, niepokojąca, pożądana, jest książka, owa z francuska bouquin. Cóż wobec tego znaczy kolor dalekiego nieba, szum drzew i stalowy błysk Sekwany, gdy wszystko wypowiedzieć można rytmicznym dźwiękiem wiersza.

Na kamiennym omurowaniu Sekwany obsiadły rzędami kramiki książkowe. Są to zwyczajne, płaskie, żelazne pudła, skrywające w swym wnętrzu nieopowiedzianą różnorodność wszelkiego rodzaju książek.

Są tu książki stare, pozółkłe, od dawna zagubione w życiu pokoleń i raptem odnalezione i dostępne nienasyconej ciekawości człowieka. Inne znów książki, ukrywające się we wnętrzach żelaznych pudeł bouquinistów są pełne mądrości, ujmują powagę i nęcą obietnicą poznania prawdy, która dzieje ludzkie przewycięża. Są znów obok książki ozdobne, ale powierzchow-

ne, powstałe jakby z próżności i tej próżności dogadzające. Są wreszcie książki pospolite, krzykliwe, nawet wulgarne. Gdzie indziej znów książki żyjące odwieczną sławą, do których się wraca pamięcią jak do wspomnień dzieciństwa, książki nieprzemijające, nieśmiertelne, bo powstałe w natchnieniu serc, naznaczonych iskrą bożą.

Wszystkie te książki u bouquistów są niemymi świadkami czyjegoś życia i wzruszeń, które zgasły jak płomień i noszą na sobie ślady obcowania z człowiekiem. Niekiedy we wnętrzu takiej książki znaleźć można zasuszony liść kwiatu polnego lub płatek róży. Czasem znów jakieś słowo, wypisane dyskretnie na marginesie, to znów dedykację, znak przyjaźni, która przemieniała wraz z życiem.

Chociaż jednak książki w krajobrazie nadbrzeża Sekwany stanowią sens najistotniejszy, nie są one tutaj zjawiskiem jedynym.

U bouquistów wszystko można znaleźć. Są więc stare ryciny, reprodukcje obrazów. Niektóre niesłychanej brzydoty. Są stare szable, rapiery, pancerze, przyłbice, hełmy. Są mapy stare, na których ziemia jest jeszcze nieodgadniona, podniecająca wyobraźnię zdobywców. Pełno jest tam waz różnego kształtu, porcelany. Są monety z przeróżnych epok, nawet z epoki rzymskiej. Także stare guziki mają tutaj swoją cenę i swoich nabywców. Znaleźć również można stare tygodniki i stare afisze. Afisz mobilizacyjny z roku 1914 ma w tej chwili dość dużą cenę.

Bouquiniści nad Sekwaną są od dawna. Najpierw roztasowali się na Pont-Neuf. Ten most paryski był w szesnastym i na początku siedemnastego wieku miejscem, gdzie nie tylko sprzedawano stare książki, ale gdzie produkowali się, na świeżym powietrzu, różni artyści i kuglarze. Książka, która w owym czasie znajdowała się na Pont-Neuf nie musiała być przedniej jakości, bo Boileau w jednej satyrze ostrzega pisarzy przed możliwością zejścia ze swymi książkami do poziomu książek na Pont-Neuf. Jednak ten bouquinizm na Pont-Neuf miał już wtedy swój ustalony charakter. Staje się nawet tematem baletu, który pod tytułem „Księgarz z Pont-Neuf” grany był na dworze królewskim oraz w pałacach poszczególnych znakomitości ówczesnego Paryża.

Bouquiniści na Pont-Neuf ściągają na siebie gniew księgarzy, którzy widzą w nich niebezpieczne źródło konkurencji. Akcją przeciwko nim rozszerza się. Moralisci oskarżają ich o sprzedawanie książek pornograficznych, katolicy o rozpowszechnianie dzieł protestanckich. Wszyscy zgodnie żądają wrzucenia wszystkich książek z Pont-Neuf do Sekwany. Uchwała z początku siedemnastego stulecia, poparta późniejszymi, likwiduje bouquistów na Pont-Neuf. Sadowią się na nadbrzeżu Sekwany. Z początku zajmują tylko tę część od strony Dzielnicy Łacińskiej, z czasem rozszerzają się na drugą stronę w pobliżu Hôtel-de-Ville.

Ten handel był łatwy, nie wymagający wilekiego wkładu kapitału. „Parapety magistrackie”, jak nazywają bouquiniści

miejsce sprzedaży książek nad Sekwaną, nie pociągają dużych ciężarów. Wystarcza jakaś drobna opłata na rzecz miasta. Ściągała przeto nad brzeg Sekwany wszelka biedota. Przychodzili wprost z Hal Targowych, od straganów. Powodował nimi, rzecz prosta, czynnik kalkulacji. Książka wydawała się im równie dobrym towarem, jak sałata czy pomidory. Ale urok książki jest wielki. Toteż z czasem w tych prostych ludziach budził się trwały rodzaj zainteresowania i przywiązania do tego rodzaju pracy. Stawali się w tej dziedzinie znawcami i erudydami. Handel książką stawiał ich blisko ludzi pióra i nauki. Wyróżniał ich spośród innych. Niektórzy upodobali sobie zawód bouquinistów tak dalece, że przechodził potem z ojca na syna.

Byli i tacy, którzy dorobili się tu znacznych fortun. Odeszli z nadbrzeża, by w głębi Dzielnicy Łacińskiej otworzyć własne księgarnie. Wielu jednak wracało z powrotem. Znużył ich i zniechęcił wielki handel. Zostawali przy swoich „magistrackich parapetach”. Zresztą szanujący się bouquinista gardził mieszczańskim sposobem zarabiania pieniędzy. Uważał siebie za swego rodzaju artystę, czuł się powiązany z całym światem artystycznej cyganerii. Kochał swoją wolność, samodzielność. Żył w zgodzie i przyjaźni z całym różnorodnym światem, który przychodził na brzeg Sekwany w poszukiwaniu starej, ciekawej książki.

Bouquinista jest bystrym obserwatorem ludzi. Pobłażliwy dla dziwactw ludzkich, bo sam staje się z czasem dziwakiem, łatwo rozróżnia znawcę od nowicjusza. Umie czytać wzruszenia na twarzach ludzi, pochylonych nad pudłami. Swych stałych klientów zna na wylot. Spędza zresztą z nimi długie godziny na przyjacielskich rozmowach. W czasie tych rozmów o książkach nawiązała się niejedna przyjaźń i zażyłość.

Pewien miłośnik książki, który wiele godzin życia spędził wśród bouquinistów nad brzegiem Sekwany, zapisał w testamentie znaczną sumę, by bouquinieści, po jego śmierci, urządzili stypę pogrzebową na jego cześć. Była to podobno stypa niebywała.

Bouquinista jest nie tylko przyjacielem kolekcjonerów, filozofów, jest również często powiernikiem poetów. Zna ich dzieje, ich biedę. Często w miarę sił im pomaga.

— To jest prawdziwy poeta — powiada pewien bouquinista do przypadkowego przechodnia, który ogląda tomik wierszy nieznanego poety. — Kochał się nieszczęśliwie, nie miał co jeść i z mieszkania go wyrzucili.

Milleranda, prezydenta republiki francuskiej, jeszcze dziś starzy bouquinieści wspominają. Przychodził tu często. Z parasolem przewieszonym przez ramię i z teczką pod pachą szedł od pudła do pudła i grzebał w książkach za cztery sou. Nawet potem, gdy był już prezydentem Republiki, przejeżdżając tędy, pożerał łakomie rzędy pudeł z książkami i rozdzielał przy tym przyjacielskie ukłony między znajomych bouquinistów.

Pewno, że zawód bouquinisty wymaga hartu i wytrzymałości. Mróz, ślota, niepogoda, bouquinista jest przy swoim pudle i czeka cierpliwie aż przypadkowo zatrzymany przechodzień wybierze

coś i kupi. Ale ileż wrażeń, jakie doświadczenie obrzymie daje mu ta nieustanna obserwacja przesuających się przed jego oczami ludzi.

Jednak mimo tego doświadczenia zdarzają się klienci, którzy chytrą umiętą bouquinistów wyprowadzić w pole. Dodeman w swym dzienniku bouquinisty wspomina o pewnym kupującym, który zamówił sobie stare książki telefoniczne. Bouquinista, który dostał to zamówienie, nie miał ich u siebie. Znalazł je jednak po długim poszukiwaniu. Z zadowoleniem pokazuje je następnego dnia poszukującemu. Klient ów pokiwał głową, począł dokładnie przerzucać kartki książki telefonicznej, niby sprawdzając jej stan. W pewnej chwili, gdy już przejrzał wszystko, powiedział:

— Dziękuję, książki nie kupię. Wszystkie potrzebne numery telefonów już wynotowałem.

Do królestwa bouquinistów, nad brzeg Sekwany, przychodzą ludzie nie tylko w poszukiwaniu książki. Przychodzą tutaj wszelkiego rodzaju zbieracze, ogarnięci namiętnością gromadzenia przedmiotów jakiegoś określonego typu. Raz będą to zbieracze znaczków pocztowych, starych map, afiszów, to znowu poszukiwacze starych fajek, monet lub starych zbroi. Jeszcze dziś wśród bouquinistów żyje pamięć o niejakim Krydtt, który kupił starą armatę. A miał już przeszło dwieście szabel i innego starego żelastwa bez liku.

Handel starymi guzikami zajmuje tutaj także dość osobliwą pozycję. Niektórzy sprzedawcy mówią o nim z patosem. „Bo to — powiadają — handel ten pomnaża kult dla historii, czyni ludzi wrażliwymi na wspomnienia sławy wojennej. Kto wie, jaki bohater zapinał te guziki.

Ale jeśli już mowa o sławie wojennej, to znajduje ona swą wypowiedź nie tylko w guzikach. Najrozmaitsze krzyże wojenne, stare i nowe, są dowodami całkowitego bankructwa tego rodzaju sławy. Po pierwszej wojnie światowej dość często wczorajszy bohater przynosił do bouquinisty swój krzyż wojenny, by zdobyć pieniądze na chleb. Wtedy jeszcze miały jakąś cenę. Po tej wojnie straciły zupełnie swą wartość. Chyba jeszcze niemiecki Eiserne Kreuz. Za jednego „Eiserne Kreuz'a” można kupić kilka „Croix de guerre”.

Ale ów dawny bouquinista, ów odkrywca zagubionych skarbów, cygan, przyjaciel filozofów i powiernik poetów, należy prawie całkowicie do przeszłości. Bo tamci prawie wszyscy wymarli. Pozostali nieliczni. Oni patrzą ze zgrozą na ten nowy świat, który wtargnął na brzeg Sekwany. Dzisiejszy świat bouquinistów jest już skomercjalizowany, książka jest dla niego przede wszystkim przedmiotem handlu i spekulacji. Niejeden bouquinista jest jednocześnie agentem księgarni, położonej w głębi miasta. Niejedna księgarnia posługuje się bouquinistami, by uprawiać czarny handel książką. Książka taka znika z półek księgarskich. Mówi się, że jest wyczerpana. Pojawia się za to w

puddach bouquinistów. Jest sprzedawana po wyższej cenie. Handel idzie.

Specjalną kategorię klientów stanowią dla paryskich bouquinistów cudzoziemcy. Każda narodowość ma tu już swoją ustaloną opinię. Jeśli bouquinista zadaje zdawkowe pytanie: „jakiej pan jest narodowości?”, to tylko dlatego, by ostatecznie utwierdzić się w pojęciach już powszechnie znanych. Każdy bouquinista wie bowiem, że jeśli to będzie Anglik, to handel będzie przez niego traktowany bardzo serio, że zamówienie będzie naprawdę murowane. Amerykanin w oczach bouquinisty jest człowiekiem o zadowolonej minie odkrywcy zakopanych skarbów i o gestach milionera. Rosjanie znów są nieufni. Nawet ci dawni, carscy. Wszędzie czegoś się doszukują, jakby obarczeni kompleksem niższości. Żydzi nie mają u bouquinistów dobrej opinii. Nie są lubiani. Ale gorsi od Żydów są Turcy. Armeńczycy jeszcze są bardziej nieznośni niż Turcy. Wszystkie rekordy jednak biją Czesi. Zdaniem bouquinistów, są to najbardziej nieznośni cudzoziemcy. Jeden Czech wystarczy za Żyda, Turka i Armeńczyka razem wziętych.

Za to Polacy mają tutaj imię ustalone w znaczeniu jak najbardziej pochlebnym. Dodemam w dzienniku swym pisze: „Polacy są doskonałymi klientami. Płacą bez targowania się. Są królewscy”.

Jest to niewątpliwie opinia słuszna. Polscy klienci, którzy bywali nad Sekwaną, odznaczali się niewątpliwie tego rodzaju przymiotami. Zresztą do dziś dnia żyje jeszcze wielki przyjaciel bouquinistów, Polak, Kazimierz Woźnicki. Znają go dobrze i cenią na wybrzeżu Sekwany. Gdy swego czasu odznaczony został Legią Honorową, wśród bouquinistów zapanował nastrój wielkiego święta. Wiwatowali na jego cześć.

Kazimierz Woźnicki przyjechał do Paryża na samym początku obecnego stulecia. Przyjechał na studia i został tu na zawsze. Sprawował ongiś różne funkcje w polskim życiu politycznym. W roku 1907, gdy Galicyjska Rada Narodowa założyła w Paryżu Biuro Prasowe, był tej akcji kierownikiem. W czasie pierwszej wojny światowej współpracował blisko z Dmowskim w Komitecie Narodowym. W pierwszych latach naszej niepodległości był sekretarzem ambasady polskiej w Paryżu. Po przewrocie majowym odsunął się całkowicie od życia politycznego. Był znów aktywny w roku 1939, po klęsce wrześniowej. Przyjaźnił się z Reymontem, Lorentowiczem, Miriamem. Odwiedzali go Sienkiewicz i Żeromski. Bywała u niego na sobotach literackich dość liczna na początku obecnego stulecia intelektualna elita polska w Paryżu.

Całe życie Kazimierza Woźnickiego upłynęło na bliskim obcowaniu z książką. Stąd jego zażyłość z bouquinistami. Książce poświęcił wszystkie swój zapał i na jej usługi oddał trud całego życia. Toteż zbiory jego są wprost królewskie. Przed wojną podarował Bibliotece Narodowej w Warszawie kilkadziesiąt tysięcy

tomów, a jeszcze teraz mieszkanie jego jest pełne książek. Biblioteka jego zawiera skarby nieprzebrane.

Woźnicki żyje wśród tego królestwa, samotny. Odwrócił się od życia i wszelkich jego spraw. Nie interesuje go ani współczesność, ani bliska przeszłość. Żyje światem klasyków francuskich. Czyta całymi dniami. Gdy jest tym czytaniem zmęczony, patrzy przez okno na pobliskie drzewa i na bouquinistów, których widać z jego mieszkania. Czasem schodzi do nich bo ma tam jeszcze trochę starych przyjaciół. Rozmawiają wtedy o książkach, o bouquinistach, którzy pomarli i o czasach, które minęły.

A podobno to były czasy lepsze, szlachetniejsze i warte są wspomnienia.

Stanisław ZADROŹNY.

Zawiadamiamy prenumeratorów i czytelników, że przedstawicielem „KULTURY” i INSTYTUTU LITERACKIEGO na W. Brytanię od lipca rb. jest

„GRYF” Publications Ltd.

59/61, Hatton Garden, LONDON, E.C. 1

Tel.: CHAncery 5094

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą „Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać się do wymienionej firmy

Książki

Nowe wydawnictwa o historii stosunków polsko-hiszpańskich

Na skutek inicjatywy polskiej Hiszpańska Akademia Historii powierzyła w roku 1947 jednemu ze swych członków profesorowi Gomez del Campillo, przetłumaczenie na język hiszpański części dwutomowego dzieła Rajnolda Przędzieckiego „Diplomatie et Protocole à la Cour de Pologne” (Editions de Belles Lettres, Paris 1937), dotyczącej dawnych Ambasad i misji hiszpańskich w Polsce. Rozdziały te, obejmujące kilkadziesiąt stron tomu II tego dzieła, zostały przełożone i wydane w czterech numerach kwartalnika Hiszpańskiej Akademii Historii (Boletín de la Real Academia de la Historia, Madrid, Tomo CXXI — cuaderno IV 1947 i Tomo CXXII — cuadernos I, III, IV 1948).

Wydaje mi się, że dokonanie tej pracy posiada podwójną wartość. Z jednej strony rozszerza ona wiedzę o Polsce i jej przeszłości w sferach, które wiąże z nami raczej uczucie wielowiekowych kontaktów i niektórych wspólnych tradycji, a niżeli głębsza wiedza historyczna o naszym kraju i o zasięgu jego roli w historii europejskiej. Z drugiej strony profesor Gomez del Campillo dokonując tego tłumaczenia, przestudiował dokumenty tak bogate archiwów hiszpańskich, odnoszące się do osobistości opisanych przez Przędzieckiego i zamieścił przy poszczególnych rozdziałach tłumaczenia szereg adnotacji, dotyczących tych osobistości,

czy też opisanych wydarzeń i zagadnień. Niektóre adnotacje zawierają poza tym krótkie dane, tj. numery rejestracyjne jeszcze innych źródłowych materiałów, odnoszących się do opisywanych zdarzeń. W ten sposób praca profesora Gomez del Campillo ułatwi historykom, m.ł. polskim, korzystanie także ze źródeł hiszpańskich i powinna być cenną zachętą do dalszych studiów i badań w tej dziedzinie.

Poniżej podaję spis 35-ciu adnotacji profesora Gomez del Campillo, które razem z samym tłumaczeniem objęły ponad 300 stron druku.

Nr 1. Informacje dotyczące Ambasady Don Predro Fajardo z roku 1573. Ciekawe sprawozdanie Ambasadora hiszpańskiego w Wiedniu Monteagudo, zawierające charakterystyki kandydatów na tron Polski (z archiwum w Simancas).

Nr 2. O sumach neapolitańskich. Uwagi bardzo ogólnikowe zapowiadające oddzielną pracę na ten temat młodego historyka hiszpańskiego Don Felipe Ruiz Martin.

Nr 3. Ambasada Don Guillen de San Clemente z roku 1587 po śmierci Króla Stefana Batorego. W Archivo Historico Nacional istnieje długie sprawozdanie „Relation de lo que ha pasado en la elección del Rey de Polonia”.

Nr 4. Ambasada Franciszka de Mendoza (r. 1596).

Nr 5. Notatka o Lamoral, Conde y Principe de Ligne.

Nr 6. Ambasada Barona de Dohna (r. 1612).

Nr 7. Misje Barona de Auchy y Gabriel de Roy.

Nr 8. Notatka o Władysławie IV.

Nr 9. Notatka o Conde de Siruela.

Nr 10. Ambasada Juan de Croy, Conde de Solve (r. 1635).

Nr 11. Informacje dotyczące uroczystych egzekwii za duszę Cecylii Renaty, Królowej polskiej.

Nr 12. Ambasada Księcia Dietrichstein (r. 1645).

Nr 13. Informacje o interesujących raportach hiszpańskiego Ambasadora w Wiedniu do Filipa IV na temat spraw polskich.

Nr 14. Ambasada Don Juan de Borja (r. 1655).

Nr 15. Misje Markiza de la Fuente. Negocjacje w Wiedniu w roku 1657 z Ambasadorem polskim Bogusławem Leszczyńskim. Kongres i pokój w Oliwie.

Nr 16. O rzekomych aspiracjach Don Juan de Austria (syna Filipa IV) do tronu polskiego (r. 1655).

Nr 17. Złote runo dla Króla Michała Wiśniowieckiego (r. 1669).

Nr 18. Ambasada Hr. Fernan Nunez (r. 1670).

Nr 19. Ambasada Don Pedro Ronquillo (r. 1674).

Nr 20. Złote runo dla Królewicza Jakoba Sobieskiego.

Nr 21. Misja Księdza Franciszka Arcelli 1731-1735. List Duque de Liria o sprawach polskich ze stycznia 1731 r. Wypadki związane z przymusowym wyjazdem Księdza Arcelli z Polski.

Nr 22. Ambasada Hr. Fuenclara (r. 1737). Różne szczegóły dotyczące zaślubin Królowy polskiej Amalii z Królem dwóch Sycylii, później Hiszpanii, Karolem III.

Nr 23. Ambasada Hr. del Montijo (r. 1741).

Nr 24. Misje Markiza Malaspina i Hr. de Bolognino, 1739-1744.

Nr 25. Ambasada Hr. de Bena, 1745-1748.

Nr 26. Ambasada Hr. de Aranda, 1760-1762.

Nr 27. Don Jose de Onis, Chargé d'Affaires w Polsce (r. 1762).

Nr 28. Idem.

Nr 29. Uznanie Stanisława Augusta Poniatowskiego, Breve Papieskie w tej sprawie.

Nr 30. Złote runo dla Jana Klemensa Branickiego. Opisy uroczy-

stości w Białymstoku, 1765-1766.

Nr 31. List Karola III do Stanisława Augusta z Madrytu z dnia 24. IV. 1773 r.

Nr 32. Don Pedro Normande, czasowy poseł hiszpański przy Królu i Rzeczypospolitej w latach 1790-1791.

Nr 33. Don Miguel Cuber, poseł hiszpański przy Królu i Rzeczypospolitej w roku 1791. Don Leonardo Gomez de Teran y Negrete, Chargé d'Affaires od czerwca do grudnia 1793 r.

Nr 34. Instrukcja z roku 1791 do posłów hiszpańskich w Prusach i Rosji.

Nr 35. Don Domingo Iriarte, poseł hiszpański w Warszawie w latach 1793-1794. Jego instrukcje. Różne szczegóły z okresu powstania Kościuszkowskiego. Wyjazd Iriarte i pobyt Gomez de Teran y Negrete w roli Chargé d'Affaires od czerwca do sierpnia 1794 r.

Niewielka liczba adnotacji do wieku XVI, dla stosunków polsko-hiszpańskich szczególnie interesującego, tłumaczy się okolicznością, że w tej chwili wspomniany wyżej historyk Don Felipe Ruiz Martin przygotowuje osobną monografię na temat tego okresu ze szczególnym uwzględnieniem sprawy dziecstwa Królowej Bony oraz późniejszego sporu Polski z Hiszpanią o Księstwo Bari i Rossano. Książka ta, oparta na niewyżytkanych materiałach archiwalnych, rzuci ciekawe światło na niejedno zagadnienie ówczesnej polityki europejskiej, toteż profesor Gomez del Campillo uważał umieszczenia oddzielnych adnotacji w tych sprawach do obecnie wydanego tłumaczenia za „byteczne. Oto jak pisze w niedawnym liście o zapowiedzianym tym wydawnictwie profesor Ruiz Martin: „Mimo, że to zagadnienie (sprawa o Księstwo Bari i Rossano) stało się w następujących po sobie monarchów polskich motywem do największych starań i najenergiczniejszej akcji, zaś u Karola V i Filipa II powodem równie silnej kontrakcji, byłoby przesadą i przez to samo błędem czynić z Bari i Rossano centralny temat ówczesnych stosunków hiszpańsko-polskich. Tak nie było. Istniały inne zagadnienia o wiele ważniejsze i szersze: niebezpieczeństwo tureckie; wypadki węgierskie po

klęsce pod Mohaczem; replika Karola V w stosunku do akcji francuskiej, dążącej do przymierza z Zygmuntem Starym i stworzenia z ten sposób frontu wschodniego przeciw Habsburgom; ewentualność udziału Polski w projekcie opracowanym przez Kancelarię cesarską, dotyczącą inwazji Anglii; starania o uzyskanie przystąpienia Polski do tzw. św. Ligi Lepanto: Właśnie dlatego, że spór o Bari i Rossano był mniej ważny od zdarzeń wyżej cytowanych, jego rozwój i przebieg był od tych zdarzeń uzależniony. Ta zależność związała się tak wyraźnie, że wnet stał się on tylko ich odbiciem, tak jakby odbiornik ześrodkowujący różne dźwięki. Kto chciałby dać obraz istotny stosunków polsko-hispańskich może i nawet musi wyścisnąć dane tego procesu, jednakże nie jako ich zagadnienia centralnego lecz raczej jako drogi (itinerario) po której może pewniejszym stąpać krokiem ku odtworzeniu ich całości. Zachowując więc proces o Bari i Rossano jako temat zasadniczy swej przyszłej książki, Ruiz Martin ogranicza jego historyczne znaczenie i zmierza do dania mu właściwego miejsca w ogólnym obrazie stosunków polsko-hispańskich w 16-tym wieku.

Co się tyczy adnotacji profesora Gomez del Campillo, to oczywiście nie należy szukać w nich wszechstronnej oceny wypadków czy ludzi. Oświetlają one zdarzenia od strony hispańskiej, a dopiero zestawienie ich ze źródłami polskimi i innymi dać może właściwe konkluzje i słuszną syntezę. Sam autor

zaznacza w końcowym ustępie, że „jeśli te punktacje zaostrią patriotyczne zainteresowanie i pragnienie innych, by je dopełnić, znajdują oni wszystkie potrzebne dane w stojących do ich dyspozycji wspaniałych archiwach historycznych hiszpańskich”. W epoce dzisiejszej, kiedy od znalezienia lepszych podstaw porozumienia między narodami zależeć będą losy Europy i być może w ogóle naszej cywilizacji, wszelkie studia historyczne, wykazujące wspólnotę celów, jak również i zatracone okazje i możliwości posiadają swoją głębszą wartość, szczególnie, gdy dotyczą one dwóch narodów, którym, mimo różnych sytuacji geograficznych, wypadki narzucały tę samą rolę obrońców chrześcijaństwa i cywilizacji.

Chciałbym tu dodać osobisty szczegół, dotyczący profesora Gomez del Campillo. Jest to człowiek starszy, który, gdy był chłopcem i studentem, znał Księdza Feliksa Rożańskiego, emigranta polskiego, który w latach 60-tych weszłego stulecia przybył do Hiszpanii i stał się wieloletnim zasłużonym bibliotekarzem jednego z najcenniejszych księgozbiorów tutejszych w Escorialu. Dawna ta znajomość (Ksiądz Rożański był w przyjaźni z jego ojcem) była motywem szczególniejszego zainteresowania prof. Gomez del Campillo dla Polski, — zainteresowania, któremu dał on wraz w omawianej tu pracy.

Józef Potocki

Grudzień 1948 r.

Recenzja wbrew sobie

PAWEŁ HERTZ: **Sedan**, Książka, Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1948.

PAWEŁ HERTZ: **Notatnik Obserwatora**, Wydawnictwo Władysława Bąka, Łódź 1948.

Leżą przede mną dwie książki Pawła Hertz: „Sedan” *) i „Notatnik Obserwatora” **). Obie wydane w Polsce w ub. roku. Do przeczytania książek tych zabiera-

łem się z zainteresowaniem. Pawła Hertz znalazłem przed wojną, w okresie gdy był bardzo młodym, początkującym poetą, spotykaliśmy się z nim czasami w Ziemiankiej, gdzie pod batutą Witolda Gombrowicza toczyliśmy zawieszony w próżni i do niczego nieprowadzące rozmowy. Było więc teraz ciekawe dowiedzenie się jaką drogą potoczył się jego rozwój, w jakim kierunku poszła twórczość tego

zdolnego i dobrze zapowiadającego się poety.

Od razu jednak po przeczytaniu kilkudziesięciu stron z „Sedanu” i kilkudziesięciu stron z „Notatnika Obserwatora” ogarnęło mnie zniechęcenie i uswiadomiłem sobie, że zarysowuje się przede mną pewna trudność. Oba te uczucia, uczucie jednoczesnego zniechęcenia i uczucie pokonywania ogromnej trudności w cierpliwym, powściągliwym nawet — upartym wysiłku, zmierzającym do zrozumienia tych książek, wrazały przy każdej przeczytanej stronie, przy każdym odwróceniu kartki. Przeczytałem jednak obie te książki do końca, co więcej, po przeczytaniu przejrzałem je jeszcze raz dokładnie bardzo uważnie. Chciałem bowiem być w porządku i w stosunku do Pawła Hertz i w stosunku do siebie. Chciałem jeszcze raz sprawdzić czy uczucia te nie były wywołane jakimś przejściowym, nieuzasadnionym nastrojem. Chciałem przekonać się czy rzeczywiście mają rację bytu i czy naprawdę między powstaniem ich a książkami istnieje ścisły, niezaprzeczalny związek. Po żeś Hertz zdałem sobie nagłe sprawę z tego, że mam do czynienia ze zjawiskiem znacznie bardziej skomplikowanym niż by się na pozór wydawało, że zjawiska twórczości Hertz nie można, czy właściwie trudno zamknąć w pewnych ramach klasyfikacyjnym i potem w zależności od upodobań, nią się zachwycać, lub odwrócić się do niej plecami, lecz, że jest to zjawisko złożone, wewnętrznie skłócone, nieuporządkowane i zapewne — co najważniejsze — w istocie swej tragiczne.

Dlatego też mimo pierwotnego zamiaru postanowiłem o książkach tych kilka uwag napisać.

Zanim jednak przejdę do istoty zagadnienia — słów kilka o tym, czym te książki są.

Pierwsza z nich „Sedan” — to rodzaj pamiętnika, który złożony jest z czterech części, z czterech opowiadań. Nie ulega wątpliwości, że autor i bohater książki tej, mimo zastrzeżeń, czy zapewnien Hertz — to jedna i ta sama osoba. O „Sedanie” można by więc powiedzieć, że jest to książka, w której Hertz stawia siebie w obliczu otaczającej rzeczywistości i przejścia swe w zależności od zmieniającej

się tej rzeczywistości opisuje.

„Notatnik Obserwatora” — to zmaganie się Hertz z światem myśli, ze sztuką, to próba znalezienia i ustalenia stosunku do zagadnień artystycznych i estetycznych. Jedna książka uzupełnia drugą, dając w ten sposób obraz całościowy. Najpierw o „Sedanie”.

Na szczęście, czy nieszczęście Hertz w 1939 roku wybuchła wojna (skłonny jestem raczej przypuszczać, że na szczęście; o tym, że było to dla niego szczęście chce nas zresztą przekonać Hertz). Gdyby nie ta wojna Hertz książki swej by nie napisał, napisałby natomiast inne książki, które zapewne formą i sposobem widzenia rzeczywistości od tej nie różniłyby się wiele, różniłyby się tylko tematami. Ale wojna wybuchła, gwałtownie rzeczywistość przekształciła i wobec tych wszystkich zmian Hertz postawiła. Przekształcała wewnętrzne Hertz wywołane wybuchem wojny są tematem jego książki.

W pierwszym opowiadaniu widzimy bohatera książki na tle jego rodziny, zamożnej, mieszczańskiej rodziny, widzimy go najpierw w dzieciństwie, później już jako dorosłego, młodego człowieka, prowadzącego wygodne życie, podróżującego po świecie, zajętego sobą: własnymi problemami, zapatrzonego w siebie i tym zapatrzeniem pochłoniętego. Związki między tym młodym człowiekiem, cierpiącym na neurastenii i leczonym z neurastenii nowoczesnymi metodami psychoanalitycznymi a otaczającym światem są nikłe, ledwo dostrzegalne, prawie nieistniejące. Uwaga jego skupia się na drobnych, specjalnie wybranych i wyszukanych wycinkach rzeczywistości, jak malarstwo, sztuka, pewne zjawiska ze świata martwych przedmiotów. Reszta nie istnieje. Powoli jednak ten świat zewnętrzny, bieg przemieniających się wypadków w to odosobnienie wkracza, przesywa go jednostronnie, zmusza, jeżeli nie do udziału, to w każdym razie do obserwacji, do oderwania — chociażby chwilowego — uwagi od siebie. Między światem zewnętrznym a bohaterstwem książki, młodym Adamem Lambertem pozostają związki, ustala się stosunek oparty na niechętniej — lecz jak się zdaje — koniecznej obserwacji biegu wypadków. Zajęcie Wiednia zaskakuje go całkowicie, Monachium i

wybuch wojny nie są już dla niego bohaterem opowiadanie to posuwa niespodziankami. Pierwsze opowiadanie to interesujący szkic, ukazujący nam daremność prób konstruowania życia w izolacji od otoczenia oraz poazujący chwajność i niepewność prób nawiązania kontaktu z otoczeniem jednostki dotychczas zajętej sobą i tylko sobą. O oderwaniu się od siebie nie ma mowy, są tylko nieśmiałe usiłowania wyjścia poza siebie.

Drugie opowiadanie — to historia rodu Lambertów, historia jego szybkiego wzbogacenia się i równie szybkiego upadku. Upadek ten rozpoczął się przed wojną — wojna jednak 39 roku zadaje rodzinie tej cios ostateczny. Tak przynajmniej utrzymuje Hertz i mimo, że zupełnie nie wiemy jakie są dalsze dzieje tej rodziny — chcemy wierzyć mu na słowo. Poza tym Hertz w opowiadaniu tym stawia znak równania między rodem Lambertów a całym mieszczaństwem. Upadek rodu Lambertów ma być dowodem zgnilizny i upadku mieszczaństwa. Opowiadanie to, jeżeli chodzi o temat zasadniczy (wydaje mi się, że celem książki Herta miało być przede wszystkim opisanie „nawrócenia się” bohatera) nie wnosi nic nowego poza pewnym podmalowaniem ła. Bohater obserwuje na zimno reakcje grupy osób w obliczu niebezpieczeństwa, które kryje w sobie dwie możliwości — zajęcie majątku, w którym bohater książki i owa grupa osób się znajduje albo przez Niemców, albo przez Rosjan i wyciągnawszy z obserwacji tej niewiadomo czy słuszne wnioski, opuszcza widownię.

W opowiadaniu trzecim Adama Lamberta odnajdujemy w obozie pracy, gdzieś na Uralu, Rąbie drzewa, mieszka w wspólnym baraku, prowadzi diametralnie odmienny tryb życia od dotychczasowego, styka się z ludźmi prostymi, Czy z ludźmi tymi ma wspólna płaszczyznę, czy znajduje z nimi wspólny język — o tym nie wiemy. Wiemy tylko, że na skutek bezpośredniego kontaktu z ludźmi prostymi odnajduje pewne kryterium podziału ludzi. Ludzie dzielą się na sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Sprawiedliwi, to ci, którzy pracują fizycznie, niesprawiedliwi, którzy żyją z rent. Podział zaśle wrzuszający w swej prostocie. Sprawę przemian wewnętrznych

się o tyle naprzód, że raz więcej przekonujemy się on jak dalece niewłaściwy był jego dotychczasowy stosunek do świata. Jesteśmy ciągle jeszcze w stadium uświadamiającym, w stadium poznawczym.

Decydujący jednak moment dla życia bohatera książki ma miejsce w opowiadaniu ostatnim. Bohater wraca do Polski, do Polski innej, przemienionej, takiej, w której jego dawne, wygodne życie jest już niemożliwe. Trzeba więc się zdecydować. Co wybrać? Czy wybrać dawne przedwojenne życie i wyjechać z Polski, osiedlić się w Paryżu, czy Londynie, czy też pozostać w Polsce i przystosować się do wszystkich zmian, które w międzyczasie zaszły, nagiąć się do nakazów, które to nowe życie w sobie niesie, praktycznie zrealizować wnioski płynące z dotychczasowej zimnej obserwacji otoczenia. Trzeba zdecydować się — jak mówi Hertz — na wybór, czy wybrać wspomnienia, czy też doświadczenia ostatnich lat wojennych. Bohater książki po krótkim wahaniu wybiera doświadczenia lat ostatnich i w Polsce zostaje. Robi więcej. Po jakimś czasie wystawia siebie na próbę i jedzie na krótki pobyt do Paryża, miasta, do którego przed wojną był przywiązany i w którym dłuższy czas spędził. W Paryżu Adam Lambert przekonuje się jak słuszny był jego wybór, zdaje sobie sprawę z tego jak dalece zachód pogrążony jest w zgniliznie i prowadzi życie bez żadnej nadziei. To samo Polacy na emigracji, których symbolem ma być kapitan Stefan R., dawny przyjaciel bohatera książki z ławy szkolnej. Adam Lambert po stwierdzeniach tych z ulgą wraca do Polski. Oto w największym skrócie treść książki.

Książka Pawła Herta pisana jest podwójnie. Snują się w niej dwie nici, dwa tematy, dwa nurty, które płyną obok siebie, które czasami zbliżają się do siebie i które Hertz — niebaczny na nic — chce za wszelką cenę złączyć w jedno, połączyć w jeden warkł, rzekł, zbiawienny dla otoczenia strumień. Jakie jednak są te dwa nurty? Jeden z nich, to psychologiczne dzieje nawracającego się bohatera, drugi to, po prostu krzyki, niesmaczny, zakłamanym afisz propagandowy, ulotka wiecowa, zawierająca prze-

rażliwe banały i frazesy.

Można książkę Herta zaatakować od najbliższej strony, od strony owego afisza propagandowego. Można mu udowodnić, że wypisuje żalące bzdury itd.

Ale czy warto tracić czas i starać się Herta w tych rzeczach przekonywać, starać się pokazać mu w jakim stopniu w tamtej demagogii i bezsensie strona polityczna jego książki jest pogrążona i jak uciążliwe i irytujące jest czytanie książki tej od tej właśnie strony. Tym bardziej, że wielokrotnie mówi nam, iż książka jego ma być obiektywnym obrazem epoki, beznamytnym szkicem rysowanym dla potomności, dokumentem utrwalającym czas przemian. Po przeczytaniu książki doszedłem do wniosku, że polemika na temat tej jest bezcelowa. Poza tym pomyślałem, że doprawdy trudno posądzać Herta o tak daleko posuniętą stronniczość, zaślepienie, zakłamanie. Więcej, o prymitywny brak rozsądku. Pomyślałem też, że coś poza tymi groźnymi, propagandowymi okrzykami na cześć milicjanta i robotnicy fabrycznej powinno być, że coś za tym musi się kryć. Mimo wszystko nie chciałem dopuścić myśli, by ten pięknie spłaszczony i zmalat do roli agitatora wiecowego. Nie chciałem w to wierzyć. Jeszcze raz pochyliłem się nad nurtem pierwszym jego kroniki. Przyjrzyjmy się jemu bliżej.

Nurt pierwszy książki Herta, to interesujący temat, opisujący próby oderwania się od siebie jednostki zajętej sobą i starającej się kontakt z światem zewnętrznym nawiązać. Ten marsz jednostki od siebie ku światu zewnętrznemu od siebie ku światu zewnętrznemu nie odbywa się dobrowolnie, lecz pod przymusem. Pod naciskiem otaczającej rzeczywistości. Logiczną konsekwencją tego faktu jest przypuszczenie, iż jednostka ulegająca naciskowi, stawiąc będzie presji z zewnątrz opory, że będzie z presją w konflikcie, w walce. Jak sprawa walki tej w książce Herta wygląda? Jak już wspomnieliśmy nurt przemian wewnętrznych bohatera, który śledzimy w pierwszym opowiadaniu, w dwu następnych jest zatrzymany i zastąpiony procesem intelektualnej obserwacji i analizy otoczenia. W opowiadaniu czwartym, w momencie krytycznym, gdy

owoce procesu intelektualnego trzeba w życie wprowadzić, gdy przychodzi moment wahań i konieczności powzięcia decyzji, nawet nie wiemy w jakim stadium biegu ruchu od siebie ku otoczeniu się znajduje. O chwili wahań Hertz pisze krótko, o powziętej decyzji komunikuje lakonicznie, zwięźle. Dlaczego zasadniczy temat, istotny, ważny, interesujący jest porzucony, dlaczego Hertz zalewa go potokiem tanich i nikogo nieprzekonywujących frazesów, ogólnych i nic nie mówiących spostrzeżeń? Dlaczego nie stara się nam uzasadnić decyzji bohatera, dlaczego jej nie podmurowuje psychologicznie, dlaczego zastania przed nami istotę zagadnienia? Dlatego — myślę — że mimo zapewnień, nagromadzonej niby drugoczących argumentów i wniosków, mimo przeogromnego nacisku świata zewnętrznego Adam Lambert pozostał taki sam. Oderwanie się od siebie nie nastąpiło, proces nawiązywania kontaktu ze światem zewnętrznym został zatrzymany w jakimś punkcie. Adam Lambert w dalszym ciągu interesuje się tylko sobą i niczym więcej. Jest tak dalece egocentryczny, że naprawdę trudno oprzeć się wrażeniu, iż wojna ze wszystkimi jej kataklizmami klasyfikowana jest przez niego jako zjawisko dodatnie, umożliwiła mu bowiem ujrzenie niezaprzeczalnej prawdy i dokonanie niezapomnianych odkryć.

Książka Herta nazywa się Sedan — Sedan jest dla niego symbolem klęsk jego pokolenia, klęski niewiedzy, fałszywego stosunku do świata, klęski mieszczaństwa, sfery do której należał. Ale o prawdziwej klęsce, prawdziwym Sedanie Adama Lamberta, o klęsce niemożności oderwania się od siebie i pozostania — mimo wszystko — takim samym Hertz w książce swej nie mówi. Nie mówi, bo nie chce się do tego przyznać, bo mówić o tym nie może. Ukrywa to tak dalece, że pokazuje nam bohatera swego w Paryżu, w zetknięciu się z emigracją i ze światem swych wspomnień. To zetknięcie się z Paryżem, ze światem dawnych wspomnień miało być najważniejszym i ostatecznym argumentem, miało nas definitywnie przekonać o słuszności rozwoju i prawdziwej psychologicznej przemian bohatera książki. Tymczasem rozplywa się ono w tanej demagogii i niczym nie ukazuje dalszego biegu zatrzyma-

nego w jakimś punkcie procesu odrywania się od siebie, Adama Lamberta. Podróż do Paryża, to nurt drugi książki Hertza, a nie — jakby chciał w nas wmówić autor — nurt pierwszy. Nurt pierwszy zamarł gdzieś daleko, rozlał się w szeroki staw stojącej wody, w tej stojącej wodzie i Hertz i bohater książki duszą się, brak im powietrza. Ale do tego nie mogą się przyznać, tego nie mogą powiedzieć. Tak książkę Hertza widzę i tak chciałbym móc ją interpretować.

W „Notatniku Obserwatora” szukam potwierdzenia dla moich przypuszczeń. I wydaje mi się, że w tym zbiorze artykułów polemicznych, szkiców analitycznych i krytycznych sytuacja jest ta sama. To samo, tylko wewnętrzne skłócenie wewnętrzna rozterka jest w książce tej wyraźniejsza, bardziej uchwytana, bardziej przejrzysta. Mamy więc szereg artykułów wyraźnie propagandowych, w których wiecowe ataki na zachód są jeszcze bardziej zdecydowane. Czytamy na przykład zdania takie, jak: „Ideologiczny podział świata jest oczywisty. Z jednej strony mamy plan wielkiej reformy, z drugiej plan wielkiego zniszczenia.” lub „Jestem głęboko przekonany, że tylko reforma przeprowadzona zgodnie z teorią marksistowską... da nam wreszcie pokój, dobrobyt i szczęście na ziemi”, albo „Demokracja zachodnia na wiele lat przed wojną była już tylko formą, kurtyną, za którą odbywała się wielka polityka podziału łupu, wyzyskiwania narodów słabszych...”, mamy dziwny, bałwochwalczy, zawierający stek niezrozumiałych sprzeczności artykuł witaający Stoinimskiego w Polsce, mamy tezy w rodzaju tej, starającej się udowodnić, że przyczyną utraty młodzieży i wynawców przez Gide'a była jego książka pt. „Powrót z ZSRR” itd. Ale obok tego mamy szereg kulturalnych i ciekawych uwag o Prouście, Stendhalu, Turgeniewie, Fromentin, mamy szereg trafnych sprzeczowań w analizie dzieł wielkich mistrzów, mamy zrozumienie i wyczuwanie literatury klasyków i literatury przedwojennej. I mamy więcej. W książce Hertza i stnieją próby obrony tzw. literatury zachodu przed atakami doktrynerów i fanatyków integralnej linii, napotykałyśmy podkreślenie konieczności

zapoznawania się z tą literaturą, szukania w niej wzorów. Są co prawda zastrzeżenia, jest domaganie się zaopatrywania literatury tej w komentarz ideologiczny, jest usiowanie patrzeć na nią z punktu widzenia klasowego. Ale ogólnie istnieje zrozumienie tej literatury.

W tym wszystkim kłębią się sprzeczności, których doprawdy zrozumieć nie można. A więc żywo manifestowana przez Hertza radość z powodu stawianej przez Garaudy tezy, że trzy główne gmachy sztuki: estetyzm, indywidualizm artysty i... ucieczka do sztuki obcej narodowi i jego dramatom... winny ulec zagładzie, sąsiaduje nieomal z takim zdumiewającym zdaniem: „Jednym z naczelnych praw winno być prawo do zachowania własnej indywidualności twórczej”. W końcowych uwagach, w rozważaniu o André Gide nieoczekiwane najzupełniej zdanie: „Nie należy mierzyć go meirem użyteczności na dziś.” Jak zdanie to pogodzić z domaganiem się zaopatrywania dzieł literatury zachodniej w komentarz ideologiczny, przeznaczony właśnie na dzisiaj — nie wiem zupełnie.

Jak te sprzeczności wyjaśnić, czym są one wywołane?

Wydaje mi się, że będą niedaleki od prawdy, jeżeli uzasadnienia dla sprzeczności tych szukać będę w owym zatrzymaniu się Hertza w jakimś punkcie, w owej rozterce wewnętrznej. Innego — przyznaje się — wytłumaczenia nie widzę.

Zakończona w sobie i sobą pochłonięta psychika Hertza na skutek nacisku zewnętrznego, niektóre wlezy swe rozluźniła, lecz nie wyzbyła się swych nawyków i upodobań. I teraz na przekór wszystkim trudnościom próbuje te dawne upodobania i nawyki z teraźniejszością godzić, znaleźć między nimi most, który by je połączył. Lecz czyż most taki istnieje, czyż można je połączyć? I dalej czy usiłowanie budowania mostu jest rzeczą dozwoloną?

Wydaje mi się, iż w Hertzku mimo wszystkich nagromadzonych okrzyków i frazesów istnieje walka. Walka cicha, starannie ukryta, zamaskowana celowym i cierpliwym wysiłkiem. Walka ta jest bolesna, może nawet tragiczna. Chcę wierzyć, że walka ta w Hertzku istnieje.

MR.

Książki angielskie

W bogatej współczesnej historiografii angielskiej Christopher Dawson zajmuje specjalne miejsce. Jest to historyk kultury, który opanował metodę socjologiczną i dysponuje gruntowną wiedzą filozoficzną. Gorący katolik, interesuje się przede wszystkim problemami, związanymi z rolą religii w dziejach. Imponuje rozległością horyzontów, solidnością wiedzy, oryginalnością koncepcji, nieraz wywołujących sprzeciw, ale zawsze bardzo świeżych, pobudzających do myślenia, czasem otwierających zupełnie nieoczekiwane horyzonty. Książki jego raz jęszcze pokazują, jak płodną rzeczą w nauce jest łamanie granic pomiędzy poszczególnymi «specjalnościami».

Z jego większych, wcześniejszych książek znam tylko jedną, *The Making of Europe*, historię dziejów Europy od IV do X wieku naszej ery. W całym przeciągu dziejów Europy nie ma chyba okresu, który by laikowi nie wydawał się bardziej jałowym, «pustym» i który by nie był gorzej znany niż właśnie te wieki, będące tematem książki Dawsona. Otóż Dawson potrafił tu nie tylko z różnorodnych danych — źródeł pisanych, danych archeologicznych, językoznawczych, analizy zabytków sztuki — nakreślić obraz dziejów Europy we wczesnym średniowieczu, zupełnie różny od tego, jaki znamy z tradycyjnych ujęć, ale także uczynić go nam zrozumiałym, pokazać wewnętrzną logikę procesów historycznych, grę sił, które nimi kierowały. Książka daje więcej niż obiecuje tytuł: obejmuje ona bowiem nie tylko Europę wczesnego średniowiecza, ale także muzułmański Wschód, syryjskich chrześcijan, zahacza o Afrykę. I w świetle wywodów Dawsona taki zasięg tematyczny książki, poświęconej formowaniu się jedności kulturalnej średniowiecznej Europy, nie jest wcale żadną dowolnością. Książka pokazuje — bowiem — i to jest bodaj czy nie najbardziej fascynująca jej cecha — wzajemne oddziaływanie na siebie kultur, zdawałoby się, zupełnie sobie obcych i wzajemnie dla siebie egzotycznych.

W czasie wojny Dawson ogłaszał broszury, poświęcone współczesnemu kryzysowi kultury. Źródło tego kryzysu widzi on w sekularyzacji kul-

tury, wyjście z niego — w odrodzeniu życia religijnego i przywróceniu religii w życiu społecznym tej roli, jaką miała dawniej. Religię bowiem uważa on za element dynamiczny kultury i czynnik jej duchowej jedności («a spiritual integration»).

Ostatnia jego książka *Religion and Culture* (Sheed and Ward) wyrosła z tych samych zainteresowań i niepokojów. Jest to jednak w założeniach swoich książka historyczno-socjologiczna, a nie publicystyczna. Celem jej jest pokazanie na bardzo rozległym materiale — tak historycznym, jak i etnologicznym — rozmaitych typów współżycia religii z kulturą i rozmaitych rodzajów wzajemnych oddziaływań: jak ideały religijne kształtowały tak czy inaczej sposób życia starożytnych Egipcjan, Chinczyków z okresu Konfucjusza czy meksykańskich Indian Pueblo, i, odwrotnie, w jaki sposób warunki polityczne, społeczne, gospodarcze danej kultury wyciskały swoje piętno na religii, takim czy innym ujęciu jej dogmatów, jej rytuał, funkcji społecznej. Książka analizuje rolę religii zarówno jako czynnika rewolucyjnych zmian (klasycznym przykładem jest tu ta rewolucja, jaką przyniósł ze sobą Mahomet), jak i jako czynnika konserwatywnego kulturalnego. Uprzymiarnia, jak różnorodne i skomplikowane mogą tu być związki, pokazuje jak np. religie, odwracające się od życia doczesnego, potrafią być jednak potężnym czynnikiem dynamiki zmian kulturalnych.

Dla zagadnień naszego, współczesnego kryzysu książka nie przynosi żadnego «rozwiązania». To bowiem jak rozwijał zagadnienie roli religii w swoim życiu społecznym taoiści w Chinach czy tubylecy z Centralnej Nigerii, nie może być żadną receptą dla naszych, zupełnie swoistych intelektualnie i społecznie, czasów. Ktoby więc w książce chciał szukać rozwiązania problemów życia współczesnego, tego spotka tutaj zawód, jakkolwiek i tego rodzaju czytelnik może przeczytać tę książkę z pożytkiem, pozwoli mu ona bowiem ujmować zagadnienie współczesnego kryzysu w szerokiej perspektywie historycznej.

Natomiast jako studium z zakresu socjologii religii jest to książka bar-

dzo wybitna. Dawson nie tylko odznacza się rozległą i wielostronną erudycją. W dzisiejszych czasach rozbudowanej organizacji nauki, wielkich kompendiów i bibliografii, ostatecznie o erudycję nie tak znów trudno. Co w Dawsonie imponuje, to że erudycja jego jest tak doskonale zdyscyplinowana. Jak przystało na człowieka, mającego bardzo żywy stosunek do zjawisk religijnych, zawsze skupia on swoje zainteresowanie przede wszystkim na treści duchowej religii, jest zawsze doskonale świadomy hierarchii problemów, które omawia. Książka jego nie ma nic z tych, wcale częstych studiów religiohistorycznych, które nieraz imponują bogactwem wiedzy, ale równocześnie natrętnie przypominają źle odkurzone muzeum osobliwości. Z drugiej jednak strony w książce Dawsona nie ma nic z wyznawczej rozlewności lirycznej. Pisana jest ona przez człowieka, którego problemy religijne pasjonują, ale który o problemach tych stara się mówić językiem możliwie najprostszym, najciszej i najbardziej bezosobowym.

Jedyny poważniejszy zarzut, jaki trzeba książce tej postawić, to że jest ona za zwięzła w stosunku do bogactwa treści, które obejmuje. Powstała ona jako cykl wykładów, wygłoszonych w ubiegłym roku na uniwersytecie w Edynburgu i być może, iż ta właśnie okoliczność narzuciła książce jej rozmiary. W każdym bądź razie zwłaszcza pierwsze jej rozdziały sprawiają wrażenie bardziej streszczenia większej całości niż rozprawadzonego już wykładu. Dzięki temu też jest to książka miejscami trudna w lekturze.

A titre de curiosité dodajmy jeszcze, że jednym z źródeł wiedzy Dawsona o szamanizm jest **Dwanaście lat w kraju Jakutów** Sieroszewskiego, którego nazwisko nb. stale cytowane jest w książce jako «Sieroszewski».

Książka zbiorowa pod redakcją Richarda Marcha i Tambimuttu **T. S. Eliot. A Symposium** (Editions Poetry) wydana została dla uczczenia przypadającej w bieżącym roku sześćdziesiątej rocznicy urodzin wielkiego poety. Składają się na nią wiersze na cześć Eliota, wspomnienia — tych jest najwięcej — dobrane tak, że pokazują go nam w różnych okresach jego życia i w różnych funkcjach, wreszcie artykuły krytyczne. Wśród

poetów, którzy uczcili Eliota wierszami, znajdujemy dwa znakomite nazwiska: Edith Sitwell i W. H. Audena.

Książka jest charakterystyczna i godna uwagi z kilku względów. Przede wszystkim zarówno sam fakt wydania takiej książki, jak i to co się w niej o Eliocie mówi, świadczy, iż osiągnął on już dzisiaj pozycję powszechnie — czy niemal że powszechnie — uznanego klasyka literatury angielskiej, czołowego, reprezentacyjnego pisarza swojego pokolenia. Nikt inny ze współczesnych pisarzy angielskich (czy nawet, ujmując szerzej, anglo-amerykańskich) nie może się z nim tutaj mierzyć.

Ale to jeszcze nie jest najciekawsza nauka, jaką można wnieść z lektury tej książki. Ostatecznie, i bez niej jako tako zorientowany w angielskim życiu literackim czytelnik wiedział, że Eliot jest jedynym współczesnym pisarzem angielskim, o którym można bez obawy wpadania w przesadę mówić jako o pisarzu wielkim. Natomiast mało chyba kto zdawał sobie sprawę z tego, jak głęboko sięga wpływ Eliota w różnych literaturach świata i jak szerokie zakreślił kręgi. Książka jest w składzie swoich współpracowników bardzo międzynarodowa. Są tu głosy nie tylko z różnych krajów europejskich: z Francji (Pierre-Jean Jouve i Henri Fluchère), z Włoch (tych szczególnie dużo), z Niemiec (E. R. Curtius, znany jako znakomity znawca nowszej literatury francuskiej, który jeszcze w latach dwudziestych przełożył na język niemiecki **Ziemię jałową** Eliota), z Grecji — ale także z Indii i z Cello (niestety nie ma żadnego Polaka). Jeśli wierzyć autorom zamieszczonych tu wspomnień i studiów, Eliot poważnie zaważył na rozwoju współczesnej poezji nie tylko w Europie, ale także i w Indiach. Po raz pierwszy od czasów Byrona mamy do czynienia z poetą angielskim o tak rozległym zasięgu wpływów w świecie, przy czym inaczej niż w wypadku Byrona prestiż Eliota na szerokim świecie pokrywa się z tym, co się o nim myśli w jego ojczyźnie. W ciągu ostatnich stu lat awangarda poetycka świata zapatrzona była przede wszystkim w poezję francuską i we Francji rozdziły się nowe prądy poetyckie o zasięgu światowym. Casus Eliota, który zresztą uformował się pod bardzo silnym i głębokim wpływem poezji francuskiej, jest na tym tle zja-

wiskiem wyjątkowym. Trudno by było jeszcze dzisiaj mówić, w jakiej mierze mamy tu do czynienia z osobistym tylko jego triumfem, a w jakim ze zjawiskiem o szerszym zasięgu. Sam fakt jest w każdym bądź razie bardzo znamienity.

Warto wreszcie zwrócić uwagę na jedną jeszcze właściwość tej książki. Jest to książka jubileuszowa, poświęcona wielkiemu poecie. Zdawałoby się, że będzie więc w niej z konieczności dużo uroczyściego, górnego frazesu. Pomyśleć tylko, co się u nas w analogicznych okazjach wypisywało. Otóż nic podobnego. Co prawda trybuty poetyckie tej książce uderzają w bardzo górne tony, Edith Sitwell np. pisze o Eliocie jako o «Prometeuszu» o «ognistym sercu», ale za to proza książki — jak na prozę przystało — jest zazwyczaj zwięzła w artykułach jej angielskich współpracowników, utrzymana w duchu miłej naturalności i prostoty. Tytuł wspomnień Clive Bella **Jak młodo jest znać p. Eliota** jest bardzo charakterystyczny dla atmosfery całej książki. Inny charakterystyczny przykład to wspomnienia F. V. Morley'a **T. S. Eliot jako wydawca**, poświęcony pracy Eliota w znanym wydawnictwie londyńskim Faber and Faber. Dostał się on tam wtedy, kiedy był uznawany tylko przez niewielkie kręgi literackie i gwałtownie zwalczany w krytyce. Co za wdzięczny, wydawałoby się, temat do budującej legendy literackiej: znana firma wydawnicza poznaje się na wielkim poecie i stwarza mu podstawy egzystencji. Okazuje się jednak, że wspomnień Morley'a, iż Eliot dostał tę posadę nie z racji swoich kwalifikacji poetyckich, ale dlatego, ponieważ uważano, że jako były urzędnik bankowy będzie się znał na zasadach kalkulacji wydawniczej, i ponieważ ma dobre maniery, jest gentlemanem. Nie oszczędzono go w pracy także i później, kiedy jego pozycja literacka coraz mocniej się ugruntowywała.

W stosunkach z kolegami lubił kawalery. Kochał się w wielkich parasolach. Itd., itd.

I oto rzecz ciekawa. Poprzez te bezpretensjonalne wspomnienia czytelnik jest w oczach ludzi, którzy wspomnienia te spisałi, jeśli może i nie «Prometeuszem», to w każdym bądź razie kimś bardzo wybitnym i niezwykłym. Pod tym względem swoją «jubileuszową» funkcję wypełniają one kto wie czy nie lepiej od najwznioślejszych panów: nikt nie może podejrzewać ich szczerości.

Osbert Lancaster jest znawcą architektury, podróżnikiem i dobrym stylistą: pisze dowcipnie, zgrabnie i z wdziękiem. Jest też znakomitym ilustratorem swoich książek. Liczne rysunki, doskonale wychwytyjące to co jest charakterystyczne w greckiej architekturze czy też zabawne wśród greckich typów ludności, na pewno były nie ostatnim urokiem jego książki o powojennej Grecji **The Classical Landscape**, wydanej w ubiegłym roku i dobrze przyjętej przez krytykę. Można się też świetnie ubawić rysunkami jego ostatniej książki **The Saracen's Head** (John Murray). Jest to powieść ogromnie rzadkiego dzisiaj typu, mianowicie humorystyczna powieść historyczna. Bohaterem jej jest dobrze znana z dawniejszej tradycji literackiej postać bardzo niebohaterem niedołęgi, który sam nie wiedząc jak, dzięki przypadkowemu zbiegowi okoliczności wstawia się w czasie wyprawy krzyżowej i wraca do domu w głorii znakomitego rycerza. Jest tu trochę z parodii Waltera Scotta, trochę zabawnego operowania anachronizmami, trochę dowcipnej inwencji językowej w nazwiskach. Książka jest miłą lekturą rozrywkową, ale poważniejszej wartości literackiej nie posiada. Prawdopodobnie zresztą do niej i nie pretendowała.

Wiktor WEINTRAUB.

Niemcy podziemne

ALLEN W. DULLES: **L'Allemagne Souterraine**. Editions des Trois Colines, Paris-Genève, 1947. Str. 268 + 4 nb.

Allen W. Dulles miał niewątpliwie

wszelkie dane ku temu, aby napisać pracę o podziemiu niemieckim i to pracę dużo bardziej obiektywną niż wszelkie inne publikacje, poświęcone niemieckiemu «ruchowi oporu». Przede wszystkim dlatego, że jest

Amerikaninem, podczas gdy inni autorzy są Niemcami. Dalej dlatego, że był on tylko obserwatorem, podczas gdy autorzy niemieckich publikacji byli sami uczestnikami konspiracji antyhitlerowskiej. A wreszcie również i z tego tytułu, że w czasie wojny zajmował stanowisko szefa tajnej «Służby Strategicznej» amerykańskiej w Bernie, a po wojnie miał dostęp do szeregu dokumentów, jak akta Gestapo, akta śledztwa i procesu uczestników zamachu na Hitlera 20 lipca 1944, akta procesu norymberskiego itp.

Istnieją jednakże również pewne przesłanki, które raczej nakazywałyby ostrożność w traktowaniu jego świadectwa. Jedną natury osobistej. Jest on mianowicie bratem doradcy w sprawach zagranicznych niedoszłego prezydenta U.S.A. Deweya Fostera Dulles'a, którego proniemieckie nastawienie i sympatie są powszechnie znane. Drugą przesłanką jest już ściśle rzeczowa i odnosi się do samej pracy. W całej książce jest zaledwie kilka dokumentów cytowanych przez autora. Na poparcie ogromnej większości swoich stwierdzeń nie powołuje on żadnych źródeł, a z treści wynika, że opierał się w dużej mierze na informacjach ustnych uczestników ruchu oporu, przy czym głównym informatorem był Gisevius. Świadectwa te mogą nieraz być dość wątpliwą wartością. Gisevius miał i ma zapewne powody do wyolbrzymiania podziemia, a szereg faktów, podanych przez niego samego w książce pt. **Bis zum bitteren Ende**, zostało z różnych stron zakwestionowane.

Dulles rozpoczyna od stwierdzenia, że niemiecki ruch oporu był rzeczywistością, mimo iż chciano udowodnić coś innego. Zdaniem jego istniała faktycznie tajna, konspiracyjna organizacja antyhitlerowska, obejmująca wszystkie klasy społeczeństwa niemieckiego i wszystkie partie czy kierunki polityczne, sięgająca swymi rozgałęzieniami do armii, administracji państwowej na wysokich szczeblach, kościołów, syndykatów robotniczych itp. W książce uwzględnione są szczególnie obszernie stanowisko armii, a właściwie generałów, wywiadu (Abwehry), intelektualistów (uniwersytety), kościołów, Himmlera, kontakty z zagranicą. Daje on też obszerny opis wszystkich zamachów na Hitlera, uwzględniając nawet projektowane a niedoszłe lub wykonane a niedale.

Trudno jest oczywiście na tym miejscu streszczać tę interesującą książkę, którą miejscami czyta się niemal jak romans kryminalny. Trzeba podkreślić, że autor zebrał pracownie wszelkie przejawy opozycji w Niemczech hitlerowskich. Uwzględnione zostały nie tylko najmniejsze grupki, ale i poszczególne osoby. Autor wymienia nie tylko osoby w taki lub inny sposób współpracujące, lub choćby jedynie kontaktujące się z konspiracją, ale nawet osoby, których opinie polityczne (zresztą nie przejawiane na zewnątrz) nie zgadzały się z kierunkiem nazistowskim. Część więc cytowanych przez niego osobistości nie można żadną miarą zaliczyć do członków ruchu oporu, a zaledwie do kategorii t.zw. «dobrych Niemców».

Te wszystkie, tak pracownie i skrupulatnie zebrane fakty, stoją w sprzeczności ze sformułowaniami ogólnymi Dulles'a. Wnioski jakie się z nich nasuwają pokrywają się natomiast z obrazem, jaki można sobie było wytworzyć z lektury pamiętników Hassela, omówionych przez nas w numerze 8-mym **Kultury**. Pierwszy i zasadniczy wniosek to ten, że wbrew twierdzeniu autora, nie było właściwie żadnej jednolitej organizacji podziemnej. Byli poszczególni ludzie, w najlepszym razie były grupki i kółka nieliczne, o charakterze raczej elitarnym czy «kadrowym». Natomiast nie było żadnego powszechnego, zorganizowanego «ruchu oporu». Dulles wymienia obszernie powody słabości niemieckiego podziemia. Głównym argumentem jest trudność, stworzona przez terror nowoczesnego, dysponującego znacznymi środkami technicznymi, państwa policyjnego. Jednakże ten sam terror nie przeszkodził np. Polakom w zorganizowaniu całego państwa podziemnego.

Mimo, iż autor kilkakrotnie podkreśla, że podziemie niemieckie nie było bynajmniej reakcyjne i że miało szeroki zasięg społeczny, w pracy jego nie znajdujemy potwierdzenia tej opinii. Całe podziemie w praktyce ograniczało się do kilkunastu polityków i wyższych urzędników oraz kilkudziesięciu oficerów z dużą przewagą oficerów wyższych i z jeszcze większą przewagą arystokracji i starej kasty junkrów pruskich. W tym całym towarzystwie dla ozdoby, jak rodzyńki w cieście, figuruje kilku zaledwie duchownych, intelektualistów i parę osób z wolnych zawo-

dów tudzież kilku dawnych przywódców robotniczych. Ani w sensie ilościowym, ani zasięgu społecznego, podziemie niemieckie nie było nigdy ruchem masowym.

W przeciwieństwie do tego, ciekawą cechą charakterystyczną tego «ruchu oporu» jest przynależność do konspiracji lub kontaktowanie się z nią szeregu osób na wysokich, nieraz nawet kluczowych stanowiskach. Podziemie miało swoich ludzi w MSZ i innych ministerstwach, w policji, a przede wszystkim w armii i w wywiadzie. Było w nim zaangażowanych bezpośrednio lub pośrednio szereg generałów, szef wywiadu i jego zastępca, w końcowej zaś fazie nawet takie asy, jak marszałkowie Rommel i Kluge.

Jakie było oblicze ideowo-polityczne podziemia? Program polityczny opracowany był przez grupę hr. Helmutha von Moltke (wnuk wielkiego marszałka) t.zw. «Koło Kreisau». Pokrywał się on mniej więcej z ideologią polityczną najpoważniejszej grupy Beck-Goerdeler, do której należał i Hassel. Program ten opierał się o etykę chrześcijańską i nazywany jest przez Dulles'a socjalizmem chrześcijańskim. Przewidywał on nacjonalizację ciężkiego przemysłu, banków i towarzystw asekuracyjnych, udział rad załogowych w kierownictwie przedsiębiorstw, podział Niemiec na prowincje, tworzące razem federację. Wybory do sejmików prowincjonalnych miały być powszechne i bezpośrednie, sejmiki te zaś miały wybierać członków Reichstagu. W dziedzinie polityki zagranicznej program «Koła Kreisau» wypowiadał się za stworzeniem federacji europejskiej, ograniczeniem suwerenności państw i oparciem nowego ładu na prawie międzynarodowym. Dulles nie wspomina niestety o tym, jak sobie wyobrażali ci ideolodzy «ruchu oporu» granice Niemiec. Przypomnijmy, że grupa Beck-Goerdeler żądała w tym zakresie na wschodzie granic Cesarstwa Niemieckiego z 1914 r.! Program tej ostatniej grupy był w swoim czasie doreczony Dullesowi, kiedy w latach wojny utrzymywał on w Szwajcarii szerokie kontakty z delegatami niemieckiego «ruchu oporu» i ten punkt programu nie może mu być obcy. Widać wolał o nim nie wspominać.

Analizując poszczególne elementy podziemia, Dulles poświęca specjalne rozdziały roli kościołów oraz intelektualistów i uniwersytetów, przy

czym dochodzi do stwierdzenia, że rola tych czynników była właściwie żadna. Nie potrafiły się one przeciwstawić Hitlerowi. Kościoły usiłowały z początku jakoś ułożyć sobie współzycie z hitleryzmem, potem zamknęły się w milczącej opozycji. Z drugiej strony przywódcy hitlerowscy woleli odłożyć porachunki z religią i kościołami na okres powojenny. Świat intelektu, a przede wszystkim uniwersytety właściwie poszły niemal bez protestu za Führerem, nie zdobywając się na żadną opozycję wobec tego ruchu antyintelektualnego, jakim był hitleryzm. Sporadyczne wypadki oporu lub skwapliwie zanotowane przez autora opinie antyhitlerowskie niektórych niemieckich profesorów czy intelektualistów, w niczym nie zmieniają tego stanu rzeczy. Dulles poświęca też jeden rozdział swej książki t.zw. lewicy niemieckiej, w szczególności komunistom. Zaznacza, że opozycja komunistów zaczyna się dopiero od chwili uderzenia Niemiec na Rosję. Jednakże nie prowadzili oni właściwie żadnej akcji podziemnej, nawet takiej jak prawica niemiecka. Twierdzenie autora, który wśród powodów tego, wymienia m. in. rzekomo wstręt marksistów do terroru indywidualnego, jest raczej zabawne. Jedyną akcją komunistów, znana pod nazwą Rote Kapelle była właściwie niczym innym, jak szpiegostwem wojskowym na rzecz Sowietów.

Stosunkowo największe rozgałęzienie podziemia niemieckiego było w armii. Opozycja generałów sięga jeszcze czasów przedwojennych. Od samego początku generałowie byli przekonani, że ten «kapral-dyletant» sprowadzi katastrofę na Niemcy. Dlatego przeciwstawiali się wszystkim po kolei projektom zaboreczym Hitlera. Uważali, że Niemcy nie są przygotowane do wojny i wierzyli w to, że Anglia i Francja nie dopuszczą do podbojów. Przepowiadali katastrofę przed reokupacją Saary i przed Anschlussem, przed kryzysem sudeckim i przed zajęciem Czech, przed atakiem na Polskę i przed ofensywą przez Holandię i Belgię. Rzeczywistość zakpiła z nich. Za każdym razem miał «kapral-dyletant». Znał lepiej demokrację zachodnią. Miał «wyczucie», które przeciwstawiał fachowcom. Najęższe głowy niemieckiego sztabu wyszły przy Hitlerze na durniów aż do ostatniej sprawy — ataku na Rosję. Otwarcie drugiego poważnego frontu niewątpliwie zgubiło Niemcy.

To przekonanie generałów było jedynym widocznym powodem ich opozycji. Nie mieli zastrzeżeń «ideologicznych» przeciw agresji. Kiedy na odprawie przed atakiem na Polskę Hitler zapowiedział, że naród polski będzie pod okupacją tępony bez względu na prawa wojny, nikt z generałów obecnych nie podniósł żadnych obiekcji.

Jeżeli przejdziemy z kolei do działania niemieckiego ruchu oporu, to i w tym wypadku fakty opisane przez Dullesa przeczą jego zasadniczym twierdzeniom. Cechą bowiem najbardziej charakterystyczną całej konspiracji antyhitlerowskiej jest jej bezczynność. Konspiratorzy zjeżdżają się, kontaktują, konferują, planują, dyskutują, nawiązują kontakty z zagranicą. To wszystko. Jakiś specyficzny bezwład, atrofia woli, strach przed czynem. Cywile uważali — i słusznie — że jedyną drogą jest wojskowy zamach stanu. Cóż z tego, kiedy generałowie nie mogli się nań zdobyć. Dulles jest dużo bardziej względny i życzliwy w ocenie generałów, niż np. Hassel, który potępia ich w czambuł jako głupców, tchórzów, oportunistów itp. Ale nie może oczywiście zatrzeć prawdy o generałach, która przeziiera z kart jego książki. Mimo to jednak, trzeba podkreślić, że w porównaniu ze wszystkimi innymi kołami niemieckimi, armia, a zwłaszcza koła wyższych oficerów były główną bazą i ostoją opozycji. Z tych kół też wyszli na koniec ludzie,

którzy odważyli się na zamach na Hitlera. Generałowie oceniali słusznie, że pozycja Hitlera jest tego rodzaju, iż każdy zamach stanu skazany jest na klęskę o ile Hitler będzie przy życiu. Z drugiej strony przez wiele lat nie mogli się zdecydować na usunięcie go. Dopiero, kiedy klęska Niemiec stała się oczywista, zapadła decyzja zamachu na Hitlera i po jego śmierci opanowania władzy drogą wojskowego zamachu stanu. Taka była geneza dwu nieudanych zamachów i ostatniego napółudanego w dniu 20 lipca 1944, w którym jednakże Hitler życia nie stracił, a za który zapłaciło życiem całe prawie podziemie niemieckie.

W zakończeniu książki Dulles poświęca jeszcze parę uwag poszukiwaniu przez niemiecki ruch oporu porzucenia zagranicą i problemowi «między wschodem a zachodem», który się dla Niemiec wyłonił. Wreszcie daje rozważania o technice opanowywania władzy i rządu systemem totalnym. Uwagi końcowe zawierają ustęp, który zaostrić musi naszą czujność: «My, zwycięzcy, zamknęliśmy Niemców w przestrzeni zmniejszonej, w której ani dziś ani w najbliższej przyszłości nie będą oni mogli się wyżyć i pracować w sposób użyteczny». Czyżby autor zapomniał, że od tego właśnie twierdzenia zaczął się niemiecki marsz na podbój świata?

Aleksander KORCZYŃSKI.

Bibliografia

Zaczątek bibliografii druków Polski Podziemnej pod okupacją 1939-1944

Zebranie bibliografii druków, wychodzących w Polsce w okresie lat 1939-1944, jest zadaniem bardzo skomplikowanym i trudnym.

Na emigracji dysponujemy źródłami niepełnymi dwu rodzajów: fotokopie pism wychodzących w kraju, oraz spisy pism wychodzących w kraju, zamieszczane jako aneksy do raportów Biura Informacji i Propagandy Sztabu Głównego AK, lub Departamentu Informacji Delegatury Rządu na Kraj. Oba typy materiałów znajdują się obecnie do dyspozycji jedynie w stanie szczątkowym.

Trzeba sobie powiedzieć, że gospodarka materiałami, przysyłanymi z Kraju podczas wojny, była wręcz marnotrawna. Raporty znajdują się w kilku miejscach, są w większości pogubione lub samowolnie rozparcelowane, prawdopodobnie wzbogacają prywatne zbiory co skrzątniejszych «zbieraczy». Ilość fotokopii daleka jest od ilości, jaką wysyłałiśmy z Kraju.

Wskutek tego stanu rzeczy, próba bibliografii pism podziemnych oraz broszur i wydawnictw sporadycznych czy wydawnictw przeznaczonych na akcję zewnętrzną w innych niż polski językach, musi być niepełna. Główne braki owej bibliografii są następujące:

1) Wykazuje jedynie pisma, figurujące w spisach lub znajdujące się między fotokopiami, które dotarły na zachód.

2) Dostępne materiały przeważnie nie określają przynależności pisma. Często w spisach nie ma nawet podtytułu, który określa grupę, wydającą dane pismo. Bibliografia musi zatem rubrykę ominąć lub podać ją słowami raportu BIP lub DI.

3) Okres ukazywania się danego periodyku jest na podstawie materiałów dostępnych albo w ogóle nie do ustalenia, albo nie da się dokładnie sprecyzować. Często na emigrację dotarł zaledwie jeden lub dwa numery pisma, z którym nie wiadomo co się stało później. Podanie dat granicznych pierwszego i ostatniego numeru napotyka na wielkie trudności. Ciągłość pisma jest następnym trudnym problemem do rozwiązania. Orientowanie się co do ciągłości pisma, według danych podanych przez redaktorów pism, jest bardzo zwodnicze. Napis może opiewać: tygodnik, rok czwarty wydawania, numer zawrotny, ale to jeszcze nie stanowi dowodu, że dane pismo ukazywało się przez te cztery lata regularnie co tydzień, w szacie graficznej znanej z posiadanego na emigracji egzemplarza. Każde z pism — to historia wielce skomplikowana: historia trudności technicznych, tragicznych wpadek, tygodników, które kończyły żywot jako jednodniówki i miesięczników, wychodzących co kwartał. Każde z pism może napisać własną historię zmagania i zwycięstw — mimo wszystko. Były pisma, które, jak *Biuletyn Informacyjny*, regularnie, bez jednej przerwy, redagowane były przez tego samego redaktora i przetrwały 5 lat okupacji; były pisma, które, jak *Walka* czy *Szaniec*, mimo ciągłych wycp na nowo, w coraz innym zespole, podejmowały ciągłość pracy.

4) Forma graficzna pisma da się określić jedynie w niewielu wypadkach. Trzeba przy tym zaznaczyć, że prawie wszystkie drukowane później pisma zaczynały druk na powielaczu, jak np. *Wiadomości Polskie*.

5) Nakład można w niektórych wypadkach podać według raportów z tym, że będzie to stan w pewnym określonym przekroju czasowym. Np. *Biuletyn Informacyjny* z pisemka Okręgu Warszawskiego o nakładzie plus minus 1000 egzemplarzy — doszedł w roku 1945 do zawrotnego, jak na warunki konspiracyjne, nakładu 50.000 egzemplarzy plus mutacja prowincjonalna.

6) W materiałach londyńskich brak prawie zupełnie danych, dotyczących pism prowincjonalnych. Z wyjątkiem 2-ech pozycji, wszystkie podane pisma wydawane były w Warszawie.

Z powyższego spisu koniecznych mankamentów owej bibliografii widać, że próba jest niekompletna i traktować ją należy jedynie jako ramy dalszych prac w tym kierunku. Redakcja *Kultury* podjęła inicjatywę zebrania danych bibliograficznych druków Polski Podziemnej, która w obecnej formie jest raczej czymś w rodzaju publicznej ankiety. Na zachodzie na pewno znajduje się wielu ludzi, którzy niniejsze dane mogą uzupełnić. W ten sposób powstać może na emigracji pełna bibliografia druków Polski Podziemnej z lat 1939-1944.

Zwracamy się więc tą drogą z apelem do czytelników o nadsyłanie redakcji *Kultury* wszystkich danych, jakie znajdują się w ich posiadaniu.

I. PERIODYKI

- 1) *Agencja Prasowa*; wyd. SSS; co 3 dni; 1939-1944 r.; powielacz; nakład: 150 egz.
- 2) *Agencja Wschodnia*; wyd. SSS; dwutygodnik; 1943-1944; druk.
- 3) *Agencja Zachodnia*; wyd. SSS; dwutyg.; 1943-1944; druk.
- 4) *Akcja*; zbliżone do Stronnictwa Dem. ZZZ; tyg; 1941 r.; nakł. 4.000 egz.
- 5) *Aktualne wiadomości z Polski i ze świata*; tyg.; od 1942 r...
- 6) *Atak*; ...; ...; od 1940 r...
- 7) *A.R.*; ...; codziennie.
- 8) *Barykada Wolności*; lewica socjalistyczna; od września 1941 r. jako *Barykady*; dwutyg.; ...; nakł. 500 egz. w 1941 r.
- 9) *Biedronka*; pismo dla dzieci; dodatek do *Zywią*; PSL; ...
- 10) *Biuletyn*; ...; od 1940 r...
- 11) *Biuletyn Gospodarczy*; ... od 1942 r. VIII-1943 r. XII?
- 12) *Biuletyn Informacyjny*; wyd. SSS; tyg.; 1939-1944; druk; nakł. 1941 — 1.200, 1943/4 — 50.000.
- 13) *Biuletyn Informacyjny Polskiej Organizacji Narodowo-Syndykalistycznej*; ...; wzmianka 1941 r.
- 14) *Biuletyn Niepodległości*; ...; niereg.; wzmianka 1941 r.
- 15) *Biuletyn Polski*; ...; tyg.; od I. 1940 r.
- 16) *Biuletyn Słowiński*; miesięcznik, poświęcony zagadnieniom Europy Środkowej; ...; od 1943 r...
- 17) *Biuletyn Żołnierski*; ...; niereg.; 1940-1941 r...
- 18) *Chłopski Bój*; ...; niereg.; wzmianka 1941 r.
- 19) *Chłop i Robotnik*; lewica socjalistyczna; dwutyg.; wzmianka 1941 r.; ...; 1941 r.: nakład 2.000 egz.
- 20) *Czerwony Szlandar*; komuniści-trockiści; tyg...; nakład 1941 r.: 2.000 egz.
- 21) *Czyn*; pismo syndykalistyczne; ZSP.; ...; od połowy 1943 r...
- 22) *Dekada*; ...; ...; od 1943 r...
- 23) *Demokrata*; codzienne pismo ilustrowane; grupa młodych socjalistów i ludowców; od 1943-1944 r.; powielacz.
- 24) *Dni Warszawy*; ...; ...; 1940-1944 r.
- 25) *Do Broni*; pismo Żołnierzy Uderzenia; wydawnictwo Konfederacji Narodu; ... tyg.; od 1942-1943 r.; od nr 4-go zmiana nazwy: *pismo Nowej Polski*.
- 26) *Dokumenty Chwili*; DI; miesięcznik; od VI 1943-1944; powielacz; nakład 75 egz.
- 27) *Droga Wolności*; ZZZ; dwutyg.; od VIII 1940 do 1941 r.; ...; nakład 1941 r.: 2.000 egz.
- 28) *Dziennik Polski*; SSS Kraków; ...; od 1940 r.
- 29) *Dziennik Radiowy*; DI; dwa razy dziennie; 1940-1944 r.; powielacz; ...
- 30) *Dziennik Radiowy*; SSS; dziennik; 1939-1944 r.; powiel.; nakład: 150 egz.
- 31) *Dziennik Ustaw*; Delegatura; ...; od VII 1940 r...; druk.

- 32) *Dziś i Jutro*; SSS.
 33) *Dzwon Polski*; ...; tyg.; 1940-1943 r.
 34) *Dźwigary*; czasopismo społeczno-literackie; ...; ...; 1941-1944 r...
 35) *Echo*; ...; ...; 1940-1943...
 36) *Fakty na tle Idei*; dodatek polityczny *Nowej Polski*; Grupa Nowej Polski; ...; wzmianka 1941 r...
 37) *Głos Demokracji-Tygodnik Polski*; organ SPD; od 1942-1944 r.
 38) *Głos Polski*; organ Biura Politycznego; tyg.; 1940-1941 r...
 39) *Głos Pracy*; organ PZW; 1941-1944 r.
 40) *Głos Prawdy*; Polska organizacja Wolność (bezp.? grupy byłego reżimu); dekada; wzmianka 1941 r...
 41) *Głos Warszawy*; Stronnictwo Pracy; miesięcznik; wzmianka 1941 r.; nakład 1941 r.: 2.000 egz.
 42) *Głos Wolny*; pismo niezależne; ...; dwumies.; 1944 r...
 43) *Gwardia*; PPS dla młodzieży socjal. TUR; tygodnik; ...; nakład 1941 r.: 2000 egz.; od XI 1941 r.: *Gwardia Ludowa*.
 44) *Guardzista*; AL; ...; 1944 r...
 45) *Idzie Wolność*; ...; ...; 1944 r...
 46) *Informator*; ...; ...; wzmianka w 1940 r.
 47) *Informator Robotniczy*; w Radomiu; ...; od VIII 1940 r...
 48) *Insurekcja*; SSS; miesięcznik; 1940-1944; druk.
 49) *Inteligencja Pracująca*; pismo poświęcone zagadnieniom pracowników umysłowych; wyd. Polska Walczy; ...; od VII 1943 r.
 50) *Jutro PN*; Stowarzyszenie Jutro Polski Niepodległej; tyg.; wzmianka 1941 r.; nakład 1941 r.: 2.000 egz.
 51) *Kadra*; PN; ...; 1940-1944.
 52) *Komunikat Wolnej Polski*; ...; niereg.; wzmianka 1941 r.;
 53) *Kraj*; Agencja Informacyjna; DI; miesięcznik; od połowy 1943-1944 r.
 nakład 1941 r.: 750 egz.
 54) *Kronika Okupacji*; część P.P.S.; mies. nieregularny; wzmianka 1941 r.;
 55) *Kronika Polityczna*; Niezależni Demokraci; dekada; od 1941 r...
 56) *Kultura Jutra*; miesięcznik poświęcony zagadnieniom nauki, sztuki wychowania; ...; od I 1944 r...
 57) *Latarnia*; ...; miesięcznik; wzmianka 1941 r.; nakład 1941 r.: 2.000 egz.
 58) *Lipa*; ...; nieregularna od 1940-1941 r.
 59) *Miecz i Pług*; młodzież katolicka i sodalicyjna; tygodnik; od 1941 r.
 60) *Młoda Demokracja*; organ ruchu Młodej Demokracji; od 1944 r.
 61) *Młoda Polska*; organ młodych; ...; od 1942-1944 r.
 62) *Młody Nurt*; ...; ...; od 1943-1944 r.
 63) *Młodzież*; dla starszej młodzieży; od 1941 r.
 64) *Młodzież socjalistyczna*; WRN; od 1944 r.

- 65) *Młodzież walcząca*; OPW; od 1943-1944 r.
Monitor Polski, dziennik urzędowy R. P.; od VII 1940 r...; vide nr 31.
 66) *Mysł*; grupa radykalnej młodzieży; wzmianka 1941 r.
 67) *Mysł Chłopska*; ...; od 1943 r...
 68) *Mysł i życie*; od 1940 r.; powielacz.
 69) *Mysł Państwowa*; agencja polityczna; grupa sławkowców; od IX 1941-1944 r.
 70) *Mysł społeczno-polityczna*; organ Stronnictwa Demokratycznego; dwutyg.; od 1941 r.; nakład 1941 r.: 500 egz.
 71) *Na odwiecznym szlaku polskim*; ...; nieregul.; wzmianka 1941 r.
 72) *Na posterunku*; ...; niereg.; wzmianka 1941 r.
 73) *Naród*; grupa Unia Stronnictwo Pracy; od 1941-1944 r.
 74) *Naród i Wojska*; ...; ...; od 1941-1943 r.
 75) *Nowa Mucha*; tygodnik; od IX. 1940 r.
 76) *Nowa Polska*; Konfederacja Narodu; ...; od 1941 r.
Nowe Drogi, dawniej *Mysł Społeczna i Polityczna*; organ Str. Demokr.; vide nr 70.
 77) *Nowe Jutro*; lewica PPS; niereg.; wzmianka 1941 r.; nakład 1941 r.: 2.000 egz.
 78) *Nowiny Polskie*; ...; nieregularny; wzmianka 1941 r.
 79) *Nurty*; ...; ...; 1944 r.
 80) *Orka*, *Prawda Zwycięży*; organ Inteligencji Ludowej; 1941-1944 r.
 81) *Orleńta*; bezpartyjne dla młodzieży; wzmianka 1941 r.
 82) *Państwo Polskie*; OPW; ...; od 1943 r...
 83) *Partyzant*; org. śp. gen. Bałachowicza; ...; 1940 do IX 1941 r.
 84) *Patrol* organ Walki Zbrojnej Hufców Polski; ...; od 1943 r.
 85) *Piastowy Szlak*; Grupa Szańca; wzmianka 1941 r.
 86) *Pionier*; pismo byłych legionistów i Strzelca; od 1941-1944 r.
 87) *Placówka*; ONR-ABC dla wsi; dwutyg.; od 1941-1944 r.; nakład 1941 r.: 3.000 egz.
 88) *Płomienie*; zeszyty socjalistyczne grupy socjalistów humanistycznych; niereg.; od 1942 do 1944.
 89) *Pobudka*; zaczyna jako samodzielna, później w ramach Konfederacji Narodu, od marca 1941 r. znów samodzielnie; dekada; 1940-1944 r.; druk; nakład w 1941 r.: 600 egz. (wg DI), 2.000 egz. (wg BIP.).
 90) *Pochodnia*; organ polskiej szkoły myśli i pracy społecznej; ...; 1944 r.
 91) *Polak*; ...; ...; 1941-1944 r.
 92) *Polska*; członkowie OPW; tyg.; 1940-1944.
 93) *Polska Agencja Prasowa*; ...; ...; wzmianka 1943 r.
 94) *Polka Czynu*; organ związku kobiet czynu ruchu Miecz i Pług; 1942-1944 r.
 95) *Polska dla Ludu*; komunistyczne; ...; wzmianka 1941 r.
 96) *Polska gospodarcza*; OPW; ...; 1944 r.

- 97) *Polska Informacja Antykomunistyczna*; ...; ...; 1944 r.
 98) *Polska Informacja Prasowa*; agencja prasowa tygodniowa; Biuro Polityczne; od 1941—IX, 1941; nakład 1941 r.: 100 egz.
 99) *Polska Ludowa*; ...; ...; od 1943 r.
 100) *Polska Odrodzona*; pismo związku odrodzenia narodowego; mies.; 1940-1944 r.
 101) *Polska po wojnie*; Grupa Szańca; wzmianka 1941 r.
 102) *Polska Walczy*; głos polskiej myśli demokratycznej; grupa członków SD i naprawy; dwutyg.; od 1940-1944 r.; nakład 1941 r.: 2.000 egz.
 103) *Polska w walce*; Wilno SSS; ...; wzmianka 1941 r., nakład 1941 r.: 1.500 egz.
 104) *Polska Zbrojna Moralnie*; FOP; ...; od 1941 r...
 105) *Polska żyje*; organ propagandowo-ideowy Centralnego Komitetu Obrońców Polski; tyg.; od II 1940 r.; w IV 1941 przestaje wychodzić; od 1942-1944 wychodzi; druk; w 1941 r. nakład 10.000 egz.
 106) *Polsce służ*; niezal. demokraci; bezpartyjne; codziennie; wzmianka 1941 r.; nakład 1941 r.: 750 egz.
 106a) *Polsce służ*; biuletyn; niezależni demokraci; tygodnik; wzmianka 1941 r.; nakład 1941 r. 500 egz.
 107) *Prawda*; FOP.
 108) *Prawda Dnia*; FOP; dwutygodnik; wzmianka 1944 r.
 109) *Prawda młodych*; FOP; ...; ...;
 110) *Prawda zwycięży*; FOP dla inteligencji wiejskiej; wzmianka 1941 r.
 111) *Proletariusz*; lewica PPS; tygodnik; wzmianka 1941 r.; nakład 1941 r.: 500 egz.
 112) *Próby dywersji*; ...; ...; wzmianka 1940 r.
 113) *Przegląd*; Koncern Roch; miesięcznik; od IV. 1941 tyg.; nakład 1941 r.: 6.000 egz.
 114) *Przegląd marksistowski*; komuniści-trockiści; miesięcznik; wzmianka 1941 r.; nakład 1941 r.: 500 egz.
 115) *Przegląd polityczny*; OPW; ...; od 1942-1944 r.
 116) *Przed Walkę do Zwycięstwa*; ...; ...; od 1940-1944 r.
 117) *Rada Narodowa*; organ KRN (Komunistycznej Rady Narodowej); ...; od 1944 r.
 118) *Radło*; PZW; mies.; wzmianka 1941 r.
 119) *Reforma*; dwutygodnik ideowo-polityczny; od 1942-1944.
 120) *Robotnik PPS*.
 121) *Robotnik*; RPPS.
 122) *Robotnik w Walce*; bezpart., były NZR; tyg.; od 1941 r.; nakład 1941 r. 2.000 egz.
 123) *Rzeczpospolita*; organ Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej; ZPMD; dwutygodnik; wzmianka 1941 r.
 124) *Rzeczpospolita Polska*; oficjalny organ Delegata Rządu; dwutyg.; od III 1941-1944 r.; nakład 1941 r.: 7.500 egz.
 125) «S»; OPW; ...; od 1943 r.
 126) *Servis*; szefostwo «akcji sześć»; ...; od 1944 r...
 127) *Sierp i młot*; komunistyczne; wzmianka 1941 r.

- 128) *Słowa Prawdy*; dwutygodnik komitetu prac społeczno-Politycznych «Pobudka»; od 1943 r.
 129) *Słowo Polskie*; ...; nieregularne; wzmianka 1941 r.
 130) *Sprawa* (dawniej *Akcja*); syndykaliści, odłam lewicowy dawnego ZZZZ; od 1941-1944 r.
 131) *Sprawa chłopska*, pismo syndykalistyczne; ZSP; od 1942-1944 r.
 132) *Sprawiedliwość*; ...; ...; wzmianka 1941 r.
 133) *Sprawy Łużyckie*; organ serbo-łużyckiego komitetu narodowego w Polsce; ...; od 1942-1943 r.
 134) *Sprawy Narodu*; ...; ...; od 1943 r.
 135) *Sprawy Polskie*; ...; ...; od 1940 r...
 136) *Strop*, agencja polityczna; ...; ...; od 1944 r.
 137) *Strzały*; ...; ...; od 1940 r.
 138) *Szaniec*; ONR-ABC; tyg.; od 1940-1944 r.; druk, nakład 1941 r.: 5.000 egz.
 139) *Szpilki*; ...; niereg.; w 1940-1941 r.
 140) *Sztuka i Naród*; miesięcznik literacki; ...; ...; od 1944 r.
 141) *Technika*; w gospodarce narodu; ...; ...; od 1941-1944 r.
 142) *Towarzysz Pancerny*; ...; ...; od 1941-1944 r.
 143) *Trybuna Ludów*; odłam PRS; kwartalnik; wzmianka 1941 r.; nakład 1941 r.; 5.000 egz.
 144) *Trybuna wolności*; organ PPR; ...; od 1942-1944 r.
 145) *Tydzień*; pismo informacyjne konwentu organizacji niepodległościowych; od 1943-1944 r.
 146) *Uwagi Polityczne*; grupa Barykady Wolności dla redaktorów pism socjalistycznych; ...; ...; wzmianka 1941 r.
 147) *Walka*; organ oficjalny SN; tygodnik; od 1940-1944 r.; druk; nakład w 1941 r.: 3.000 egz.
 148) *Walka i Wolność*; Raclawice; tygodnik od 1940 r...
 149) *Walka Ludu*; pismo syndykalistów zbliżonych do SD; dawne ZZZZ; ...; od ?-1944 r.
 150) *Walka o niepodległość* (dawniej *Wojsko i Niepodległość*); ...; ...; od 1940-1944 r.
 151) *Walka w obronie granic*; kampania wrześniowa w oświetleniu niemieckim; ...; ...; od X 1939 r.
 152) *Warszawianka*; POZ; ...; wzmianka 1941 r.
 153) *Warta*; grupa Unii; niereg.; XI. 1939 r.
 154) *Wawel*; młodzież konserwatywna; niereg.; dwutyg.; wzmianka 1941 r.; nakład 1941 r.: 100 egz.
 155) *Wiadomości Polskie*; SSS; dwutygodnik; od XI 1939-1944 r.; nakład 1939 r.: 1.000 egz., od 1942 r.: 10.000 egz.
 156) *Wiadomości ze świata*; komunist.; wzmianka 1941 r.
 157) *Wielka Polska*; ...; ...; od 1941-1943...
 158) *Wiś*, agencja informacyjna; Str. Ludowe; ...; od 1943-1944 r.
 159) *Wiś i miasto*; PSL; mies.; od 1941-1944; nakład 1941 r.: 5.000 egz.
 160) *Wojsko i Niepodległość*; wojskowa organizacja Wolności Znak; wzmianka 1941 r.; nakład 1941 r.: 1.500 egz.

- 161) *Wola i czyn*; b. członkinie Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet; wzmianka 1941 r.
 162) *Wolna Polska*; Związek Obrońców Rzeczypospolitej; nieregularny, wzmianka 1941 r.; nakład 1941 r.: 2.000 egz.
 163) *Wolność*; komitet S. PPS; ...; od 1940-1944 r.
 164) *Wolność, Równość, Niepodległość*; oficjalny organ PPS; dwutygodn. lub dekada; druk; nakład w 1941 r.: 7.000 egz.
 165) *Wzlot*; grupa młodych lotników; od 1943 r.
 166) *Zadra*; pismo humorystyczne; Biuro Polityczne; ...; od 1941 r.
 167) *Zatoga*; ...; ...; od 1943 r.
 168) *Za naszą i waszą wolność*; organizacja w ghetcie żydowskim; pismo w języku polskim; wzmianka w 1941 r.
 169) *Zarzewie*; ...; ...; wzmianka w 1940 r.
 170) *Zemsta*; ...; ...; wrzesień 1939 r.
 171) *Ziemia mówi*; pismo wiejskie organizacji Konfederacja Narodu; ...; wzmianka w 1940 r.
 172) *Ziemie zachodnie R. P.*; DI; ...; od 1943 r.
 173) *Znak*; TAP Konfederacja Narodu; po rozłamie 1941 r. samodzielnie; dwutygodn.; wzmianka 1941 r.; nakład 1941 r.: 3.000 egz. (wg BIP), 2.000 wg DI.
 174) *Zryw*; grupa Zryw lewica katolicka stronnictwa pracy; ...; od 1941-1944 r.
 175) *Zwrotnicę*; pismo pracowników kolejowych; ...; od 1943.
 176) *Źródło*; ZHP; ...; ...; wzmianka 1941 r.
 177) *Żołnierz Polski i Żołnierz Polski w drugiej wojnie światowej*; SSS; ...; od 1940-1944 r.
 178) *Żywią*; PSL; ...; od 1940-1944 r.
 179) *Żywią i Bronią*; PSL; ...; od 1940-1944 r.

Hanna LERSKA.

(d.c.n.).

Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,
 W głośnym reportażu z Polski, zamieszczonym w paryskiej «Kulturze» która również jest czytana w kraju, p. Janta-Pończyński stawia zarzut książce «Na tropach Smętki», że «książka ta stanowiła podstawę do przesładowań, które ciągnęły się aż w czas wojny i okupacji».
 Nie może być chyba dla pisarza większego zarzutu. Dlatego proszę o zamieszczenie następującego wyjaśnienia:

Kiedy przed wojną «Kronika», redagowana przez St. Strzetelskiego, potępiała niedyskrecje autora, spowodował Sąd Obywatelski pod przewodnictwem ex-premiera Antoniego Ponikowskiego. Sąd przesłuchał świadków, mianowicie konsula w Olsztynie, dyrektora Zw. Zachodniego, przedstawiciela Zw. Polaków w Niemczech, przedstawiciela pracy polskiej na Mazurach.

Sąd, po przeprowadzeniu przewodu, stwierdził:

1. — że maszynopis przed oddaniem do druku był czytany przez przedstawicieli wszystkich wyżej wymienionych instytucji i każde nazwisko z osobna było dyskutowane. Wiele nazwisk zostało skreślonych, pozostawiono także jak nazwisko osiemdziesięcioletniego poety Kajki, którego syn był wójtem i członkiem partii hitlerowskiej. Kiwickiemu, którego sprawy nie chciano usuwać z książki, Liga Morska i Kol., jako (nieujawniony) wydawca książki, zakupiła sklep w Polsce. Wdowie po Lince zaofiarowano w Polsce dożywocie.

Sąd więc w tym punkcie orzekł, że autor, publikując książkę, wykazał

maksimum odpowiedzialności.

2. — Przewód wykazał, że ani jedna represja na nikogo z powodu książki nie spadła, aczkolwiek wówczas minął okres dwu i pół lat od jej wydania.

Protokół ten, ze względu na zrozumiałych, nie mógł być podany do wiadomości publicznej, stanowiąc jedynie dla autora dokument, na który mógł się powoływać w rozmowach poufnych.

Czy w czasie wojny kogo spotkały z powodu książki represje nie wiem, przypuszczam jednak, że masowe represje spotkały polskość jako taką. że książka nie była ich uzasadnieniem zdaje się świadczyć fakt nazwania głównej ulicy w Ostródzie imieniem autora.

Pan Janta-Pończyński stawiając zarzut, że w Prusach Wschodnich «oblicza się teraz koszty w życiu, mieniu i interesach polskich, jaki za tę książkę zapłacić musieli ludzie o jakich opowiadała», powinien wymienić choć jeden wypadek. Książka, która odegrała rolę w dziedzinie rewidacji duchowej Prus Wschodnich powinna mieć ten skromny przywilej, że nie stawia się jej tak ciężkich zarzutów głośnionie.

Z osób, mających styczność z przewodem Sądu Obywatelskiego, po za Polską dzisiaj przebywa p. Strzetelski oraz p. Kaczmarek b. Dyrektor Zw. Polaków w Niemczech. Inne osoby, jeśli żyją, są zapewne w Polsce. Gdy mój list tych i tamtych dojdzie, będę wdzięczny, jeśli zechcą dać świadectwo prawdzie.

Melchior Wańkowicz.

Indeks autorów i tematów rocznika «Kultura» za rok 1948

Spis autorów

ANDERS Władysław, ARON Raymond — BACZKOWSKI Włodzimierz, BERNANOS Georges, BIELATOWICZ Jan, BOBKOWSKI Andrzej, BOCHENSKI Adolf, BRZEZIŃSKI M. — CAMUS Albert, CONRAD-KORZENIOWSKI Józef, CROCE Benedetto, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZUCHNOWSKI Marian — DAY-LEWIS Cecil, DIPLOMATICUS, DZIEWANOWSKI M. K. — ELIOT T. S., EMTE, FLORCZAK Zbigniew, FYŁPOWYCZ Pawło, GAMMA, GOETEL Ferdynand, GROCHOLSKI Zygmunt, GRUBIŃSKI Wacław, GRYZIEWICZ Stanisław, GRZYBOWSKI Wacław — HALÉVY Daniel, HEINRICH Tadeusz, HEITZMAN Marian, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HOŁOBOCKI Karol Ignacy, HOSTOWIEC Paweł, — IRANEK-OSMECKI Kazimierz, IWANIUK Wacław — JANTA Aleksander, JASIEŃCZYK Janusz, JIMENEZ Juan Ramón, JORDAN Zbigniew — KLEN Jurij, KOESTLER Arthur, KOMARNICKI Tytus, KORBOŃSKI Stefan, KORCZYŃSKI Aleksander, KORWIN Witold, KORZON Leonid, KROŃSKI Tadeusz, KUKIEL Marian — LECHON Jan, LERSCY Hanna i Jerzy, LORCA Federico García — ŁOBODOWSKI Józef, — MALRAUX André, MAŁANIUK Jewhen, MAYRAN Camille, MEEŁ Aleksander C., MORRIS William, MORTIMER Raymond — NAGLEROWA Herminia, NAGÓRSKI Zygmunt jr., NIEMIRA Piotr, NOWAKOWSKI Tadeusz, NOWOSAD Witold — ORWELL George — PIETRKIEWICZ Jerzy, POBÓG-MALINOWSKI Władysław, POTWOROWSKI Tadeusz, PRZYŁUSKI Bronisław — QUASIMODO Salvator — RACZYŃSKI Edward, RACZYŃSKI Roger, RADZYMIŃSKA Józefa, REGAMEY Konstanty, ROGALIŃSKI Karol, ROMANOWICZ Kazimierz — SAINT-EXUPERY Antoine de, SIENNY Marek, SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI Felicjan, SOKOLNICKI Michał, SOSNKOWSKI Kazimierz, SUŁKOWSKI Tadeusz, — ŚW. JAN OD KRZYŻA, ŚWIECICKA J. A. — TARNAWSKI Wit, THIERRY MAULNIER, TERLECKI Tymon, TOROSIEWICZ Jan, TUCZYŃSKI Marian — ULATOWSKI Jan, URSYN Józef, UZIEMBŁO Adam — VALERY Paul, VINCENZ Stanisław — WANKOWICZ Melchior, WASILEWSKI Tadeusz, WA-

SIUTYŃSKI Wojciech, WEINTRAUB Wiktor, WIERZYŃSKI Kazimierz, WRAGA Ryszard — ZADROŻNY Stanisław, ZALESKI Wojciech, ZAREMBA Zygmunt, ZAWADZKI Tadeusz, ZEROW Mykoła, ZBYSZEWSKI W. A. — ŻYLIŃSKI Wiesław.

Artykuły polityczne

- ANDERS Władysław: *Cztery lata po bitwie pod Monte Cassino* (7).
- ARON Raymond: *Antynomia polityki współczesnej*, przeł. M. Czapska (6).
— *Mit społeczeństwa bezklasowego*, przeł. T. K. (8).
- BACZKOWSKI Włodzimierz: *Middle East, Azja a mocarstwa zachodnie* (6).
- BOCHENSKI Adolf: *Duch dziejów Polski* (2).
- BRZEZIŃSKI M.: *Kompleks D.P.* (14).
- CONRAD-KORZENIOWSKI Józef: *Zbrodnia rozbiorów*, przeł. J. M. (6).
- CZAPSKA Maria (tłumaczyła) ob. Aron, Halévy.
- CZAPSKI Józef: *Za słowo* (9/10).
- DIPLOMATICUS: *Legenda o imperializmie amerykańskim* (9/10).
- EMTE: *Druga wojna światowa i perspektywy na przyszłość* (11).
Francuskie zagadnienie demograficzne na tle ogólnoeuropejskich stosunków populacyjnych (1).
- GAMMA: *Obecna sytuacja polityczna Francji* (2).
— *Preliminarja trzeciej wojny światowej* (4).
- GRYZIEWICZ Stanisław: *Cywilizacja materialna* (6).
— *Środki polityki gospodarczej* (8).
- HALÉVY Daniel: *Stulecie rewolucji 1848*, przeł. Maria Czapska (14).
- HEINRICH TADEUSZ (tłumacz), ob. Thierry Maulnier.
- HOSTOWIEC Paweł: *Najlepsze recepty na przegranie wojny z Rosją* (2/3).
- J. R.: *Uchodźcy wojenni* (14).
- JANTA Aleksander: *Czy imperializm?* (por. Ulatowski) (7).
— *Wracam z Polski* (12).
- JORDAN Zbigniew: *Spoleczna funkcja inteligencji* (7).
- KOMARNICKI Tytus: *Prawo norymberskie* (14).
- KORWIN Witold: *Nowy porządek w Europie Wschodniej* (4).
- NIEMIRA Piotr: *Struktura niemieckiego żościa politycznego* (9/10).
- P. H.: *Z powodu sytuacji demograficznej Francji* (2).
Polacy w Palestynie (5).
- Sytuacja międzynarodowa z perspektywy paryskiej* (12).
- TERLECKI Tymon: *Emigracja i kraj* (7).
— *Socjalizm chrześcijański* (1).
- THIERRY MAULNIER: *Studium o użyteczności trupów*, przeł. Tadeusz Heinrich (7).
- ULATOWSKI Jan: *Inteligentkie herezje polityczne* (5).
— *Polityczna funkcja inteligencji* (4).

- WRAGA Ryszard: *Piłsudski a Rosja* (2/3).
 ZAREMBA Zygmunt: *Przeobrażenia socjalne w okresie międzywojennym* (1).
 ZBYSZEWSKI W. A.: *Bieżąca kronika* (4).
 — *Polska a świat katolicki* (2/3),
 — *Wojna 1939-45 była drobnym epizodem* (5).
 ŻYLIŃSKI Wiesław: *Tragedia Kościoła grecko-katolickiego w Polsce* (8).

Artykuły i *essays* z dziedziny literatury i sztuki

- BIELATOWICZ JAN: *Literatura na emigracji* (2/3).
 CZAPSKA Maria (tłum.) ob. Halévy.
 CZAPSKI Józef: *Jangi Jul* (2/3).
 — *Proust w Gruzowcu*, przeł. Teresa Skórzewska (12, 13).
 CROCE Benedetto: *Zmierzch cywilizacji*, przeł. Gustaw Herling-Grudziński i Włodzimierz Sznarbachowski (1).
 DAY-LEWIS Cecil: *Obraz poetycki*, przeł. A. V. (13, 14).
 FLORCZAK Zbigniew: *Rozstanie ze sztuką* (2/3).
 GOETEL Ferdynand: *Rozdroże kultury* (13).
 HALÉVY Daniel: *Uwagi o przyspieszonym rytmie historii*, przeł. Maria Czapska (2/3).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Twórczość literacka w kraju* (4).
 — (tłumacz) ob. Croce, Mortimer.
 HOŁOBOCKI Karol Ignacy: *Fenomenolodzy polskości* (2/3).
 HOSTOWIEC Paweł: *Corona turrata* (5, 6).
 — *O współczesnej formacji humanistycznej* (4).
 — *Stanisław Mackiewicz o Dostojewskim i kilka uwag o biografach literackich* (14).
 J. B.: *Polski Teatr Białorusi Zachodniej* (9/10).
 JELEŃSKA T. (tłum) ob. Orwell.
 KORZOŃ Leonid: *Ukraińscy neoklasycy-parnasiści*, przeł. Józef Łobodowski (7).
 KROŃSKI Tadeusz Juliusz: *Filozofia egzystencjalna Sartre'a* (1).
 KUKIEL Marian: *Przedwiośnie rewolucji i wojna poetów* (6).
 ŁOBODOWSKI Józef: *Literatura hiszpańska w XX wieku* (6, 7).
 — (tłumacz), ob. Korzoń.
 MALRAUX André: *Wstęp do psychologii sztuki*, przeł. M. i J. Cz. (2/3).
 MORTIMER Raymond: *Arthur Koestler*, przeł. Gustaw Herling-Grudziński (7).
 NOWOSAD Witold: *Bolesław Miciński* (9/10).
 ORWELL George (przeł. T. Jeleńska): *Anglia, twoja Anglia* (4);
 — *Raffles i panna Blandish* (9/10).
 — *Środki zapobiegawcze w literaturze* (5).
 PIETRKIEWICZ Jerzy: *Cztery horyzonty* (13).

- POTWOROWSKI Tadeusz: *Galeria obrazów* (4).
 SAINT-EXUPÉRY Antoine de: *Co powiedzieć ludziom*, przeł. Daniel Świeżawski (12).
 SIENNY Marek: *Groby czy skarby* (5),
 — *Pamięci Bernanosa* (11),
 — *Swoboda tajemna* (4).
 SKÓRZEWSKA Teresa (tłum.) ob. Czapski.
 ŚWIEŻAWSKI Daniel (tłumacz) ob. Saint-Exupéry.
 SZNARBACHOWSKI Włodzimierz (tłumacz) ob. Croce.
 TOROSIEWICZ Jan: *Thomas Stearns Eliot* (14).
 ULATOWSKI Jan: *Notatki o impresjonizmie* (6).
 URSYN Józef: *Bernanos* (11).
 WEINTRAUB Wiktor: *Fredro-kłasyk* (5),
 — *Lytton Strachey* (1).

Utwory poetyckie

- CZUCHNOWSKI Marian: *Wiersze* (14).
 ELIOT T. S.: *Chór IX z „The Rock”, Środa Popielcowa*, przeł. Jan Torosiewicz (14).
 — *Pieśń dla Symeona*, przeł. AV. (9/10).
 FYŁYPOWYCZ Pawło: *Sonet o Salomei*, przeł. Józef Łobodowski (8).
 IWANIUK Waclaw: *Ballada andaluzyjska* (5),
 — *Wiersze* (14).
 JIMENEZ Juan Ramón: *Srebroń i ja*, przeł. Józef Łobodowski (4).
 KŁEN Jurij: *Ukraina* (fragmenty), przeł. Józef Łobodowski (8).
 KOBRZYŃSKI Bolesław (tłumacz), ob. Quasimodo.
 LECHOŃ Jan: *Nike spod Monte Cassino* (7).
 LORCA Federico: *Krwawe Wesele*, przeł. Józef Łobodowski (12),
 — *Wiersze* (przeł. Józef Łobodowski) (1).
 ŁOBODOWSKI Józef: *Ze „Złotej Hramoty”* (9/10).
 — *List do Juana Ramóna* (4),
 — (tłumacz), ob. Fyłypowycz, Jimenez, Kłen, Lorca, Małaniuk, św. Jan od Krzyża, Zerow.
 MAŁANIUK Jewhen: *Sonet o Salomei*, przeł. Józef Łobodowski (8).
 MORRIS William: *Letni poranek*, przeł. AV (5).
 NOWOSAD Witold: *Mgła* (6).
 PIETRKIEWICZ Jerzy: *The Spelling of Love* (9/10).
 PRZYŁUSKI Bronisław: *Wiersze* (6).
 QUASIMODO Salvator: *Wiersze*, przeł. Bolesław Kobrzyński (2).
 RADZYMIŃSKA Józefa: *Wiersze* (11).
 SUŁKOWSKI Tadeusz: *Wiersze* (11).
 św. JAN OD KRZYŻA: *Kantyczka duchowa*, przeł. Józef Łobodowski (7),
 — *Poezje mistyczne*, przeł. Józef Łobodowski (6).
 TOROSIEWICZ Jan (tłumacz), ob. Eliot.
 TUCZYŃSKI Marian: *Ballada październikowa* (14).

- WIERZYŃSKI Kazimierz: *Burza* (2/3),
 — *Józef Piłsudski* (7),
 — *Kwiat Iliady* (6),
 — *Litania na Monte Cassino* (7).
 ZEROW Mykoła: *Sonet o Salomei*, przeł. Józef Łobodowski (8).

Nowele, wspomnienia i fragmenty powieściowe

- BERNANOS Georges: *Autobiografia* (11).
 BOBKOWSKI Andrzej (tłumacz.), zob. Camus: *List* (9/12),
 — *Nekyia* (1),
 — *List* (9/10),
 — *Pożegnanie* (6).
 CAMUS Albert: *Kazanie i śmierć O. Paneloux*, przeł. A. Bobkowskiego (4).
 CZUCHNOWSKI Marian: *Zielony promień* (6).
 DZIEWANOWSKI M. K.: *Wiosna Ludów w Hotelu Lambert* (1).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (tłumacz), ob. Koestler.
 JASIEŃCZYK Janusz: *Półśmiech zażenowania* (9/10).
 KOESTLER Arthur: *Przyjazd*, przeł. Gustaw Herling-Grudziński (1).
 LERSKI Jerzy: *Powrót emisariusza* (7).
 NAGLEROWA Herminia: *Czerwona linia* (14),
 — *Inne czasy* (1).
 NOWAKOWSKI Tadeusz: *Weronika i Polifem* (8).
 ROGALIŃSKI Karol: *Scherzo «Infernalnej»* (9/10).
 SULKOWSKI Tadeusz: *Obrona Justyny* (4).
 TARNAWSKI Wit: *Dzieje Nałęczkich* (11, 12).
 URSYN Józef: *Dwa światy* (13),
 — *Dwa światy i wiatr* (5).
 VINCENZ Stanisław: *Śmierć Leśna* (2/3).
 WANKOWICZ Melchior: *Do Erez Izrael* (13),
 — *Dzieje domeczku* (5).
 ZADROŻNY Stanisław: *Reymont we Francji* (11).
 ZALESKI Wojciech: *Wspomnienia wrocławskie* (11).

Najnowsza historia Polski

- GRZYBOWSKI Waclaw: *Premier Kazimierz Bartel* (13).
 IRANEK-OSMECKI Kazimierz: *Kapitulacja Warszawy* (12).
 KORBOŃSKI Stefan: *Ostatnie miesiące Delegatury Rządu R. P. na Kraj* (11).
 NAGÓRSKI Zygmunt, jr.: *Londyńskie lata* (14).
 POBÓG-MALINOWSKI Władysław: *Na rumuńskim rozdrożu* (7, 8, 9/10).
 RACZYŃSKI Roger: *Zapiski* (9/10).
 SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI Felicjan: *Prace i czynności Rządu Polskiego we wrześniu 1939* (5, 6).
 SOKOLNICKI Michał: *Dziennik ankarcki* (4).

- SOSNKOWSKI Kazimierz: *Rozkaz nr 19* (11).
 UZIEMBŁO Adam: *Sejm w Wilnie* (13).
 ZAWADZKI Tadeusz: *«Burza» na ziemiach polskich* (11).

Recenzje i sprawozdania

- C. C.: *Sprawa DP-sów* (8).
 CZAPSKA Maria: *Mickiewicz znów aktualny* (4),
 — *Norwid odzyskany* (2),
 — *Z tamtego świata* (9/10).
 CZAPSKI Józef: *Dwa czasopisma* (2).
 GRUBIŃSKI Waclaw: *A propos «Długiego życia»* (12).
 HEINRICH Tadeusz: *Paryski sezon teatralny* (11).
 HOSTOWIEC Paweł: *Kłeska armii włoskiej nad Donem* (8).
 JANTA Aleksander: *Raport profesora Kinsey'a* (9/10).
 JORDAN Zbigniew: *O «Granicach Nauki»* (11).
 KORCZYŃSKI Aleksander: *Książki o Niemczech* (8, 12),
 — *Książki o Rosji* (8).
 LERSCY Hanna i Jerzy: *Powieść historyczna* (14).
 LERSKI Jerzy: *Księga beznadziei* (9/10),
 — *Księga lęków i przeznaczeń* (8).
 MAYRAN Camille: *«Ciężenie i taska» Simone Weil*, przełożył M. Cz. (12).
 NAGLEROWA Herminia: *Sprawa Waclawa Grubińskiego* (14).
 POBÓG-MALINOWSKI Władysław: *Dłużej klasztor niż przeora* (14),
 — *Polska i Litwa* (13),
 — *«Zagwiący wrzesień»* (9/10).
 RACZYŃSKI Edward: *Pamiętniki Churchilla* (13).
 SIENNY Marek: *La Peste* (2/3).
 SOKOLNICKI Michał: *Polska Zdradzona* (11).
 T. S.: *Pamiętniki Gamelina* (1).
 ULATOWSKI Jan: *Dzieje głupoty w Polsce* (2/3).
 WASIUTYŃSKI Wojciech: *Muza w cieniu oręza* (7).
 WEINTRAUB Wiktor: *Książki o Anglii* (1, 2/3, 4, 6, 9/10, 11).
 — *Poezja i nie-poezja w literaturze polskiej XVIII wieku* (7).
 WRAGA Ryszard: *Książki o Rosji* (4),
 — *Przymusowa praca w Rosji Sowieckiej* (2/3),
 — *Zbrodnia* (8).

Kronika kulturalna

- CZAPSKI Józef: *Raj utracony* (1).
 — *Z powodu wystawy, której nie widziałem* (7).
 GROCHOLSKI Zygmunt: *Plastycy polscy w Paryżu* (5).
 HEITZMAN Marian: *Siedemdziesięciopięciolatek Polskiej Akademii Umiejętności* (12).
Paryska kronika kulturalna (6).
 REGAMEY Konstanty: *Rzut oka na muzykę współczesną* (6).

- ROMANOWICZ Kazimierz: *Księgarnia na emigracji* (14).
 ŚWIĘCICKA J. A.: *Książka polska w Wielkiej Brytanii* (13).
 ZALESKI Wojciech: *Zjazd naukowy w Monachium* (12).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

- CONRAD-KORZENIOWSKI Józef: *Zbrodnia rozbiorów*, przeł. J. M. (6).
 DAY-LEWIS Cecil: *Obraz poetycki*, przeł. A. V. (13, 14).
 ELIOT T. S.: *Chór IX z «The Rock», Środa Popielcowa*, przeł. Jan Torosiewicz (14).
 — *Pieśń dla Symeona*, przeł. A. V. (9/10).
 KOESTLER Arthur: *Przyjazd*, przeł. Gustaw Herling-Grudziński (1).
 MORRIS William: *Letni poranek*, przeł. A. V. (5).
 MORTIMER Raymond: *Arthur Koestler*, przeł. Gustaw Herling-Grudziński (7).
 ORWELL George (przeł. T. Jeleńska): *Anglia, twoja Anglia* (4), *Raffles i panna Blandish* (9/10), *Środki zapobiegawcze w literaturze* (5).

Z języka francuskiego

- ARON Raymond: *Antynomia polityki współczesnej*, przeł. Maria Czapska (6).
 — *Mit społeczeństwa bezklasowego*, przeł. T. K. (8).
 BERNANOS Georges: *Autobiografia* (11).
 CAMUS Albert: *Kazanie i śmierć Ojca Paneloux*, przeł. Andrzej Bobkowski (4).
 HALÉVY Daniel: *Stulecie rewolucji 1848* (14), *Uwagi o przyspieszonym rytmie historii*, przeł. Maria Czapska (2/3).
 MALRAUX André: *Wstęp do psychologii sztuki*, przeł. M. i J. Cz. (2/3).
 MAYRAN Camille: *«Ciężenie i łaska» Simone Weil*, przeł. M. Cz. (12).
 SAINT-EXUPÉRY Antoine de: *Co powiedzieć ludziom?*, przeł. Daniel Świeżawski (12).
 THIERRY MAULNIER: *Studium o użyteczności trupów*, przeł. Tadeusz Heinrich (7).
 VALÉRY Paul: *Z «Kryzysu ducha»*, przeł. Bogusław Szybek (1).

Z języka hiszpańskiego

- JIMENEZ Juan Ramón: *Srebro i ja*, przeł. Józef Łobodowski (4).
 LORCA Federico García: *Krwawe Wesele* (12), *Wiersze* (1), przeł. Józef Łobodowski.

- ŚW. JAN OD KRZYŻA: *Kantyczka duchowa* (7), *Poezje mistyczne* (6), przeł. Józef Łobodowski.

Z języka ukraińskiego

- FYLYPOWYCZ Pawło: *Sonet o Salomei*, przeł. Józef Łobodowski (8).
 KLEN Jurij: *Ukraina* (fragmenty), przeł. Józef Łobodowski (8).
 KORZOŃ Leonid: *Ukraińscy neoklasycy-parnasiści*, przeł. Józef Łobodowski (7).
 MAŁANIUK Jewhen: *Sonet o Salomei*, przeł. Józef Łobodowski (8).
 ZEROW Mykoła: *Sonet o Salomei*, przeł. Józef Łobodowski (8).

Z języka włoskiego

- CROCE Benedetto: *Zmierzch cywilizacji*, przeł. Gustaw Herling-Grudziński i Wł. Sznarbachowski (1).
 QUASIMODO Salvator: *Wiersze*, przeł. Bolesław Kобрzyński (2/3).

Bibliografia

- MELEŃ Aleksander C.: *Polonica szwajcarskie 1939-47* (6, 7, 11).

Przedruki

- BRZOZOWSKI Stanisław: *Z pamiętnika* (5).
 NORWID Cyprian Kamil: *Czas i prawda* (4), *Jeśli ma Polska pójść nie drogą mleczną* (13), *List do Mariana Sokotowskiego* (4).

Listy do redakcji

- WASILEWSKI Tadeusz: *Jeszcze o «Komitecie siedmiu»* (12).
 WANKOWICZ Melchior: *List do redakcji* (11).

„ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

Redakcja i Administracja
186a, Av. Rogier, BRUXELLES (Schaerbeek)

Przedstawicielstwa w Austrii, W. Brytanii, Francji,
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce
w Stanach Zjednoczonych.

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● Prenumerata:

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
rocznie 45/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV,
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.

W WIELKIEJ BRYTANII: *Gryf Publications*, 59/61, Hatton
Garden, London E.C.1.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)
przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma
BERRY Co, 437, Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

◆ Cena egzemplarza:

we FRANCJI 120 fr.; w W. BRYTANII 3 sh.; we WŁOSZECH 200 lir;
w SZWECJI 2,50 kor.; w NIEMCZACH 2,50 Mk.; w SZWAJCARII 1,80 fr. szw.
w BELGII 20 fr. belg.; w ARGENTYNIE 2,50 peso.

◆ Warunki prenumeraty:

we FRANCJI: roczna 1200 fr.; ½-roczna 650 fr.
w W. BRYTANII: roczna 1 £ 10 sh.; ½-roczna 16 sh.
we WŁOSZECH: roczna 2000 lir; ½-roczna 1200 lir
w SZWECJI: roczna 22 kor.; ½-roczna 12 kor.
w NIEMCZACH: roczna 25 Mk.; ½-roczna 15 Mk.
w SZWAJCARII: roczna 18 fr. szw.; ½-roczna 10 fr. s.
w USA i Kanadzie: roczna 6 dol., ½-roczna 4 dolary
w ARGENTYNIE: roczna 25 peso; ½-roczna 15 peso
w BELGII roczna 180 fr. b.; ½-roczna 100 fr. b.
Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr. przy prenumeracie rocznej — 240
fr. fr.; przy półrocznej — 120 fr. fr.

◆ Cena ogłoszeń: cała strona 6,000 fr. fr.; ½ strony 4,000 fr. fr.

◆ Przedstawicielstwa:

W W. BRYTANII: „GRYF” Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, London, E.C.1.
We FRANCJI: Librairie «Libella», 12, rue St-Louis en l'Île — Paris (IV^e)
We WŁOSZECH: Jan Grochow. ki, 81, via della Croce, Roma
W SZWECJI: «Wiadomości Polskie», Riddaregatan 25/1 ö. g., Stockholm.
W NIEMCZACH: Wydawnictwo «Kronika», (16) Epp-tein (Taunus), Hotel
Bienberg, U. S. Zone.
W SZWAJCARII: Redakcja «Pod Prąd», — Fribourg 2, Case 10
W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej «Libreria Po.aca», Av. Leandro
N. Alem 641, Buenos Aires.
W KANADZIE: Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 107, Givins St.,
Toronto, Ontario.
W U.S.A.: zamówienia i wpłaty kierować: „Harvard Trust Company”,
Harvard Square, Cambridge, Mass., na konto M. K. Dziewanowski.
W BELGII: do nabycia w Librairie et Bibliothèque „Slave”, 13, rue de
Roumanie, Bruxelles.

◆ Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

◆ Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się
listownym lub telefonicznym

◆ Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca
jedyne przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

◆ KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma
nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

W następnym numerze *Kultury* zamieścimy powieść
Arihura Koestlera pt.:

Ciemność w południe

w tłumaczeniu *Tymona Terleckiego*.

Znakomita ta książka, która stała się bestsellerem światowym, nabrała ostatnio dla nas ponurej aktualności.

Ponieważ chcemy czytelnikowi dać książkę w całości (ponad 200 stron), a jednocześnie nie pozbawić go normalnego materiału — następny numer ukaze się nieco później (w końcu lutego) jako **podwójny**.

Ze względu na niewątpliwe zainteresowanie, jakie książka „**Ciemność w południe**” wywoła, prosimy przedstawicielstwa, księgarnie, organizacje i biura kolportażowe o zgłaszanie zamówień na ten numer zawczasu, by ułatwić nam ustalenie nakładu.

W najbliższych numerach będziemy drukować m. in.:
PAWŁA HOSTOWCA: Nowy dziennik podróży do Niemiec;
ANDRZEJA BOBKOWSKIEGO: Na tyłach; **Pamiętnik Polskiego Zjazdu Naukowego w Monachium**;
JANA KOWALIKA: Bibliografię Polonistów niemieckich (pierwsze źródłowe i wszechstronne opracowanie);
ADAMA UZIEMBŁO: Podziemie;
K. IRANEK-OSMECKIEGO: A.K. zdobywa tajemnicę „V”;
STANISŁAWA GRYZIEWICZA: Gospodarstwo powojenne Wielkiej Brytanii;
WŁ. POBÓG-MALINOWSKIEGO: Paryska Wiosna;
JERZEGO LERSKIEGO: Sensacyjny reportaż z życia górników polskich we Francji.

Już ukazała się książka
STANISŁAWA GRYZIEWICZA
pod tytułem

ŚRODKI POLITYKI GOSPODARCZEJ

i jest do nabycia w redakcji „Kultury” jak również we wszystkich przedstawicielstwach.

Cena egzemplarza: we Francji 250 frs., w W. Brytanii 7/6.